Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

TWARDOCH: Wojna nigdy się nie skończy

DE NIRO człowiek, który zagrał wszystkich Amerykanów, kończy 80 lat

WYSOKIE OBCASY

Przepiórska: Nie dałam się przekreślić. Opowieść aktorki niezależnej

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, CARLO ALLEGRI / AP

GAZETA wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Biegnij, Kryscina, biegnij!

Jak sprinterka Cimanouska pokonała Łukaszenkę

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

33>

9 770860 908167

Dziura w skroni Staszka Pyjasa

Nowe ustalenia Cezarego Łazarewicza

Wielkolud

Rodacy wybrali Michaela Collinsa, założyciela IRA na Irlandczyka XX wieku

Wysoka wrażliwość

to nie choroba – mówi psychoterapeutka ▸ 32

Sobota–niedziela, 19-20 sierpnia 2023 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 192.10384, 1

Nakład 99 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 8aafe869ec

Mirosław Maciorowski

Zrujnowane świętowanie

Czy w Polsce są jeszcze możliwe obchody ważnych dla wszystkich świąt państwowych ponad podziałami? Apolitycznie, bez agresji, agitacji politycznej i bez obelg pod adresem tych, z którymi nam nie po drodze? Wydaje się, że już nie. Większość świąt, które powinny łączyć, budować więzi obywatelskie czy – jak kto chce – narodowe, PiS zamienił w polityczne wiece.

Najważniejsze dla wielu Polaków święto niepodległości, które po 1989 r. wreszcie mogliśmy obchodzić 11 listopada, od lat przypomina wulgarne festyny okraszone wyzwiskami, chwilami przywodzące na myśl bitwy. Prawica pozwoliła, żeby tę ważną dla Polaków uroczystość zawłaszczyła banda łysych, o których wszystko można powiedzieć, tylko nie to, że rozumieją, o jakiej Polsce marzyli ci, którzy wywalczyli ją w 1918 r.

Święto Wojska Polskiego, obchodzone w rocznicę Bitwy Warszawskiej, jakiś czas opierało się upolitycznieniu. Oczywiście zawsze święta państwowe organizują politycy, ale ci, którzy to robili, zanim PiS doszedł do władzy, mniej lub bardziej dbali jednak o to, żeby nie być posądzonym o ich upartyjnianie.

PiS bardziej czerpie z przedwojennego autorytaryzmu sanacji czy może PRL-owskiej dyktatury?

To już jednak przeszłość. Od ośmiu lat PiS wszystkie święta zamienia we własne wyborcze festyny. Tak było przed poprzednimi wyborami – nie tylko w czasie defilady z okazji Święta Wojska Polskiego, ale także podczas obchodów święta Konstytucji 3 maja. Tak było również w miniony wtorek. Wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy ociekało hipokryzją i obłudą. Z jednej strony apelował o jedność i odpowiedzialność w sprawie bezpieczeństwa, z drugiej – zarzucał przeciwnikom wręcz zdradę, wyimaginowane osłabianie sił zbrojnych.

Nawet religijne miejsca nie oparły się polityce. Jasna Góra, miejsce święte dla katolików, a historycznie ważne również dla niewierzących, podczas różnych uroczystości zamienia się w wiecową trybunę, czemu oczywiście na równi z politykami PiS winni są paulini oraz władze polskiego Kościoła.

Historycy spierają się o to, czy władza PiS bardziej czerpie z przedwojennego autorytaryzmu sanacji, czy może PRL-owskiej dyktatury. W kwestii świętowania bliżej jej niewątpliwie do tej drugiej. Święta organizowane przez PiS coraz mniej się różnią się od tych, które firmowała PZPR – 22 lipca (Święto Odrodzenia Polski w rocznicę uchwalenia manifestu PKWN) czy 12 października (Dzień Wojska Polskiego w rocznicę bitwy pod Lenino). Trudno się temu dziwić, skoro także lider rządzącej formacji coraz bardziej upodabnia się do komunistycznych pierwszych sekretarzy. ●

Chiński upał
Mój jest ten kawałek basenu

FOT. STR/AFP/EAST NEWS

W Nankinie – stolicy prowincji Jiangsu – mieszka 8 i pół miliona ludzi. Powyżej jeden z parków wodnych w tym mieście tego lata. Temperatury jak u nas – ponad 30 stopni Celsjusza.
Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Domowy astronom
Upoluj satelitę

Dwudziestego trzeciego sierpnia i w kolejnych dniach (oprócz 24 sierpnia) będzie nad nami przelatywać Międzynarodowa Stacja Kosmiczna (ISS).

Ten największy sztuczny satelita Ziemi pojawiać się będzie między 3 a 5 nad ranem jako sunący powoli jasny punkt – jaśniejszy niż gwiazdy, a czasem nawet Jowisz, wiszący nad południowym horyzontem.

Orientacyjne godziny przelotów ISS dla Polski: 23 sierpnia – 4.41, 25 sierpnia – 4.39, 26 sierpnia – 3.51, 27 sierpnia – 4.38, 28 sierpnia – 3.49, 29 sierpnia – 3.01, 30 sierpnia – 3.47, 31 sierpnia – 2.59, 1 września – 3.45, 2 września – 2.57, 3 września – 2.10.

ISS to niejedyny sztuczny satelita Ziemi, który jest widoczny nocą na niebie. Kilkadziesiąt innych, dorównujących jasnością najjaśniejszym gwiazdom, przelatuje nad naszymi głowami każdego wieczoru i poranka.

Wiele z nich to zużyte człony rakiet, które przed laty wynosiły satelity. Jednym z najjaśniejszych w sierpniu będzie obiekt 2005-016-B, pozostałość po rakiecie, która w 2005 r. wyniosła tajnego satelitę amerykańskiego.

FOT. SHUTTERSTOCK

Do 19 sierpnia wieczorem można się pokusić o „złapanie” Blue Walkera 3 – prototypowego satelity komunikacyjnego o gigantycznych rozmiarach (jego panele słoneczne mają powierzchnię 64 m kw.).

Jego jasność podczas przelotów nad Polską dorównuje teraz jasności Gwiazdy Polarnej.

Przeloty Blue Walkera można oglądać ok. godz. 20-22.

Szczegółową i aktualną rozpiskę lotów sztucznych obiektów zawierają np. aplikacje Satellite Tracker lub Heavens-Above. ●

Kamil Deresz

Andrzej rysuje

Nie drzyj kart

Po prostu odmów przyjęcia. PKW wyjaśnia, jak pójść na wybory, ale nie brać udziału w referendum

Czytaj ▶ Wyborcza.pl

W poniedziałek „Duży Format”

Nasze drogie dzieci

Sylwia i Jakub ze Szczytna szacują, że wydatki na dwoje dzieci to połowa, a może nawet trzy czwarte ich rodzinnego budżetu. Dziś odmówili synowi klocków Lego za 1,5 tys. zł

2 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

Top 5 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Wiara w polski młot

1 Zaczynają się w sobotę, przez ponad tydzień rozgrzeją pasjonatów biegania, skakania i rzucania. Mistrzostwa świata w lekkiej atletyce odbywają się tym razem w Budapeszcie, polscy kibice nie powinni liczyć na grad medali. Pewniakiem jest tylko najlepszy na światowych listach młociarz Wojciech Nowicki, każdy kolejny krążek będzie sukcesem polskiej reprezentacji, w której wystąpi m.in. Kryscina Cimanouska, sprinterka, która uciekła z Białorusi.

Sobota

Gabinet Osobliwości

2 „W tę noc dzięki pisarzom i pisarkom opowieści tkane ze szczegółów i niezgody będą się przeplatać, tworząc mapę paradoksów i magii" – tak na Europejską Noc Literatury we Wrocławiu, w tym roku zwaną Gabinetem Osobliwości, zaprasza kuratorka Sylwia Chutnik. Dziesięcioro aktorek i aktorów przeczyta fragmenty dziesięciu książek w dziesięciu miejscach, m.in. szkole, browarze, zajezdni tramwajowej, parku

Poniedziałek

Nowy wyścig na Księżyc

3 W przyszłym tygodniu dwa statki spróbują wylądować na Księżycu. W poniedziałek – rosyjska Luna-25, ze zdalnie sterowanym łazikiem na pokładzie. Jeśli się uda, będzie przez rok badał południowy biegun Srebrnego Globu, gdzie są pokłady podpowierzchniowego lodu. W środę, też w tych okolicach Księżyca, ma lądować indyjski próbnik Chandrayaan-3. To powtórka wyprawy sprzed czterech lat, która zakończyła się roztrzaskaniem lądownika.

Wtorek

Raków o krok od raju

4 To historia jak z bajki: Raków Częstochowa jeszcze sześć lat temu grał w polskiej II lidze, teraz jest o krok od elitarnej Ligi Mistrzów i meczów z Manchesterem City czy Realem Madryt. Ten krok to wyeliminowanie duńskiego FC Kopenhaga. Ewentualny awans to nie tylko niebywały prestiż, ale też wielomilionowy zastrzyk gotówki. Pierwszy z dwóch meczów Rakowa Częstochowa z FC Kopenhaga we wtorek o godz. 21 w Sosnowcu.

Piątek

Król Deep

5 Polska premiera filmu, który otwierał festiwal w Cannes – „Kochanica króla". To portret kobiety, która w czasach gorsetów i krynolin robi wszystko, aby pozostać wierną sobie. Opowieść o ściętej w czasie rewolucji francuskiej Madame du Barry – w tytułowej roli i za kamerą Maiwenn – słynnej metresie Ludwika XV. Króla gra Johny Deep. Film w całości nakręcono we wnętrzach i plenerach Wersalu.

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, JERZY WYPYCH, AIJAZ RAHI/AP, GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, MATERIAŁY PRASOWE

W oparach „grupy Webera"

Szajba narasta

Niemcy się dziwią: gdy rozmawiamy z politykami PiS, są bardzo otwarci i przyjaźni, a na konferencjach prasowych robią się lodowaci i agresywni

Wieliński

Zdarzało się, że w gabinecie Wolfganga Schäublego, przewodniczącego Bundestagu w latach 2017-21, czyli drugiej osoby w RFN, rozmawiano o sytuacji w Polsce. Temat łamania praworządności, ograniczania demokracji przynosił raz ktoś z Niemiec, a innym razem z zagranicy. Schäuble słuchał i nie za bardzo się przejmował, wiem, że raz powiedział: „Proszę się nie martwić. Porozmawiam o tym z moim przyjacielem Mateuszem Morawieckim".

Przyjaciel Morawiecki? Tak. Schäuble to polityk starego CDU. Bardzo konserwatywny, ostrożny, jeśli chodzi o Unię Europejską. Uosobia najlepsze (i najgorsze) tradycje niemieckiej chadecji. Z Morawieckim łatwo znajdował wspólny język. Bo Morawiecki, gdyby nie stoczył się w odmęty PiS-owskiego populizmu i gdyby był sprawczym premierem, a nie marionetką, uchodziłby za chadeckiego polityka. – Schäuble miał do swojej partii żal, że zrobiła zbyt mało, by przyciągnąć PiS na dobrą stronę. Wierzył w dialog, osobiste relacje, siłę swojego autorytetu – słyszę z kręgów niemieckiej dyplomacji.

Skoro Schäublego i Morawieckiego łączyły poglądy, czemu mieliby nie rozmawiać? Zresztą nie tylko poglądy. Morawiecki studiował w Niemczech, był na stażu w Bundesbanku, napisał podręcznik do prawa europejskiego z jednym z niemieckich profesorów. Gdy jesienią 2016 został ministrem finansów, Schäuble był jego odpowiednikiem. Z zażyłości obaj nigdy nie robili tajemnicy. – Kiedy wysyłam [Morawieckiemu] SMS, odpowiada w ciągu paru godzin – opowiadał Schäuble.

W 2018 roku debatowali nad przyszłością Europy w Kolegium Europejskim w Natolinie. Spijali sobie słowa z ust. A Schäuble usadzał w swojej partii tych, którzy domagali się wyciągania wobec PiS-owskiej Polski konsekwencji za łamanie praworządności czy prowadzone przez państwo nagonki na mniejszości. – Porozmawiam o tym z moim przyjacielem Morawieckim – ucinał dyskusję.

W styczniu 2023 na uroczystościach z okazji półwiecza Schäublego w polityce Morawiecki siedział na honorowym miejscu. Do zdjęcia pozował z szefem CDU Friedrichem Merzem. Morawiecki i Schäuble siedzieli, Merz się nad nimi nachylał. Był to okres, gdy antyniemiecka szajba w PiS osiągała niespotykane wcześniej stany. Niemcy według słów Kaczyńskiego budowały IV Rzeszę. Morawiecki uderzał w podobne tony. A mimo to przyjął zaproszenie do Berlina i świętował razem z polityczną śmietanką RFN. Tylko pozornie są to sprzeczne zachowania.

Niemieccy dyplomaci opowiadają, że najbardziej dziwi ich, że rozmowy z polskimi politykami zwykle przebiegają w przyjaznej atmosferze. Natomiast wspólne konferencje prasowe są koszmarem. Życzliwi podczas spotkań politycy PiS nagle w świetle kamer stają się lodowaci, agresywni. – W relacjach francusko-niemieckich jest odwrotnie. Francuzi za zamkniętymi drzwiami wykłócają się o każdy przecinek. Ale w świat idzie przekaz o harmonii i przyjaźni – mówią.

PiS zależało, by w kraju pielęgnować antyniemiecką retorykę, która nasiliła się po powrocie Donalda Tuska do polityki. Ale w zaciszu gabinetów byli gotowi do daleko idącej współpracy. Na unijnych szczytach Morawiecki chował się za Angelą Merkel. W 2020 roku pochwalił się, że na 66. urodziny podarował jej biżuterię z polskimi bursztynami. Merkel jest miłośniczką bursztynów. Morawiecki zadbał więc, by trafić w jej gusta. Niemiecka kanclerz hamowała bowiem zapędy innych państw, by z Polską w sprawie łamania praworządności rozmawiać na ostro. Miała do Polski słabość – w latach 80. spotkała tu ludzi „Solidarności" – i naiwnie liczyła, że warto inwestować w Morawieckiego, bo to polityk europejskiego formatu, z którym można się dogadać.

Na urodziny Mateusz Morawiecki podarował Angeli Merkel biżuterię z polskim bursztynem. Na unijnych szczytach chował się pod jej spódnicą. Dziś krzyczy o niemieckim spisku

– To w Unii raczej norma niż wyjątek, że politykom, którzy mają trudną sytuację w domu, idzie się na rękę. Nie zwraca się uwagi na tyrady wygłaszane do wyborców, udaje się, że prowadzi się z nimi żmudne negocjacje. Z Morawieckim miało to tak wyglądać. Mówi w Polsce, co chce, ale w Brukseli idzie na kompromisy – mówi mi jeden z dyplomatów. – Morawiecki miał być alternatywą dla PiS-owskiego betonu – zauważa inny.

Niemcy alternatywy dla Jarosława Kaczyńskiego szukają od dawna. Za pierwszego rządu PiS rozbudowywali kontakty z jego bratem, prezydentem Lechem Kaczyńskim. Po 2015 roku próbowali tego samego z Andrzejem Dudą. Szybko okazało się, że nowy prezydent nie jest samodzielnym politykiem. Wtedy na scenie pojawił się „Europejczyk" Morawiecki. Obok Merkel polski premier liczył na wsparcie Ursuli von der Leyen, która stanowisko szefowej Komisji Europejskiej zawdzięcza głosom europosłów PiS. Pod koniec 2019 roku von der Leyen i Morawiecki też spijali sobie z ust. A w tym czasie antyniemiecka szajba tylko narastała...

Polityka Merkel, von der Leyen, Schäublego skończyła się fiaskiem. Była naiwna. – Morawiecki nas oszukał. Nie współpracował, tylko kłamał i szczuł na nas, na Unię Europejską. A PiS w tym czasie robił, co chciał – słyszymy z niemieckich źródeł.

Morawiecki próbował jeszcze grać prozachodnim wizerunkiem. – Jestem ostatnim Europejczykiem w rządzie PiS – miał napisać pod koniec 2021 roku w SMS-ie do członków unijnej wierchuszki. Zignorowano go, z powodu łamania praworządności Polska nie dostała miliardów z Krajowego Planu Odbudowy.

Teraz Morawiecki próbuje Polaków straszyć „grupą Webera", antypolskim spiskiem zawiązanym przez szefa europejskiej chadecji, Manfreda Webera. Gdy patrzy się na jego związki z niemieckimi politykami tej partii, trzeba zadać pytanie, czy sam Morawiecki nie jest częścią tej grupy... ●

Bartosz T. Wieliński

eprasa.pl 8aafe869ec

Nawet kiedy wyrzucą z Ukrainy Rosję – którą nazywają pogardliwie Ruśnią – to czy Ruśnia pogodzi się z przegraną?

SZCZEPAN TWARDOCH

WOJNA NIGDY SIĘ NIE SKOŃCZY

eprasa.pl 8aafe869ec

FOT. SZCZEPAN TWARDOCH, MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 8aafe869ec

W czerwcu 2023 roku coraz częściej czytałem o końcu wojny.

Jaka będzie Ukraina po wojnie? Czy po wojnie Zełenski wystartuje w wyborach? Jaka po wojnie będzie Rosja? Jaka architektura bezpieczeństwa? Uczone analizy strategii prowadzących do zwycięstwa nagle zastąpiły analizy tego, jak będzie wyglądał świat, kiedy wojna się skończy.

Dlaczego? Czy wynika to ze zwykłego zmęczenia wojną jako tematem? Czy może wszyscy uznali, że spektakularnego sukcesu ukraińskiej ofensywy nie będzie, będzie więc pat i lepiej myśleć o tym, co dalej?

A może gdzieś toczą się już tajne rozmowy? To przecież bardzo prawdopodobne. Na wojnach często wojowano w trakcie pertraktacji. Może więc ktoś już pertraktuje?

Na przykład w Stambule albo w Wiedniu, w zacisznych salach, w których ponurzy mężczyźni i nieliczne kobiety siedzą naprzeciwko siebie, bardzo zmęczeni, i ważą swoje atuty i słabości, szepczą między sobą, potem oficjalnie wypowiadają nieoficjalne stanowiska i ciśnienie tych rozmów jest tak duże, że gdzieś znajduje ujście, przez jakąś szparę. Ktoś coś w zaufaniu komuś powtarza, ktoś to zaufanie odrobinę, w akceptowalny towarzysko sposób, zawodzi i tajemnica – nie przestając być tajemną – wzbiera pod powierzchnią, przesącza się i już eksperci wiedzący więcej, niż mogą napisać, piszą tyle, ile mogą, ale przecież wiedzą, co wiedzą, i to, co wiedzą, gdzieś pod tym, co piszą, migocze jak zalany deszczem żar ogniska.

Czyż sensem każdej wojny nie jest to, co będzie po niej?

Właśnie dlatego podczas moich trzech wyjazdów do Donbasu i na Charkowszczyznę w pierwszej połowie 2023 roku kilkunastu ukraińskim żołnierzom zadawałem to samo pytanie: co będziesz robił, gdy skończy się wojna?

Dżura

Rozmawialiśmy w żołnierskich chatach, w okopach, na poligonach, w bunkrze pod ostrzałem albo podczas patrolu w bezpośredniej bliskości granicy, któremu zupełnie nieoficjalnie pozwolono mi towarzyszyć, wbrew zakazom dowództwa, abym mógł zobaczyć, jak pracują zwiadowcy, gdzie musiałem udawać jednego z żołnierzy, aby mimo zakazu wstępu dla dziennikarzy przejechać przez posterunki. W końcu nie jestem dziennikarzem. Temu również służą ubrania taktyczne, w burych kolorach, które noszę w pobliżu frontu. Nie zakładałem kamuflażu, ale i ukraińskie wojsko nosi na sobie wszystkie militarne kolory świata – sympatyczny, młody porucznik, z którym na granicy byłem, miał na sobie niemiecki kombinezon czołgisty w charakterystycznym wzorze flecktarn i kamizelkę z Lubawy w polskim kamuflażu, leśnej panterze. Nigdy nie przypiąłem do kamizelki kuloodpornej ani do hełmu napisu „PRESS" – wiadomo, że Rosjanie chętnie ostrzeliwują miejsca, w których gromadzą się obcokrajowcy, ucząc się od mądrzejszych od siebie, nie zamierzałem ściągać na siebie uwagi.

Piszę o tym, bo okoliczności, w jakich zadawałem to pytanie i słuchałem odpowiedzi, wydają mi się ważne. Pytałem o wojnę, która jest konkretem jak niebo i ziemia, drzewa i kamienie, i błoto, wojnę, czyli ludzkie pojęcie, które manifestuje się w grzmocie dział i zmęczeniu żołnierzy, strachu i gniewie. Inaczej brzmiałoby to pytanie i inaczej brzmiałaby odpowiedź, gdybym tym samym ludziom zadawał je w Kijowie, inaczej jeszcze w Warszawie czy w Berlinie.

Pytałem więc: co będziesz robił, gdy wojna się skończy?

Niektórzy odpowiadali, że wrócą na studia, inni zamierzali zostać w wojsku, chyba ze trzech opowiadało mi o pensjonatach i hotelikach, które posiadali na Krymie przed 2014 rokiem i do których wrócą po zwycięstwie. Wśród nich pewien starszy już podpułkownik SBU, który wypiwszy trochę, chętnie opowiadał o szkoleniu w szkole KGB w Petersburgu. Jemu akurat w ten hotelik wierzyłem, innym niekoniecznie.

Młody chłopak, niech mu będzie Dżura, sierżant w wojskach desantowo-szturmowych, świetny fachowiec w zakresie działań piechoty lekkiej w terenie zurbanizowanym, zarzekał się, że gdy wojna się skończy, to za nic w świecie nie chce zostać w armii. Będzie walczył do zwycięstwa i ani dnia dłużej w wojsku nie zostanie. Mówił, że ma dość broni i kiedy wojna się skończy, nie chce nawet z daleka patrzeć na karabin, i życzyłem mu, aby tak właśnie było. Niech tylko ta wojna się skończy i zostawię to wszystko za sobą, mówił. Walczył, bo uważał, że musi, bo nie widział innej możliwości w obliczu trwającej od 2014 roku wojny, ale wojna go nie fascynowała, nie fascynowało go wojsko ani broń.

Rozmawiając z nim, chciałem wierzyć, że przez morze wojny przejdzie tak, jakby rozstąpiło się przed nim niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Przejdzie przez wojnę niezbrukany nią, suchy i zajmie się życiem. Owszem, kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu został ranny, kiedy Rosjanom udało się trafić jego lekki transporter opancerzony, ale wyzdrowiał, rany po odłamkach się goją, wierzę, chcę wierzyć, że wojna nie zostawi tych o wiele trudniej gojących się ran w sercu i umyśle mojego kolegi, który po wojnie chce studiować matematykę i pisać poezję.

Szczur

Ostatnim, któremu zadałem to pytanie, był doświadczony żołnierz 59. Brygady. Nazwijmy go tutaj po ukraińsku „Пацюк", czyli Szczur, ale to nie jest jego prawdziwy pseudonim. Nie mieliśmy czasu na rozmowę, rozmawialiśmy może kwadrans, w Pokrowsku, gdzie przekazałem mu toyotę land cruiser, którą kupiłem dlań za pieniądze z publicznej zrzutki.

Zapytałem więc Szczura, co będzie robił, gdy wojna się skończy, jakie są jego plany, on odpowiedział zaś zupełnie naturalnie, jakby to było oczywiste: wojna nigdy się nie skończy.

Wojna nigdy się nie skończy.

Powiedział to, wzruszył ramionami i pojechał na Bachmut, było to w maju, zaraz po ostatecznym upadku „fortecy Bachmut" z kiczowatego teledysku, pojechał tam wysadzać opuszczone przez ukraińskich żołnierzy bloki, które wcześniej zaminował.

Miało mu to zająć kilka dni i jak sądzę, wysadzał te bloki dopiero wtedy, kiedy wchodzili w nich rosyjscy żołnierze.

Jego odpowiedź nie daje mi spokoju. Jak to wojna nigdy się nie skończy?

Każda wojna kiedyś się kończy. Po najstraszniejszych wojnach przychodził w końcu pokój, nawet jeśli nie podpisano pokojowego traktatu. Niektóre rozejmy trwalsze są niż niejeden pokój. Szczur wiedział to przecież tak samo dobrze jak ja. A jednak powiedział, że wojna nigdy się nie skończy.

Wieczorem tego samego dnia siedziałem w ciasnej kuchni z jego przyjaciółmi, lecz bez niego, i tłumaczyli mi, z furią, że dla takich jak on i jak oni wojna skończy się, gdy skończą się rosyjscy żołnierze, których trzeba zabić, a „у них багато людей" – w rosyjskiej armii jest dużo żołnierzy. Wiadomo, że się nie skończą, jakkolwiek hojnie szafować będzie ich życiem aktualny car. A więc wojna się też nie skończy. Zawsze będą rosyjscy żołnierze do zabicia.

Mówili, że własnymi rękami wykopywali trupy w Buczy i w przypadku jednego z nich wiem skądinąd, że to może być prawda. Jak to wybaczyć, pytali mnie. Tego się nie da wybaczyć, Buczy, Irpinia, gwałtów, obozów filtracyjnych, kastrowania jeńców wojennych.

A przecież wiem, że nie takie rzeczy w historii wybaczano.

Mówili, że nawet kiedy wyrzucą z Ukrainy Rosję – którą nazywają pogardliwie Ruśnią – za granice z 2014 roku, to co wtedy, czy Ruśnia wtedy pogodzi się z przegraną? Ruśnia nigdy nie pogodzi się z przegraną. Ruśnia wróci. Trzeba być gotowym. Ta wojna nigdy się nie skończy. Ta wojna jest na zawsze.

Praca

Nie były to głupie przechwałki ani metafora, ani tym bardziej żart. Wszyscy żołnierze, których poznałem, do swojej pracy podchodzili bardzo poważnie. Do pracy, bo na froncie wszystko „працює", czyli „pracuje" – czołgi, artyleria, żołnierze nie strzelają, lecz pracują, tak się mówi, i wcale nie po to, aby ukryć w tym prawdziwy charakter tej pracy, którą jest zabijanie wrogich żołnierzy i niszczenie sprzętu. Mówi się tak z dumą, kiedy to nasi pracują, albo ze strachem, kiedy ich warta pracuje po nas. Mówi się tak, bo to zwyczajna rzecz, jak praca.

O tym, że dla takich jak on wojna nie skończy się nigdy, mówił mi w tej ciasnej kuchni żołnierz, przyjaciel Szczura, i pokazywał mi, jak montuje się elektryczne i mechaniczne zapalniki w podłużnych blokach C4, opowiadając, że zawsze bał się „wybuchowki", ale kiedy się już nauczył, to wielką sprawia mu satysfakcję wysadzanie ruskiego sprzętu w powietrze. I że Szczur chodzi nawet i 30 kilometrów za linię frontu, poniżej nulla, jak mówią na froncie, i wysadza Ruśni, co tam się jej da wysadzić. Na przykład ciężarówki pełne żołnierzy, przekonanych, że są na głębokich tyłach, że są bezpieczni.

Ani Szczur, ani jego przyjaciele nie opowiadali mi o tym, by dowieść swojego męstwa, patriotyzmu czy nienawiści do Rosjan. Mówili to, bo, jak mi się wydaje, nie widzieli żadnej szansy na pokój, ani dla samych siebie, ani dla kraju, którego na froncie bronili.

Zdawało mi się wtedy, że od świętego gniewu oślepli na rzeczywistość, teraz jednak nie jestem tego pewien.

Oczywiście ta wojna kiedyś się skończy, bo każda wojna kiedyś się kończy.

Kiedyś zamilkną działa, a czujne oczy dronów nie będą wypatrywać celów, ich brzęczenie nie będzie zwiastować rychłego nadejścia artyleryjskiej czy rakietowej nawały. Smugi kondensacyjne na niebie zostawiać będą samoloty pasażerskie, nie rakiety i myśliwce. W tym sensie gniew Szczura i jego przyja-

Pytałem o wojnę, która jest konkretem jak niebo i ziemia, drzewa i kamienie i błoto, wojnę, czyli ludzkie pojęcie, które manifestuje się w grzmocie dział i zmęczeniu żołnierzy, strachu i gniewie

eprasa.pl 8aafe869ec

ciół jest równie święty, co ślepy – jednak czy przez tę ślepotę nie przemawia ciemna i sekretna mądrość, trudna, jeśli nie niemożliwa do wypowiedzenia słowami? Mądrość dzięki ślepocie, która odbierając im możliwość tej banalnej refleksji, że każda wojna kiedyś się kończy, wyostrza inne rodzaje wrażliwości na rzeczywistość.

Żywi i umarli

Pisze o niej George Santayana w jednym – być może najbardziej znanym – ze swoich angielskich solilokwiów, zatytułowanym „Tipperary".

Tytułowe „Tipperary" pochodzi z piosenki, rzewnego lamentu irlandzkiego emigranta w Londynie, który tęskni do swej rodzinnej miejscowości. Piosenka ta, wcale nie wojskowa, popularna była wśród angielskich żołnierzy w czasie pierwszej wojny światowej, zapewne właśnie za sprawą tej rzewnej tęsknoty za domem. Santayana w swoim solilokwium opisuje śpiewających tę piosenkę oficerów armii brytyjskiej, rekonwalescentów świętujących zawieszenie broni w listopadzie 1918 roku, przekład mój:

„Ich żołnierska służba dobiegła końca; z dziwnym, dumnym żalem wspominają swoich towarzyszy, co zginęli, aby dzień ten stał się możliwy, nie wierząc, że kiedykolwiek nadejdzie; radują się, na poły wstydząc się tego, iż sami są bezpieczni; zapomnieli o swoich ranach; widzą przed sobą zielone perspektywy: wesołe, pracowite, sportowe, pełne miłości życie w starych, dobrze znanych miejscach. Wszystko będzie się toczyć dalej, jak gdyby nic się nie stało. (...) Ci młodzi mężczyźni nie są prostakami czy głupcami; a jednak przeszli przez najstraszliwszą z prób, szalone serce świata tego ujrzeli rozszczepionym i zdemaskowanym, przeżyli długie czuwania przed bitwą, długie noce, w których miotali się w bólu, i mogli w nim medytować nad spektaklem, który się przed nimi roztaczał; a jednak nie nauczyli się niczego. (...) A jednak nieszczęśnicy myślą, że są bezpieczni! Myślą, że wojna – być może ostatnia ze wszystkich wojen – dobiegła końca! Tylko umarli są bezpieczni; tylko umarli widzieli koniec wojny".

Habent sua fata libelli. Z tej okrutnej i eleganckiej Santayany medytacji nad pokojem sprzed stu lat przetrwało jedno zdanie: „Only the dead have seen the end of the war", którego jako motto użył w swoim „Blackhawk Down" [„Helikopter w ogniu"] Ridley Scott i na dodatek przypisał je mylnie Platonowi, podobno za generałem MacArthurem. Tak bywa. Ja wróciłem do „Tipperary", bo przeczuwałem, że u Santayany znajdę coś, co z niekończącą się nigdy wojną Szczura układa się w doskonały konsonans, jak melodia, która dawno zniknęła ze świadomej pamięci i nagle powraca, i brzmi świeżo.

„Powinniśmy zawrzeć pokój z faktem istnienia wojny" – pisze Santayana, ale czy powinniśmy? Santayana, pisząc sto lat temu z głębi konserwatywnej refleksji nad conditio humana, a więc również nad strukturą i zasadą ludzkiej rzeczywistości, nie uważa niegodzących się na istnienie wojny pacyfistów za głupców; wręcz przeciwnie, uważa ich za zbyt mądrych i przez to pogrążonych w narkotycznym śnie, odciętych od okrutnej zasady rzeczywistości. Mądrzejsi i moralnie lepsi od zarządzających wojną generałów i polityków wierzą, iż wojna jest tylko kryminalną, straszną pomyłką i ludzie mądrzy i moralni – w przeciwieństwie do tych, w ich opinii, rządzących światem – mogliby wykorzenić ją z rzeczywistości raz na zawsze.

„Mylicie się" – pisze Santayana. „Ta wojna to wasz pierwszy przebłysk starożytnego, fundamentalnego, normalnego świata. Po raz pierwszy zasmakowaliście rzeczywistości".

Pytanie

Myśl Santayany jest konserwatywna w tym sensie, że wynika z pesymistycznej, bardzo surowej wizji natury ludzkiej. Czytelnik Davida Graebera mógłby tutaj słusznie zauważyć, że ludzkość posiada zdolność do świadomego kształtowania form własnego życia społecznego, bardziej zróżnicowanych niż prosta i fałszywa alternatywa między Rousseau a Hobbesem (w której Santayana lokowałby się oczywiście po stronie Hobbesa).

Jestem w pełni po stronie graeberowskiego anarchizmu, i w tym kontekście przeciwko determinizmowi Hobbesa czy Harariego. Wierzę, że inny świat jest możliwy, wierzę, że jako ludzie byliśmy zdolni, w świecie mniej złożonym od naszego, sami świadomie kształtować rzeczywistość społeczną i polityczną, nie tylko jej ulegać. Czy jesteśmy do tego zdolni teraz, w rzeczywistości, której masa zamieniła się w jakość, coraz bardziej zależnej nie od naszej woli, tylko od uczących się maszynowo algorytmów, których nie rozumiemy i nad którymi, wbrew teoriom spiskowym – te uważam za wyraz nadmiernego optymizmu – nikt nie panuje, ponieważ nie sposób panować nad tym, czego nie rozumiemy? Tego nie wiem. Próba odpowiedzi na to pytanie bez wątpienia dalece przekraczałaby granice tego tekstu.

> Czy kiedyś część z walczących będzie rozczarowana kształtem, jaki w przyszłości ich Ukraina przybierze? Na pewno. Czy część z nich poczuje się zdradzona? To możliwe

Pozostając więc tylko w zakresie tego historycznego założenia, którego „The Dawn of Everything" Graebera i Wengrowa jest najlepszym wykładem, czyli wierząc w to, że ludzie mogą świadomie kształtować swoją rzeczywistość społeczną, zadaję sobie jednak pytanie: czy możliwy jest świat bez wojen?

Czy kiedykolwiek istniał świat bez wojen, skoro te towarzyszą nam – ludzkości – od czasów, zanim jeszcze stała się ludzkością, i nie są nawet sprawą wyłącznie ludzką, co wiemy od czasów Jane Goodall, która jako pierwsza opisała, jakie wojny prowadzą nasi najbliżsi krewni, szympansy. Prowadziliśmy wojny, zanim staliśmy się ludźmi, i niekoniecznie przestaniemy je prowadzić, gdy nasze człowieczeństwo zamieni się w innego, postludzkiego.

To, że nie istniał nigdy świat bez wojen, nie oznacza oczywiście, że nie będzie istniał w przyszłości – ale zaryzykowałbym jednak, opierając się na rzadko szanowanej cnocie zdrowego rozsądku, tezę, że wojna jest tak głęboko wpisana w naturę człowieka, że stanowi o jego istocie.

Walczymy, bo jesteśmy ludźmi, niestety, a gdy przestaniemy walczyć, to być może staniemy się czymś lepszym, ale ludźmi już, być może na szczęście, nie będziemy.

Bój

Ktoś mógłby powiedzieć, że chociaż natura ludzka się nie zmienia, to jednak udało nam się wyrugować niewolnictwo. Czy to jednak prawda, że wyrugowaliśmy niewolnictwo, skoro na globalnej Północy korzystamy z efektów niewolniczej pracy, po prostu wyrzucając ją poza nasz wąski dość widnokrąg? To, czego nie widzimy, nie znika, nawet jeśli nasz wzrok zwykle nie sięga do sweatshopów i fabryk globalnego Południa.

Nie oznacza to jednak, że powinniśmy się na niewolnictwo godzić ani je akceptować. Wiele nieusuwalnych aspektów natury ludzkiej jest nieakceptowalnych moralnie, i ta kontradykcja również do ludzkiej natury należy, skazując plemię człowiecze na nieuniknioną wojnę wewnętrzną, o której być może mówi Księga Hioba 7,1, gdy mówi – głosem Jakuba Wujka – iż bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi i jako dni najemnicze dni jego. Jest tutaj moment ciekawego napięcia. Hebrajski oryginał używa bowiem słowa צבא – które oznaczać może armię, podobno też robotników (nie znam hebrajskiego – tak tłumaczył mi ten passus izraelski pisarz Ruby Namdar), jednak w kontekście oznacza też skończony, ograniczony czas człowieka na ziemi. Stąd w Biblii Króla Jakuba brzmi ten wers „Is there not an appointed time to man upon earth? Are no this days also like the days of an hireling?", i nie ma w nim ani słowa o wojowaniu, tylko o wyznaczonym, skończonym czasie, zaś w New International Version – „Do not mortals have hard service on earth? Are not their days like those of hired laborers?" – mowa jest o ciężkiej służbie śmiertelników. Wulgata jednak, za którą wprost powtarza Biblia Wujka, woli wojowanie – Militia est vita hominis super terram et sicut dies mercennarii dies eius.

Może jednak nie ma tutaj rozbieżności – bo czy wojowaniem nie jest codzienny trud, praca, którą wykonujemy, aby przetrwać? Czyż ukraińscy żołnierze swojej walki nie nazywają pracą właśnie? Czy wojna sensu stricto, ta toczona mieczem i karabinem, nie jest pochodną tej rozumianej najogólniej walki o przetrwanie, do której należy również praca, szczególnie przymusowa w tym najbardziej podstawowym sensie, w którym zmusza nas do niej konieczność zaspokajania potrzeb podstawowych?

Dlatego wojna zdaje się nieusuwalną z ludzkiej rzeczywistości – a jednak na pewnym poziomie pozostaje nie do zaakceptowania, i to napięcie, w tym właśnie miejscu – jak zawrzeć pokój z faktem istnienia czegoś nieakceptowalnego, a jednocześnie nieusuwalnego – jest polem, na którym poza zasięgiem dyskursu działać może i powinna literatura (i sztuka w ogóle), bo po to właśnie literatura jest.

Sny

Najlepiej byłoby więc, gdyby wojny i immanentnie zawarte w nich zło, oczywiste dla każdego, kto wojnę widział, wydarzały się jak najrzadziej. Ktoś bardziej cyniczny ode mnie – skoro już przywołuję tutaj hipotetycznych polemistów tego tekstu – mógłby dodać, że jak najrzadziej i jak najdalej od nas.

Wierzyć jednak, że należą do świata przeszłości, że któraś z trwających dziś wojen może być wojną ostatnią, wierzyć w świat z bezbrzeżnie naiwnej wizji z „Imagine" Lennona, to pozostawać w tym przyjemnym, narkotycznym upojeniu, o którym pisał Santayana. Temu właśnie, dobremu samopoczuciu odurzonych, służy pacyfizm zakładający nagłą zmianę natury ludzkiej, która miałaby zajść tylko dlatego, że bardzo tego chcemy.

O tych odurzeniach i innych, groźniejszych Ernst Jünger w „Na marmurowych skałach" pisał tak (przekład Wojciecha Kunickiego): „Bywają epoki upadku, w których zaciera się forma stanowiąca najbardziej immanentny wzorzec życia. Wtrąceni w nie zataczamy się na prawo i lewo jak istoty pozbawione równowagi. Z tępych przyjemności wpadamy w tępy ból, a świadomość straty, ożywiająca nas ciągle, ponętniej rysuje przed nami przyszłość i przeszłość. Poruszamy się w minionych epokach lub odległych utopiach, podczas gdy teraźniejszość przemija".

Nie sądzę, aby to miotanie się między zamierzchłymi czasy a odległymi utopiami było zarezerwowane, jak pisze Jünger, wyłącznie dla epok upadku. Mało tego, nie wierzę w epoki upadku o zakresie szerszym niż upadek towarzyszący każdej jesieni i każdej śmierci. Myślę jednak, że czasem rzeczywiście zaciera się wewnętrzna forma życia, są to epoki zmiany, Zeitenwende, i wtedy ulegamy błogim, narkotycznym snom z solilokwium Santayany albo odurzamy się innymi, groźniejszymi używkami, jak pełne przemocy sny o dawnej potędze śnione przez Putina, zwolenników AfD czy Reichsbürger w Niemczech czy Konfederacji w Polsce. Te „minione epoki", sny o dawnej potędze, są przy tym z gruntu nowoczesne, należą do twardego jądra nowoczesności i naszego świata, bo tak samo jak narkotyczne odurzenie przepełnione są nadzieją na samodzielne przebóstwienie się człowieka i ludzkiego świata, które miałoby nastąpić li tylko dlatego, że po prostu go chcemy. Nawiązania do przeszłości, do „starych,

eprasa.pl 8aafe869ec

dobrych czasów" są tylko maską, przebraniem, jak szczurza sierść i pióra wronie.

Dobrze więc przebudzić się z tych snów, z jednego i z drugiego. Bo czyż wiara w to, że wojny w Europie już nie będzie, że wojna, ta jedna z plag, może Europy w jej doskonałości nie dotyczyć, nie była tylko przejawem postkolonialnej naiwności? W Polsce, na Litwie, Łotwie czy w Mołdawii nikt już nie ma wątpliwości, że wojna jest ewentualnością, którą należy brać pod uwagę. Czy jednak mieszkańcy Francji, Niemiec czy Włoch nie zakładają nieświadomie, iż wojna w Ukrainie dotyczy po prostu Europy Wschodniej, czyli Europy już nie do końca europejskiej, pół-Europy, prawie-Europy, a więc nic się nie stało, w prawdziwej Europie wojny nie będzie nigdy?

Będzie. Nie wiemy tylko kiedy. Ale będzie.

„Powinniśmy zawrzeć pokój z faktem istnienia wojny" Santayany nie oznacza byśmy wojnę uznać mieli za pożądaną, nie oznacza, że mamy do niej dążyć, albo uznawać ją, w jej napastniczej formie, za uzasadnione narzędzie prowadzenia polityki zagranicznej, jak chciał Clausewitz. Nie. Nie jestem też wrogiem pacyfizmu, jeśli zdefiniować go jako wolę unikania wojen albo ocenę, że wojna jest wielkim złem – urodziłem się jednak i żyję w Europie Wschodniej, nad którą zawsze unosiło się widmo Rosji. Akceptowalny tutaj pacyfizm to pacyfizm ciężkozbrojny, prosto z rzymskiej maksymy si vis pacem, para bellum, jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny.

Oczywiście, można temu powiedzeniu przeciwstawić inne, amerykańskie, o tym, że jeśli masz w ręku młotek, to wszystko wygląda jak gwóźdź. Nie zauważać interesów, jakie potężne lobby amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego mają w trwających na świecie wojnach i zbrojeniach, byłoby ślepotą. Czy to cokolwiek jednak zmienia w mądrości medytacji Santayany? Tak, nasza jest krew, a ich jest nafta, a wojna jest wielkim złem, musimy jednak zaakceptować jej istnienie, inaczej nie będziemy w stanie przeciwstawić się jej, gdy zapuka do naszych drzwi.

A zapuka.

Koń

Czy taka była intencja Szczura gdy powiedział mi, że wojna nigdy się nie skończy? Również, jak mi się wydaje, ale nie tylko. Nie sądzę, aby miał na myśli tylko to, że gdzieś wojna będzie zawsze. Jego odpowiedź rozgrywała się na poziomie emocjonalnym, intuicyjnym, a więc często o wiele bliższym rzeczywistości niż racjonalny dyskurs. Niekończąca się, wieczna wojna Szczura wyciekała i wynikała z ran, jakie wojna w nim zostawiła.

Dwa miesiące wcześniej gość z innego świata, milcząc, towarzyszyłem mu w strasznym wieczorze, gdy opłakiwał, nie płacząc, śmierć swoich przyjaciół. Wyszedł, aby porozmawiać z żoną jednego z nich, słyszałem, jak krzyczy do słuchawki, ale nie słyszałem słów albo nie chciałem ich zapamiętać. Pił, dotykając ciągle rękojeści pistoletu w udowej kaburze, której nie zdjął, nie rzucił na łóżko jak inni.

Szczur, po co ty do niej teraz dzwonisz, martwili się jego przyjaciele, a on nie odpowiadał ani słowem, oczy miał zupełnie puste, twarz jak z kamienia, jakby nie było za nią człowieka. W jego milczącej, dostojnej i wściekłej jednocześnie żałobie była surowa wzniosłość żałoby Hioba, ale nie było Hioba pokory. Tamtego wieczora Szczura otaczała pulsująca aura śmierci. Bałem się jej i pociągała mnie swoją surowością. To, co czuł, a czego nie okazywał, odkładało się w nim kolejnymi warstwami gniewu, jak stalagmit nienawiści. Ta otchłań przynieść może żołnierzowi zarówno wielkość, jak i upadek. Widziałem i jedno, i drugie.

Na pewno nie przyniesie jednak ukojenia.

Kilka miesięcy później pewien wysoki, ukraiński oficer pokazał mi na ekranie swojego telefonu fotografię. Nadam mu na potrzeby tego tekstu pseudonim „Кінь", czyli Koń, bo coś mi mówi, że gdyby nie nosił innego, to mógłby nosić właśnie taki.

Na fotografii, którą mi pokazał, na cienkim drucie przywiązanym do lufy zniszczonego czołgu wisiał rosyjski czołgista i nie żył, jak to powieszeni za szyję mają w zwyczaju.

Zapytałem Konia: na co patrzę? Sam się powiesił? Czasem żołnierze popełniają samobójstwa w chwilach najstraszniejszego stresu. Wydawało mi się, że moje pytanie nie jest głupie.

Tak, tak, sam się powiesił – odpowiedział Koń, śmiejąc się szeroko, wielkodusznie, a ja nagle, na sekundę, zobaczyłem w nim Kurtza w samym jądrze ciemności, chociaż w niczym nie przypominał ani Marlona Brando w sercu wietnamskiej dżungli, ani oryginalnego Kurtza, może poza tym, że przyjął mnie tak, jakby przyjmował pielgrzymkę, bo też wielu do niego pielgrzymowało przede mną, zobaczyć wielkiego wojownika.

The horror, the horror! – chciałem powiedzieć, ale nie miałem odwagi, bo onieśmielała mnie jego wielkoduszna wesołość.

Te dwie sytuacje, fotografia powieszonego czołgisty i milcząca, nienawistna żałoba Szczura tylko pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego.

Dla Konia wojna również nigdy się nie skończy, chociaż nie zadałem mu tego pytania. Nie skończy się jednak, tak samo jak dla Szczura, chociaż gdy zamilkną działa, Koń będzie już generałem, a Szczur nie. Nie skończy się przez rany w duszy, przez święty i uzasadniony gniew, którego cień – nieporównywalny przecież, bo rany nie są moje – sam czuję na myśl o Buczy i Irpiniu czy o kałuży świeżej, lśniącej krwi, którą widziałem na ulicy w Dnipro. Należała do jednej z tak wielu przypadkowych ofiar tej wojny, do przechodnia, który miał nieszczęście znaleźć się obok szpitala, w który uderzyła rosyjska rakieta, akurat wtedy, kiedy w szpital ta rakieta uderzyła. A ja akurat byłem w pobliżu, przejazdem.

Poszedłem zobaczyć to na własne oczy i zobaczyłem. Ciało właśnie zabrały służby, została krew. To chyba powinien robić pisarz, widzieć, być świadkiem i dawać świadectwo. Nie wiem, co innego można robić z kałużą na asfalcie, tak dużą, że wiatr układał lśniącą krew w małe, równe fale, poza tym, że można ją zobaczyć i dać świadectwo. Nie oburzać się, oburzenie jest parą spod kotła naszej sprawczości uchodzącą przez gwizdek, oburzenie nie napędza do czynu, bo spala naszą energię samo w sobie, oburzenie to kolejny narkotyk odcinający nas od rzeczywistości – po prostu być świadkiem.

Marzenia

Koń takich kałuż w ciągu dziewięciu lat wojny widział tyle, że pewnie nawet ich już nie zauważa, bo widział też rzeczy gorsze. Koń chce zabijać rosyjskich żołnierzy, a jest ich zbyt wielu, żeby starczyło mu na nich życia. Nie robi już tego własnoręcznie, dowodzi brygadą za pomocą mieszczącego się w trzech pomieszczeniach wielkiego, podziemnego bunkra sztabu młodych ludzi, wpatrujących się z napiętą uwagą w ekrany komputerów, wpatrujących się w pola i porośnięte wysokimi drzewami miedze oczami niezliczonych dronów. Wiwatują, gdy do rosyjskiego okopu celnie wpada zrzucany z drona ukraiński granat. Śmieją się, kiedy z bunkra wybiega rosyjski żołnierz, próbuje uciec przed kolejnym dronem, potyka się, upada, obok niego spada kolejny granat, Rosjanin kuli się w embrionalnej pozycji, ranny, a żołnierze, którzy broniąc swojej ojczyzny, bronią również pośrednio mojego hajmatu, krzyczą: „jeeeeest!". Drony wracają do operatorów po nowe baterie i nowe granaty i niebawem wrócą do leżącego w płytkim leju Rosjanina.

Rozumiem ich radość, mają do niej prawo, cieszę się z ich sukcesów, bo bronią swojego kraju.

Co to jednak znaczy: „bronić swojego kraju"? Nie zgadzam się wcale ze znanym angielskim powiedzeniem, „may she always be right, but right or wrong, my country", patriotyzm nie jest wartością autoteliczną, przynależność państwowa nie jest ultymatywnym probierzem człowieczeństwa. Nie wiem, czy te setki tysięcy żołnierzy broniłoby Ukrainy, gdyby jej prezydentem był Janukowycz. Nie sądzę. Kiedy bronią swojego kraju, każdy z nich broni swojego marzenia i są to marzenia różne. O innej Ukrainie marzą dawni członkowie Prawego Sektora, ci nieliczni, którzy po dziewięciu latach wojny jeszcze żyją, o innej Ukraińcy o poglądach demokratycznych, liberalnych czy lewicowych, których, jak dowodzą wybory, jest znacznie więcej niż nacjonalistów, ale, jak mi się zdaje, zgadzają się co do jednego, o tym, w jakiej Ukrainie będą żyć, chcą decydować sami. Czy kiedyś – mam nadzieję, że po zwycięstwie, w które wierzy każdy ukraiński żołnierz – część z nich będzie rozczarowana kształtem, jaki w przyszłości ich Ukraina przybierze? Na pewno. Czy część z nich poczuje się zdradzona? To możliwe. Czy zgromadzą się na manifestacji, pytając: czy za to przelewaliśmy krew naszą i naszych braci? To również możliwe. Ale będzie to ich własne rozczarowanie, własna zdrada, własna sprawa. Broniąc więc kraju, nie bronią idei, granicy, tradycji, języka, być może tego też, przynajmniej niektórzy, ale przede wszystkim bronią prawa do życia na własnych zasadach. Prawa do życia innego niż niewolniczy byt poddanych Matuszki Rosji. Tego bronią, broniąc swojego kraju. I czyż nie warto tego bronić? Czy nie wstydzę się nawet, że jestem ich walki tylko świadkiem, nie uczestnikiem?

> Na cienkim drucie przywiązanym do lufy zniszczonego czołgu wisiał rosyjski czołgista i nie żył, jak to powieszeni za szyję mają w zwyczaju. Zapytałem Konia: Sam się powiesił? Tak, tak, sam się powiesił – roześmiał się szeroko

Rozumiem więc ich radość. Ale nie umiem wyrzucić spod powiek obrazu tego skulonego w płytkim leju rosyjskiego żołnierza, który wie, że drony wrócą i zrzucą na niego kolejny granat.

Co więc umiera w człowieku, a co w nim się rodzi, kiedy w wojenny sposób tak długo obcuje ze śmiercią?

Nigdy nie zapomnę śmiechu Konia, oficera odznaczonego najwyższym ukraińskim orderem Герой України – Bohater Ukrainy, który również w moich oczach jest bohaterem, nigdy nie zapomnę jego rozbawienia: tak, tak, sam się powiesił.

Nie zapytałem go, dlaczego nieszczęśnik ten zakończył swoje życie na drucie, na lufie własnego czołgu. Nie zapytałem nawet, czy miał coś specjalnego na sumieniu. Pewnie miał, bo Ukraińcy chętnie biorą jeńców, można ich potem wymienić na ukraińskich żołnierzy przebywających w niewoli rosyjskiej. Mało tego, tym rosyjskim jeńcom, którzy do Rosji wrócić nie chcą, Ukraińcy umożliwiają pozostanie w Ukrainie. Rosjanie jeńców głodzą zaś, torturują i okaleczają. Różnica jest zasadnicza i oczywista.

Widziałem jednak, co widziałem.

Nie chcę potępiać Konia za to, co mi pokazał, nie chcę go również usprawiedliwiać. Jestem tej wojny świadkiem, nie sędzią.

Gdy Koń kilka miesięcy temu był na urlopie, znalazł bombę pod samochodem, do którego wsiadał razem z żoną i dziećmi. Rosjanom zależy na jego śmierci i trudno mieć o to do nich pretensje. Ochraniający Konia żołnierze w porę rozbroili tę bombę. Ukraińcy tak samo próbowali zabić Prilepina, tak samo zabili córkę Dugina, chcąc zabić jego samego. Taka jest ta wojna.

Otchłań

Spotykając tych młodych, odważnych, zobojętniałych zupełnie na cierpienie ludzi, dzięki którym moi synowie być może nie będą musieli spędzać swojej młodości w okopach, przypominałem sobie weteranów ostatniej wielkiej wojny, których jeszcze znałem, i nie wiem, czy tylko mi się wydaje, czy widzę w nich ślady tej samej otchłani.

Czy tę samą otchłań miał w sobie mój dziadek, szeregowiec Wehrmachtu, tego nie wiem, bo zginął na kopalni w 1951 roku, ale kuzyn mojego drugiego dziadka, weteran frontu wschodniego, o którym nigdy nie mówił, odznaczony wszystkimi błyskotkami, jakie Hitler dawał swoim żołnierzom za skuteczne zabijanie wrogów, niósł w sobie tę otchłań. Pustkę, która wbrew swojej istocie potrafi płonąć, próżnym, okrutnym ogniem.

Był to spokojny, dobrotliwy i życzliwy człowiek o oczach martwych tak jak oczy Szczura.

Szeptali z moim dziadkiem swoje sekrety po niemiecku, myśląc, że nie rozumiem.

Rozumiałem. Pustki w nim płonącej bałem się nawet jako dwudziestolatek. Otchłań, która w nim była, widziałem później na obrazach Georga Grosza i Ottona Dixa, a jeszcze później w oczach ukraińskich żołnierzy Donbasu. Ukraińscy żołnierze tak samo czasem szeptali przy

eprasa.pl 8aafe869ec

mnie między sobą po ukraińsku, zakładając, że może nie rozumiem, i również wtedy rozumiałem.

O pustce, która płonęła w sercach weteranów wielkiej wojny, pisali Céline i Döblin i przecież zarówno Bardamu, jak Biberkopf noszą ją w sobie, nawet jeśli ten drugi weteranem nie był (nie wiemy tego), to żył w świecie przemocy i cierpienia, jakie każdej wojny są owocem.

Dla Szczura i Konia wojna nigdy się więc nie skończy, ale ich niewiara w pokój nie odnosi się tylko do ich wewnętrznego pokoju.

Szczur i Koń wierzą, że odbiją Krym, odzyskają swoją ojczyznę w granicach z 2014 roku, pomszczą umarłych, winnych postawią przed sądem – wierzą w to, bo to dla nich jedyne akceptowalne zakończenie tej wojny.

Ale czy wierzą, że naprawdę uda im się do tego doprowadzić, płacąc za każdy metr odbitej ziemi tę straszną daninę krwi? Kiedy widziałem się z nimi, dużo mówili o „głodzie amunicji", przede wszystkim artyleryjskiej, a Szczur nawet pytał, czy nie mogę mu załatwić gdzieś amunicji do działa zdobycznego czołgu, i był dość rozczarowany, że zaangażowany, owszem, w zrzutkę na rzecz ukraińskiej armii, lecz jednak tylko pisarz akurat takich spraw mu nie załatwi. Więc gdzie Krym, gdzie Donieck, Ługańsk, Mariupol?

Linia

Kiedy zaczynałem pisać te słowa, jeszcze w maju 2023 roku, na żyznych stepach pontyjskich rozpoczynała się ofensywa, która mogła stać się największą od czasów drugiej wojny światowej lądową operacją wojskową, której wynik zaważy na naszej historii na najbliższe dekady, tak jak po drugiej wojnie światowej żyliśmy w świecie, którego podstawowe zręby wykuły się w bitwie o Stalingrad i na Łuku Kurskim.

Wynik zaważył, ofensywa jednak się w pełni nie rozpoczęła, pierwsze próbne ataki utknęły w głębokich liniach rosyjskiej obrony, w wojnie, która tak podobna jest i jednocześnie różna od wojny, w której utknęli moi pradziadkowie ponad sto lat temu, w lepkim błocie Flandrii. Słuchając nieba w 1918 roku, nasłuchiwali świstu pocisków, w Donbasie w 2023 roku jeszcze bardziej nasłuchuje się brzęczenia dronów, ale sama kinetyczna wymiana ognistych nawał pozostaje ta sama.

Nic na razie więc nie wskazuje, by losy tej wojny miały rozstrzygnąć się w spektakularnej bitwie manewrowej, w wielkim przełamaniu frontu, ani – co za tym idzie – bezwarunkową kapitulacją którejkolwiek ze stron. Ukraińcy, co oczywiste, nie pójdą na Moskwę ani nawet na Rostów nad Donem, bo nie chcą, chcą tylko bronić swojego kraju, ale też nie mają ku temu środków. Wbrew presji, jaką na rządzących Ukrainą wywierają obawiający się eskalacji Amerykanie, kibicuję wszystkim próbom przeniesienia działań wojennych na terytorium Federacji Rosyjskiej, bo to skutecznie podminowuje jedyną legitymację rządzącego Rosją reżimu i zmusza go do przenoszenia środków z frontu na zaplecze, nic jednak nie wskazuje, aby te działania miały kiedykolwiek wykroczyć poza skalę sabotażu i pojedynczych, awanturniczych rajdów w przygranicznych terenach. Również z powodu amerykańskiej, dyscyplinującej Ukraińców presji. Pewien amerykański dyplomata opowiadał mi o tym, jaką wściekłość wzbudzają w nich niekonsultowane z nimi działania Ukraińców, a przecież Ukraińcy wiedzą, że pewnej granicy przekroczyć nie mogą, bo bez wsparcia z Zachodu skazani są na porażkę. Mogą oczywiście grać twardo i pozwalać sobie na o wiele więcej, niż pozwalać chciałby im kolektywny Zachód – bo ten ma na wschodzie Ukrainy swoje żywotne interesy, gdzieś jednak leży linia, której przekroczyć nie mogą.

Rosjanie z drugiej strony próbowali iść na Kijów, ale im się nie udało, i chociaż bardzo by chcieli, to nie sądzę, aby byli do tego zdolni, skoro nie udało im się to w pierwszych dniach wojny.

Wojna więc utknęła.

Motywacja

John Mearsheimer uważa, że w tej wojnie na wyniszczenie Rosja ma istotną przewagę i w końcu, zdolna do dłuższego jej prowadzenia, zwycięży. Samym potencjałem artyleryjskim i zdolnością do jego odtwarzania. Ten sam John Mearsheimer uważa również, iż wojnie winien jest Zachód, który zanadto przybliżył się do granic Rosji, oraz sami Ukraińcy, którym wydawało się, że mogą o swoim kraju decydować samodzielnie. W wywiadzie udzielonym „New Yorkerowi" w marcu 2022 roku mówił: „Kiedy jesteś krajem jak Ukraina i znajdujesz się obok mocarstwa, jakim jest Rosja, to musisz zwracać szczególną uwagę na to, co Rosjanie myślą, ponieważ gdy weźmiesz kij i szturchniesz ich w oko, to Rosja się zrewanżuje".

Dla Mearsheimera wystarczającym uzasadnieniem rosyjskiej agresji jest rosyjska siła – która, jak widzimy od kilkunastu już miesięcy, wcale nie okazała się tak potężna, jak spodziewaliśmy się przed wojną, i rosyjska armia, która miała być druga na świecie, na razie jest druga, ale w Ukrainie. Zatrzymajmy się tutaj jednak przy tym, co Mearsheimer sądzi na temat przewidywanej przezeń klęski Ukrainy w efekcie wojny na wyniszczenie.

Nie jest to oczywiście nic więcej niż educated guess. Wielu specjalistów jest innego zdania, ja jednak nie chcę tutaj przeciwstawiać jednego autorytetu, nawet jeśli skompromitowanego, innym, chciałbym za to zwrócić uwagę na coś innego.

Wspominany już przeze mnie Ernst Jünger w swoim eseju „Walka jako przeżycie wewnętrzne" pisze tak (tłumaczenie moje):

„Bitwa maszyn jest tak gwałtowna, że człowiek niemal znika w jej obliczu. Zamkniętemu w polach siłowych nowoczesnej bitwy, zdawało mi się dziwnym i mało wiarygodnym, bym świadkiem miał być wydarzenia należącego do historii świata. Walka wyrażała się jako gigantyczny, martwy mechanizm, rozpościerała nad ziemią lodowatą, bezosobową falę unicestwienia. Było to jak pełen kraterów krajobraz martwej gwiazdy, pozbawiony życia i oprószony żarem. A jednak: za tym wszystkim stoi człowiek. To on nadaje maszynom kierunek i sens. Wyrzuca z nich pociski, materiały wybuchowe i truciznę. Unosi się w nich, niczym drapieżny ptak nad przeciwnikiem. Kuli się w ich brzuchach, gdy ogniem uderzają w pole bitwy. Jest on najniebezpieczniejszym, najbardziej krwiożerczym i zdeterminowanym ze stworzeń, jakie ziemia musi nosić".

> Ludzie mądrzejsi i moralnie lepsi od zarządzających wojną generałów i polityków wierzą, iż wojna jest tylko kryminalną, straszną pomyłką i ludzie mądrzy i moralni mogliby wykorzenić ją raz na zawsze

Jünger napisał to w 1924 roku, po doświadczeniu wielkiej wojny. Wojna oglądana z perspektywy okopów i bunkrów Donbasu wygląda podobnie. To człowiek unosi się nad okopami, gdy nad okopem unosi się zrzucający granaty albo ściągający artyleryjską nawałę dron. To człowiek decyduje o tym, ile jeszcze wytrzyma w bunkrze pod nieustającą nawałą artylerii.

Dlaczego pytanie „co będziesz robił, kiedy skończy się wojna" jest ważne – bo jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego i po co walczysz, o jakie życie walczysz.

Motywacja ukraińskich żołnierzy do obrony swojego kraju jest, en masse, gigantyczna. Jaką zaś motywację mają rosyjskie „mobiki", skoro na polu bitwy trzymają ich jedynie oddziały zaporowe? Tego zdaje się nie uwzględniać Mearsheimer w swej kalkulacji. Oczywiście, wśród ukraińskich żołnierzy również są tacy, którzy nie chcą walczyć. Ukraińskie Siły Zbrojne rozrosły się do rozmiarów prawdziwej, ludowej armii, więc są w ich szeregach marudzy, złodzieje, nieliczni faszyści. Widziałem kilku w Donbasie – z wytatuowanymi hitlerowskimi symbolami na szyjach, rozmawiałem z nimi, byli po prostu żołnierzami. Dlaczego są w armii? Kraj, który toczy wojnę z potężniejszym wrogiem, nie może pozwolić sobie na luksus selekcjonowania swoich żołnierzy. Przy stratach, jakie Ukraina ponosi w ludziach, każdy żołnierz jest na wagę złota. Kiedy walczy cały naród, to walczą również faszyści – w ostatnich wyborach ukraińskie partie skrajnie prawicowe uzyskały 2 proc. głosów, prawie dziesięciokrotnie mniej, niż miewają w sondażach AfD czy Konfederacja.

Faszyści przynajmniej chcą walczyć. Wielu ukraińskich żołnierzy z poboru nie chce i trudno im się dziwić – nie każdy może być żołnierzem, nawet kiedy każdy musi. Żołnierze pokazywali mi zdjęcia ukraińskiego dowódcy batalionu zastrzelonego przez swojego podwładnego, który odmówił wyjścia do ataku. To wszystko się zdarza i zdarzać się musi przy skali tej wojny i liczbie zaangażowanych w nią ludzi. Jednak patrząc z oddalenia na ten kraj i na jego wysiłek, można być pewnym, że Ukraina się nie podda.

Czy więc podda się Rosja? Jedyną legitymacją, jaką ma Putin dla swojej władzy, jest siła.

Pokonany dyktator szybko przestaje być dyktatorem. Putin więc też nie może po prostu ponieść porażki.

Jak więc kończy się wojna, która nie może się skończyć?

Dharma

Samuel Charap w „Foreign Affairs" spodziewa się zamrożenia tej wojny, podobnie jak zamarzła wojna koreańska. Margaret McMillan, również w „FA", apeluje o to, by po tym, jak zamilkną działa, potraktować Rosję raczej jak Niemcy Zachodnie po 1945 roku, nie jak Niemcy w roku 1918, obawiając się, jak będzie wyglądać architektura bezpieczeństwa w Europie, jeśli Rosja pozostanie pariasem społeczności międzynarodowej, nie dostrzegając, iż powodem, dla którego RFN i Włochy można było przyjąć do NATO, była ich uprzednia bezwarunkowa kapitulacja, której trudno się spodziewać po mocarstwie nuklearnym.

Myślę, że tak naprawdę jak ta wojna się skończy, nie wie nikt. Kinetyczne starcie tej skali to równanie o zbyt wielu niewiadomych.

Mogę powiedzieć, jakiego końca tej wojny chciałbym.

Zachar Prilepin, rosyjski pisarz, zajadły nacjonalista i oficer Rosgwardii, napisał jakiś czas temu, jeszcze przed zamachem na jego życie, że Rosjanie walczą dziś na umocnieniach, jakie budowali przeciwko ukraińskim Kozakom Chmielnickiego w XVII wieku, przed ugodą perejasławską.

To symboliczny obraz. Od Perejasławia tak naprawdę zaczyna się rosyjski imperializm, którego apogeum była żelazna kurtyna. Bez ukraińskiego potencjału rolniczego i ludnościowego Rosja nie będzie imperium, tak jak bez Indii imperium przestała być Wielka Brytania. Bez Ukrainy Rosja może być co najwyżej lokalnym mocarstwem, o potencjale nieporównywalnym do potencjału Stanów Zjednoczonych, Chin czy Unii Europejskiej.

Takiej Rosji chciałbym. Nie dlatego, bym nienawidził Rosjan. Bynajmniej. Jako młody człowiek przejechałem Rosję kilkakrotnie z zachodu na wschód koleją transsyberyjską i moje doświadczenia obcowania z prostymi Rosjanami, bo tylko takich poznawałem, podróżując jako nędzarz, były wspaniałe.

Życzę Rosjanom całkowitej klęski w Ukrainie, w efekcie upadku rządów Putina i końca Rosji jako imperium, bo życzę Rosjanom dobrze, życzę im, żeby mogli żyć w kraju, który swoich poddanych – bo nie obywateli – z tej rosyjskiej глубинки traktuje jak ludzi, nie jak gnój.

To, czego ja chciałbym, nie ma jednak oczywiście żadnego znaczenia.

Co więc będzie po wojnie, która nigdy się nie skończy?

W drugim rozdziale Bhagawadgity Kryszna pociesza i poucza Ardżunę, który, ujrzawszy tak wielu swoich krewnych na polu bitwy na polu Kurukszetra, nie chce walczyć. Człowiek rozumny nad żywym nie rozpacza, ani nad umarłym, mówi Kryszna i prowadząc wykład o niezmienności świata, mówi, że nieuniknioną jest śmierć dla tego, który się rodzi, a narodziny dla tego, który umiera, a nad nieuniknionym boleć nie należy.

Nie powtórzyłem mądrości Kryszny Szczurowi pogrążonemu w niemej żałobie, nie był to czas na stare książki, które być może nie mają wcale sensu, nawet jeśli są bardzo piękne.

Koniowi pewnie spodobałoby się to, co Kryszna mówi Ardżunie chwilę później – sprawiedliwa walka jest twoim przeznaczeniem, bo jesteś wojownikiem. Nie ma dla wojownika lepszego zajęcia niż sprawiedliwa wojna. Taka jest twoja dharma – droga, prawda i powołanie. Może kiedyś mu to powtórzę i obaj będziemy wiedzieli, że ani mądrość Kryszny, ani generalskie gwiazdki na patce munduru nie ukoją wojny, która płonąć będzie w jego sercu i umyśle.

Wojny, która nigdy się nie skończy. ●

Śródtytuły od redakcji.

eprasa.pl 8aafe869ec

JAK KRYSCINA CIMANOUSKA

UCIEKŁA ŁUKASZENCE, WYSZŁA Z DEPRESJI I POBIEGŁA SZYBCIEJ

Z BIEGACZKĄ **KRYSCINĄ CIMANOUSKĄ** ROZMAWIA **RADOSŁAW LENIARSKI**

Dwa lata po ucieczce z Białorusi może startować dla Polski. World Athletics zgodziła się na międzynarodowe starty sprinterki jako Polki i Kryscina Cimanouska – od ponad roku obywatelka naszego kraju – wystartuje na zaczynających się w sobotę 19 sierpnia mistrzostwach świata w Budapeszcie. To epilog porywającej historii, która zaczęła się dwa lata temu na igrzyskach olimpijskich w Tokio.

Jej prolog miał miejsce wtedy, gdy białoruski komitet olimpijski (BKOl), którego szefem jest Wiktar Łukaszenka, syn dyktatora Białorusi Aleksandra, chciał zmusić ją do startu w Tokio w sztafecie 4x400 m. Były w niej wstydliwe wakaty: biegaczek nie dopuszczono do igrzysk, bo złamały przepisy antydopingowe. Cimanouska się nie zgodziła na bieg w sztafecie 400 m, bo przygotowała się do sprintów na 100 i 200 m. Skrytykowała działaczy, że dopuścili do takiej sytuacji, a to ich rozwścieczyło. Postanowili ją ukarać: karnie odesłać do ojczyzny, być może do więzienia albo psychiatryka. Tego się obawiała, od kiedy działacze napisali w oficjalnym oświadczeniu BKOl, że ma natręctwa i maniakalne myśli.

O 5 rano przyszli do jej pokoju w wiosce olimpijskiej i kazali jej się spakować, a potem zabrali na tokijskie lotnisko Haneda. Tam 24-latka urwała się obstawie, podbiegła do japońskiego policjanta z przetłumaczonym w smartfonie zdaniem: „Pomocy! Próbują mnie przemocą wywieźć. Grozi mi niebezpieczeństwo". Wkrótce przewieziono ją do polskiej ambasady, a potem odleciała w tajnej akcji służb dyplomatycznych przez Wiedeń do Warszawy.

Bała się pani?
– Kiedy?

W Tokio, gdy z białoruską obstawą wchodziła pani do samochodu, który miał panią zawieźć na lotnisko.
– Pewnie, bałam się. Nie wiedziałam, co się ze mną stanie.

Ale miałam telefon od mojej babci. „Rób, co chcesz, tylko nie wracaj" – powiedziała. To zdecydowało o ucieczce. Jedna sekunda.

Byłam pewna, że po powrocie do Mińska mnie aresztują, znajdą jakieś paragrafy, aby mnie ukarać. Byłby to dla mnie koniec sportu, i może nie być jedyny koniec w moim życiu. Znałam kilka takich przypadków – zawodników aresztowano i przetrzymywano za kratami przez kilka dni. Po wyjściu na wolność opowiadali straszne rzeczy o traktowaniu więźniów. A ja nic takiego nie zrobiłam, żeby zasłużyć na więzienie. Ja chciałam tylko biegać. Ucieczka z Tokio była desperackim krokiem, ale musiałam uciec. Więc gdy już zdecydowałam o ucieczce, to potem już tylko bałam się, że może mi się nie udać urwać obstawie i że mnie złapią. Wymyśliłam drugi plan: gdyby nie wypalił pomysł ze zgłoszeniem się do japońskiego policjanta i Białorusini próbowaliby mnie zmusić do wejścia do samolotu, zrobiłabym coś z paszportem, zniszczyłabym go. Wtedy musieliby mnie zatrzymać japońscy pogranicznicy. W ten sposób urwałabym się tym, którzy mnie przywieźli na lotnisko.

KOSZULKA Z NAPISEM „JA CHCĘ TYLKO BIEGAĆ"

A teraz znów ma pani przed sobą karierę. Zaskoczyła panią szybka decyzja World Athletics?
– Tak, bo stało się nagle i zupełnie niespodziewanie. Wcześniej byłam przekonana, że będę mieć karencję przez trzy lata, standardową, jaką World Athletics nakłada na każdą osobę zmieniającą reprezentację kraju. Miałam tylko nadzieję, że przed igrzyskami federacja pójdzie mi na rękę i zakończy ją miesiąc wcześniej, abym mogła wystartować na następnych igrzyskach w Paryżu, ale nawet tego nie byłam pewna. Czyli oczekiwałam jeszcze jednego roku męki. Z takim przekonaniem startowałam w mistrzostwach Polski, które odbywały się w końcu lipca. Tomek Majewski, wiceszef Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, też miał takie informacje. I jak się dowiedziałam, że to koniec mojej udręki, to byłam strasznie, strasznie zadowolona [Kryscina nie użyła słowa „szczęśliwa", ale z jej głosu po prostu promieniowało szczęście]. Świętowałam!

Czyli?
– Czyli poszłam na trening.

Pamiętam pani koszulkę z napisem „Ja chcę tylko biegać". Jaki napis będzie na niej teraz?
– Musiałabym chwilę pomyśleć. Chciałabym zdobyć jeszcze jakieś medale, bo one są dowodem, że jestem dobra w tym, co robię. Chciałabym to poczuć, bo od dawna żadnych nie zdobyłam. Mogłabym to zrobić na uniwersjadzie [igrzyska studenckie], ale ta szansa mi uciekła, nie mogłam pojechać właśnie ze względu na karencję. Szkoda, bo patrząc na wyniki, mogłabym mieć medale na 100 m, 200 m i w sztafecie 4x100 m.

Wyobrażam sobie, jak ciężko pracować, mając świadomość, że przez trzy lata nie można startować w najważniejszych zawodach.
– Tak, ale ja i tak pracowałam na pełnych obrotach, bo mogłam startować w Polsce. Mam już rekord życiowy w tym sezonie na 200 m, nigdy nie biegałam tak szybko na tym dystansie. Kilka razy osiągnęłam na nim czas poniżej 23 s. Na 100 m 11,16 s to też doskonały wynik. W sumie ten sezon jest najlepszy w mojej sportowej karierze. Co oznacza, że mam naprawdę dobrą formę. Ale nie najlepszą. Do igrzysk pozostał rok, mogę popracować nad szybkością i wytrzymałością. Będę lepsza.

DEPRESJA SAMOTNEJ BIEGACZKI

Pierwsze miesiące po ucieczce były szczególnie rozczarowujące.
– Było bardzo ciężko, przyznaję. Rozmawiałam o tym często z mężem [Arseń Zdaniewicz opuścił Białoruś w dniu, w którym Kryscina uciekła białoruskim działaczom w Tokio], z trenerem Maciejem Wojtkowskim, z rodzicami. Przekonywaliśmy się nawzajem, że trzeba poczekać, że trzeba działać powoli, a na koniec pokazać swoją formę i wygrywać. Trzeba tylko nauczyć się czekać, nauczyć się cierpliwości. To trudne.

A najtrudniej było w 2022 roku, wyniki były zupełnie nie takie, na jakie miałam nadzieję. Dla mnie, sportowca, który chce udowodnić swoją wartość sobie i ludziom, którzy pomogli, bym mogła żyć w Polsce, to szczególnie dołujące. Na 200 m biegałam po 23,30 s, na 100 m 11,30-40 s. Ktoś może powiedzieć: no i co z tego, to tylko cyfry. Ale te wyniki mnie przygnębiały, ciężko mi było nawet na nie patrzeć. Myślałam, żeby skończyć ze sportem. Sto razy myślałam, żeby go rzucić. Nie chciałam chodzić na treningi, w ogóle sobie ich nie wyobrażałam. Zmuszałam się do nich z najwyższym trudem.

Bo nie czuła się pani pewnie i bezpiecznie.
– Oczywiście wszystko było związane z moją nową sytuacją. Okazało się, że stan psychiczny zaczął wpływać na stan fizyczny, zaczęło mnie wszystko boleć: najpierw plecy, potem mięsień dwugłowy, chyba najważniejszy dla sprinterki, potem mięśnie poniżej kolana. Chodziłam do lekarzy specjalistów, oglądali, badali, prześwietlali, skanowali, ale nic złego nie byli w stanie zdiagnozować. Nie wiedzieli, o co chodzi, i ja nie wiedziałam: badania nie pokazywały nawet najdrobniejszej kontuzji, a mnie tak bolało, że nie byłam w stanie się ruszyć.

Jeszcze zimą robiłam dużo falstartów, bo wchodziłam na bieżnię z poczuciem, że nie ruszę z miejsca. Zmuszałam się, ale wtedy następowały falstarty.

Wszystko skończyło się dopiero po zimowym sezonie.

Jak pani myśli, dlaczego poczuła się pani lepiej?
– Bardzo dużo pracowałam z psychologiem, zaczęłam zaraz po przyjeździe do Polski. Był to mój pomysł, bo uznałam, że bez tego nie mam szans na spokój wewnętrzny. Od początku, od pierwszego dnia w Polsce, żyłam z ogromnym ciężarem psychicznym. Był to niepokój o przyszłość, była niepewność – po prostu o to, co się stanie ze mną dziś i jutro. Była tęsknota za domem, za rodzicami. Czułam, że nie jestem w Polsce bezpieczna, bałam się, że ktoś z Białorusi przyjedzie za mną do Warszawy zrobić mi krzywdę, jakiś agent z FSB czy z innej służby. Wiadomo, jakie mają metody. Przez to miałam ochronę Służby Ochrony Państwa – serdecznie za nią dziękuję.

Długo to trwało?
– Dostałam propozycję ochrony od razu po przyjeździe. I po pięciu miesiącach sama poprosiłam o jej zakończenie. Życie z całodzienną obecnością SOP było bardzo trudne: nie mogłam wyjść z domu sama, nie mogłam pójść sama na spotkanie z przyjaciółmi czy do centrum handlowego. Musiałam dzień wcześniej zawiadamiać SOP o wyjściu z domu, zdawałam raport, co planuję następnego dnia: że o godz. 10. trening, że o 14. muszę jechać na zakupy. Że dwa, trzy razy dziennie muszę wyjść z psem na spacer. Wtedy również mnie strzegli. Sama nie mogłam wyjść z mieszkania.

Ale kiedy zrezygnowałam z ochrony, zaczęło mi się w głowie kotłować od myśli, że ktoś mnie śledzi, że ktoś chce mi zrobić krzywdę. To było straszne uczucie. A najgorsze w nim było to, że nie ustępowało, że ciążyło dzień w dzień. Bałam się nawet wychodzić sama z psem. Ciężko jest żyć w takim stanie psychicznym, ciężko mieszkać, a trenować, gdy ma się takie myśli w głowie, jest już niemal niemożliwe. W dodatku dostawałam okropne wiadomości na Instagramie, strasznie było je czytać. Jacyś ludzie pisali, że wiedzą, gdzie jestem i że mnie spotkają w Warszawie, a wtedy połamią mi nogi i ręce.

Zgłosiła pani na policję groźby?
– Nie. Po prostu zablokowałam nadawców. Wtedy nie czułam się tu jak u siebie, nie czułam się na tyle pewnie, aby korzystać w ten sposób z pomocy. Myślę, że te okropne rzeczy pisano z Białorusi. No i, koniec końców, nikt mi nic nie zrobił.

DZISIAJ BYŁA U NAS POLICJA

W Białorusi mieszkają pani rodzice.
– Jest u nich niby-spokojnie, dzień mija za dniem. Ale to złudny spokój. Pewnego wieczora zadzwoniła do mnie mama

eprasa.pl 8aafe869ec

FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

i powiedziała: „Dzisiaj przyszła do nas policja i pytała, gdzie jesteś. Mówimy, że nie ma cię w Białorusi, a oni, że za dwa dni wyślą za tobą międzynarodowy list gończy". W takich problemowych sytuacjach zawsze dzwonię do Pawła Łatuszki [jeden z najważniejszych białoruskich polityków opozycyjnych, na emigracji w Polsce]. Po tym telefonie też od razu do niego zadzwoniłam i zapytałam, co się stanie, jeśli Białoruś wyśle za mną taki międzynarodowy list gończy. Łatuszka powiedział, żebym się nie niepokoiła, że w Polsce jestem bezpieczna, a w razie czego i tak jest w stanie tak wszystko zorganizować, że w ciągu dwóch godzin nie będzie po mnie śladu. Takich wizyt FSB czy policji było u moich rodziców kilka. Nawiedzają ich tylko po to, żeby postraszyć, ponękać i żeby mnie zaniepokoić i zestresować. Doskonale wiedzą, gdzie jestem.

Spotka się pani z rodzicami?
– Na razie nie.

Ale ma pani nadzieję?
– Tak. Ale dziś przyjazd do Polski nie będzie dla nich dobry, bo gdy wrócą do Białorusi, mogą mieć kłopoty. Nie pójdą do więzienia, co to to nie, ale mogą ich policjanci nękać swoimi odwiedzinami, pytaniami o mnie. Nie chcę tego. Były już takie sytuacje u moich znajomych, których rodzice wrócili do domu z odwiedzin w Polsce. Myślałam, że spotkamy się na przykład w Turcji, ale niestety oboje rodzice są chorzy, tata nie powinien latać samolotem.

Możliwość startów międzynarodowych oznacza, że może się pani natknąć na tych Białorusinów, którzy chcieli panią wysłać z Tokio do więzienia. Na razie są wykluczeni z lekkoatletyki za wojnę w Ukrainie, ale niestety nie na wieki wieków amen. Byłaby pani gotowa na takie spotkanie?
– Dodzwoniła się do mnie dziennikarka z Białorusi i zapytała o to samo: co ja powiem koleżankom i kolegom z reprezentacji Białorusi, gdy ich spotkam na zawodach. Na razie ich nie spotkam, to po pierwsze. Po drugie, wcale się tego nie boję. Dlaczego mam się bać? To sprinterki z Białorusi będą się bać, bo ja będę szybsza. Widziałam, że artykuł powstał. Dziennikarka dobrze napisała, znaczy, tak jak powiedziałam.

Ja miałem raczej na myśli działaczy bezpieczniaków.
– Dzięki pracy z psychologiem jestem do spotkania przygotowana do tego stopnia, że mogłabym podejść do takiego pana i zapytać, o co mu chodzi, co się stało, czego ode mnie chce.

NO CO WY, PRZECIEŻ TO KŁAMSTWO

Zostawili już panią w spokoju w starej ojczyźnie czy wciąż obsmarowują w mediach?

Mam wrażenie, że teraz więcej dobrych, pomocnych Białorusinów jest w Polsce niż w swojej ojczyźnie, że najlepsi Białorusini mieszkają tutaj

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

– Oczywiście, że nie zostawili, i nic dobrego o mnie nie powiedzieli ani nie napisali. Jeśli piszą o mnie, a czasem to robią, to zawsze w negatywnym świetle. Skończyłam się, nie mam wyników, nie biegam, a jeśli nawet gdzieś startuję, to w zawodach dla dzieci. Jest to nieprawda obliczona na odstraszanie ludzi, którzy mogliby pomyśleć, że moje życie zmieniło się na lepsze po ucieczce z Białorusi do Polski. Ale kiedy przychodzą do moich rodziców znajomi i mówią, że słyszeli w telewizji, że ze mną jest w Polsce bardzo źle, to rodzice zaraz prostują: „No co wy, przecież to kłamstwo, że u niej źle się dzieje. U niej wszystko dobrze".

Mam wielu przyjaciół i znajomych, Polaków i Białorusinów. Mam ich więcej, niż miałam w Białorusi. Wielu z nich ma swój biznes w Polsce i dzięki temu mogą pomagać innym, którzy dopiero uciekli – pieniędzmi i doświadczeniem z Polski.

Czy wyczuwa pani w Polsce niechęć do Białorusinów z powodu zaangażowania kraju w wojnę w Ukrainie po stronie Rosji?

– Przede wszystkim to nie Białorusini są zaangażowani w wojnę, ale Białoruś Aleksandra Łukaszenki i jego funkcjonariuszy.

Oczywiście są różni ludzie na świecie i są różni Polacy. Od jednej osoby na tysiąc mogę usłyszeć, że jestem z Białorusi, a więc sprzyjam wojnie. Ale Polacy rozumieją, że ci, którzy uciekli z Białorusi, uciekli od Łukaszenki i nie chcą żadnej wojny. Polacy pamiętają, co działo się trzy lata temu w Białorusi, pamiętają o masowych protestach przeciwko fałszerstwom wyborczym.

Mam wrażenie, że teraz więcej dobrych, pomocnych Białorusinów jest w Polsce niż w swojej ojczyźnie, że najlepsi Białorusini mieszkają tutaj. Myślę, że ci dobrzy ludzie, którzy są zmuszeni do pozostania w Białorusi – wciąż jest ich tam bardzo wielu – nie mogą żyć swoim życiem. Muszą uważać, co mówią, co robią, tak żeby nikt, żadna służba, żaden funkcjonariusz nie zwrócił na nich uwagi. Za wstawionego lajka pod jakimś nieprawomyślnym wpisem można pójść do więzienia. A ja w zeszłym roku byłam w Portugalii na obozie poznać koleżanki i kolegów z reprezentacji Polski, poczuć atmosferę, podszkolić język polski. Wszyscy są mili, pytają o rodziców, dopytują, czy w Polsce dobrze się czuję, chcą pomóc. W klubowej grupie treningowej w ogóle jest super. Czuję się w Polsce jak w domu.

Nie kusiło pani, żeby w nowym paszporcie zmienić „Krystsina Tsimanouskaya" na polskie imię i nazwisko?

– Też mi się nie podoba angielska transkrypcja z białoruskiego języka. Ale kiedy wyrabiałam nowy paszport, nie wiedziałam, że mogę to zmienić. W urzędzie mi nie powiedzieli, niestety. Zostało tak, jak miałam w paszporcie białoruskim. ●

FOT. EAST NEWS

Bałam się, że przyjadą z Białorusi zrobić mi krzywdę. Ochrona strzegła mnie, nawet gdy wychodziłam z psem

OGŁOSZENIE 34269629 1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

PEŁNĄ GĘBĄ

LATO W OLEJU

Jadłem w zadziwieniu, że z rodzimego warzywniaka można wydobyć aż tyle smaku.
– Majo, to wszystko majo! – podsumował me zachwyty fotograf Bartek.

Maciej Nowak

Mówią, że saper myli się tylko raz. Krytyk kulinarny – wręcz przeciwnie, myli się wielokrotnie, a potem cierpi fizycznie i moralnie. Taka robota. W wakacyjnej gastrowłóczędze przez Polskę postanowiłem jednak nie odwiedzać adresów nierokujących. Mamy czas wytchnienia, dlaczego marnować go na wpadki i klęski? Najkrótszą zatem drogą zmierzajmy do Sopotu do Fishermana. Nie musicie nawet zbliżać się do mola i Monciaka, które u niektórych co delikatniejszych bytów wywołują stresy klasowe.

Fisherman mieści się na Karlikowie, tuż koło malowniczego placu Rybaka, w miejscu położonym nieopodal plaży, a jednak nieco na uboczu głównego letniskowego nurtu. Gustujący w kurortowym blichtrze tutaj nie docierają, a szef kuchni i zarazem właściciel lokalu Rafał Koziorzemski może skoncentrować się na rozwijaniu swoich wizji. I tworzyć dla publiczności umiejącej to docenić, co sam widziałem i zazdrościłem, bo zacnie jest pracować dla ludzi, którzy szanują talent prawdziwego fachowca. Można zamawiać dania à la carte, ale dla pełniejszego obrazu warto skorzystać z menu degustacyjnego, które pozwala docenić wszystkie tony i kolory tutejszej kuchni. Na stół wpływa większość dań – lecz w wersji mini. Jest to rozwiązanie idealne, by poznać całą ofertę, ale też może stać się przekleństwem, gdy okazuje się, że styl gotowania z jakiegoś powodu nam nie odpowiada. Wtedy zmuszeni jesteśmy brnąć raz obranym kursem i odwrotu nie ma, co w efekcie prowadzi do frustracji i myśli o kryminalnym wykorzystaniu sztućców stołowych. Zdarzało się w lokalach z taką właśnie ofertą, że byłem o krok od krwawej zbrodni. Żując jakieś stylistyczne dziwactwa, wyceniane na abstrakcyjnie wysokie kwoty, rozważałem plan mordu. Wzorem była mi „Teksańska masakra piłą mechaniczną". Szczęśliwie taka perspektywa nie grozi Rafałowi Koziorzemskiemu, gdyż chłopak gotować umie, a w swych kompozycjach sięga do kuchni znanej mu z domu w ziemi chełmińskiej, czyli u Krzyżoków. Set złożony z dziewięciu dań plus ewentualnych premii kosztuje 345 zł. Biorę się do roboty.

Show zaczyna się od wędzonego pstrąga ze słynnych w regionie stawów w Kleszczewie. Rybę posypano suszonym żółtkiem kurzym i udekorowano piklowaną cebulą i kurkami. Z kolei malutkie pękate placki ziemniaczane, zwane na Kaszubach plincami, podano z kawałkami łososia i kulą twarogu z rzodkiewką i rzepą. A wszystko skropione kaszubską oliwą, czyli olejem rzepakowym pierwszego tłoczenia. W tłuszczu z kaszubskiego zielonego złota zamknięty jest aromat i bogactwo lata. Tyle że nie tego przepalonego śródziemnomorskim słońcem, lecz bardziej życzliwym, pieszczotliwym światłem wakacyjnych Kaszub. Jako trzecie danie pojawiła się sałatka z zielonych sezonowych warzyw. Był tam groszek, bób, seler naciowy, fasolka edame, a wszystko w ziołowym majonezie. Jadłem w zadziwieniu, że z rodzimego warzywniaka można wydobyć aż tyle smaku. – Majo, to wszystko majo! – podsumował me zachwyty pracujący na tej wyprawie fotograf Bartek, jak się okazało wyznawca majonezowego kultu. W Sopocie obiadu dla letników nie można sobie wyobrazić bez polewki rybnej. U Fishermana dostaniemy zabielony rosół rybny z kawałkami przypalonego pstrąga oraz cudownie miękkiego kalmara. W tym momencie muszę odnotować niemiły incydent towarzyski. Pan kelner w chwili mej nieuwagi próbował zabrać ze stołu talerz z ostatnią kroplą zupy. Szczęśliwie zdołałem ocalić łyk cudownego smaku, ale od tragedii dzieliło nas tak niewiele! I wtedy nadeszła kolej na sławny już w regionie paprykarz sopocki, który jest współczesnym, neoliberalnym następcą paprykarza szczecińskiego. Tamten to genialna receptura z czasów PRL-u produkowana z dalekomorskiej drobnicy. Taki standard nie jest na miarę Sopotu, nadbałtyckiego Cannes. Tutaj paprykarz musi być przynajmniej czterogwiazdkowy! I taki właśnie dostajemy. Pomidorowy ryż w stylowych puszeczkach niesie na sobie prawdziwe precjoza – przegrzebki i foie gras. Gdy bierze to się do ust, należy przyklęknąć i przymknąć oczy. To jest chwila uniesienia!

> I wtedy nadeszła kolej na sławny już w regionie paprykarz sopocki, który jest współczesnym, neoliberalnym następcą paprykarza szczecińskiego

Przed drugą, mięsną częścią pôłnie, czyli po kaszubsku obiadu, czas na cieszogębkę, która pozwoli przygotować kubeczki smakowe na nowe przygody. Służy temu sorbet z rokitnika z dodatkiem chilli. Cold & hot za jednym zamachem! Miau! To lubią stare kocury. Najpierw pojawia się udko i comber z królika z demiglasem, smażoną rzodkiewką i kulkami z ziemniaków. Z kolei na stół się pcha giczka jagnięca z gęsimi pipkami (czyli żołądkami) w sosie własnym. Kontekst pieczystemu nadaje chrzanowa piana. Do tego krokiety ziemniaczane, surówka z pora (z majo!) i kulki z buraka, czyli obiad tradycyjny podany jednak w nowoczesnym, wyrafinowanym stylu.

Nie zabrakło oczywiście deserów, i to w dwóch taktach. Najpierw były to przewrotne lody z białych szparagów z przesławnymi truskawkami kaszubskimi wprost z patelni. Wspaniałe. W takcie drugim olśniły lody z maślanki z chipsem z przypalonego mlecznego kożuszka. Młodzieży, co wy wiecie o mlecznych kożuszkach! Zbliżał się finał, a mnie spokoju nie dawały dostrzeżone w karcie kluski serowe (39 zł). Twaróg to polski skarb narodowy, rarytas nieznany poza naszym regionem, a wszelkie z niego przetwory to moja pasja. Poprosiłem o owe serowe perły, podawane z popcornem z kaszy gryczanej, szałwią i szczypiorkiem. Twardawe, sprężyste, zgrzytające gryką pławiły się w maślanej emulsji. By się do niej dorwać i wyczyścić talerz do ostatniej kropli, zażądałem łyżki. – Słusznie, szkoda sosu – skomentował pan kelner. A na sam koniec uroczyście podano talerzyk z małą kandyzowaną zieloną szyszką sosnową. Wziąłem ją do ust, a wokół mnie w mgnieniu oka wyrósł śpiewny bór sosnowy. W ustach pojawiła się słodycz, a zaraz potem ekscytująca goryczka, by po chwili całą moją wyobraźnią zawładnęła wielka ożywcza zieloność. Odleciałem.

FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

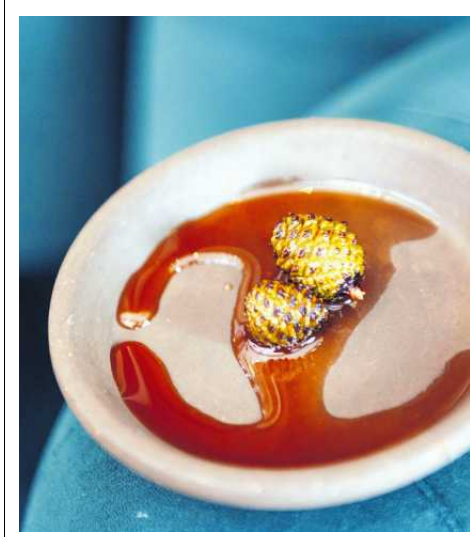

Fisherman, Sopot, ul. Grunwaldzka 89, tel. 585 204 862, otwarte od niedzieli do czwartku od 14 do 21, w piątki i soboty od 14 do 22, można płacić kartą, ogródek

eprasa.pl 8aafe869ec

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

NADCHODZI DEZINFORMACYJNE TSUNAMI

Czy obce służby będą mogły wpłynąć na wynik wyborów? To możliwe, pięć lat temu uchylono pewne przepisy karne

Z **ANNĄ MIERZYŃSKĄ***, ANALITYCZKĄ MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH, ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

Jaki wpływ będzie miała celowa dezinformacja na tegoroczne wybory?
– Duży. Dezinformacja wpływa na zachowania i decyzje ludzi, nie tylko w czasie wyborów. Po międzynarodowych śledztwach wiemy o manipulacjach opinią publiczną przy wyborach prezydenckich w USA w 2016 r. czy referendum w sprawie brexitu. Ostatnio obserwuje się rosyjską dezinformację przy wyborach w Afryce.

W Polsce nie było oficjalnych śledztw w sprawach choćby zewnętrznej ingerencji w wybory, dlatego nie mamy twardych danych na ten temat. Ale przypomnijmy sobie kampanie wyborcze w 2019 r., do europarlamentu i krajową, w których PiS opowiadał o osobach LGBT.

Dowiedzieliśmy się, że LGBT to nie ludzie, tylko ideologia.
– Stworzono obraz LGBT jako potwora, który będzie seksualizował dzieci i niszczył polskie rodziny. Wiele jest poszlak, że ta skrajnie dezinformacyjna, oparta na manipulacji kampania kłamstw przyniosła korzyść PiS w wyborach, choć trudno oszacować skalę.

Kłamstwo powtórzone tysiąc razy stało się prawdą?
– Chodzi o mechanizm tzw. błędów poznawczych – zwykle w dość zautomatyzowany sposób oceniamy docierające do nas informacje, nasze mózgi zmniejszają tak wydatek energii. Efekt: nawet jeśli na początku mamy wątpliwości, czy jakaś wiadomość jest prawdziwa, to po jakimś czasie pamiętamy tylko jej treść, a zapominamy, że pochodzi z niewiarygodnego źródła, na przykład TVP. Zostaje sama informacja.

Kto przodował w robieniu nam wody z mózgów?
– W 2019 r. liderami przekazu były konta państwowych mediów, TVP i Polskiego Radia. Odnotowałam tam absolutnie rekordową liczbę wpisów o LGBT.

Media publiczne zapraszały „ekspertów", którzy przekonywali, jak szkodliwa, niszcząca, przerażająca jest „ideologia LGBT", a nawet – że to totalitaryzm. A potem w mediach społecznościowych cytowano te osoby.

W 2019 r. w polskim internecie pojawiło się 5,7 mln wypowiedzi zawierających skrótowiec LGBT, po 15,5 tys. wpisów codziennie.

Najwięcej było pewnie w okolicach Marszu Równości w Białymstoku, prawda?
– Wtedy emocje były najbardziej rozgrzane, ale dyskusja buzowała przez cały rok. Narrację podsycały wszystkie media prorządowe. Liderem pod względem zasięgu w sieci było konto TVP Info na Twitterze – 275 tweetów zawierających skrótowiec LGBT przez cały 2019 r., potencjalny zasięg w sieci na poziomie 33 mln. Do tego 178 postów zawierających skrótowiec LGBT na koncie TVP Info na Facebooku; 353 tweety na koncie Polskiego Radia 24 na Twitterze, czyli praktycznie jeden dziennie; 460 razy na Facebooku wPolityce.pl i 424 razy na Twitterze, czyli częściej niż raz dziennie.

To było dezinformacyjne tsunami.

W 2019 r. obserwowałam Marsz Równości w Białymstoku. Słyszałam, jak ludzie odmawiający różaniec „w obronie przed LGBT" powtarzali hasła żywcem wyjęte z mediów publicznych. Stojąc przy trasie marszu, byli bardzo zdziwieni, że idą w nim zwykli ludzie. Nie wiem, kogo spodziewali się zobaczyć.

Czy adresaci tej kampanii hejtu oprzytomnieli po czterech latach?
– Wskazują na to sondaże o osobach LGBT i ich prawach. Długofalowy efekt kampanii z 2019 r. stał się odwrotny, niż oczekiwał PiS, wizja przerażającego potwora przestała działać, bo osoby LGBT to też nasi bliscy, nie chcemy się ich bać. Wzrosła nawet akceptacja związków partnerskich osób LGBT.

W tym roku PiS próbuje ożywiać różne narracje, ale one już nie trafiają w nastroje. Może przyczyną są pogarszające się warunki życia, inflacja, ceny grozy – dla wszystkich jest oczywiste, że rząd za to odpowiada.

Im żyje się nam gorzej, tym jesteśmy mniej podatni na szczucie na mniejszości?
– Może nie tyle jesteśmy mniej podatni, ile mniej wierzymy obecnie rządzącym. Obwiniamy ich za istniejącą sytuację, więc nie słuchamy ich recept, bo okazują się nieskuteczni.

Część ludzi zaczęła słuchać populistów, np. w kwestiach podatkowych. Konfederacji rośnie poparcie nie przez przypadek.

Czy w 2019 r. poza tymi rządowymi i prorządowymi ośrodkami były jeszcze jakieś inne formy wpływu, dezinformacji, np. farmy trolli...?
– Cały czas mamy do czynienia z farmami trolli, ale trudno powiedzieć, kto za nimi stoi, do wielu informacji nie mamy dostępu. W 2019 r.

eprasa.pl 8aafe869ec

obserwowaliśmy też siatki botów, automatycznych kont, np. wspierających konkretne treści. Siatki fanpage'ów na Facebooku próbowały wspierać skrajną prawicę, ale robiły to nieudolnie, inne były identyfikowane przez badaczy i przynajmniej część usunęli administratorzy Facebooka.

Musimy się przyzwyczaić, że boty, trolle i inne narzędzia sieciowej manipulacji i dezinformacji będą w każdej kampanii wyborczej.

Czy obce potencje próbowały wpłynąć na polską opinię publiczną przed ostatnimi wyborami?
– Narracja o LGBT, nim PiS ją wyciągnął, była wcześniej rozpowszechniana w Polsce przez środowiska małe, ale o wyraźnych i bezpośrednich wpływach rosyjskich. Miały w Rosji kontakty, były wspierane przez Rosjan. PiS nie budował swojej narracji od zera, wykorzystał to, o czym mówiono w tych niewielkich grupach.

I jak się odnoszą do argumentu, że podążają za Putinem?
– Zaprzeczają – to ich stała reakcja, nawet kiedy są złapani za rękę.

Kiedyś środowisko związane z miesięcznikiem „Opcja na Prawo" zaprosiło na konferencję Aleksieja Komowa, przedstawiciela rosyjskiego oligarchy Konstantyna Małofiejewa. Ten od dawna nie może wjechać do Unii Europejskiej, dlatego wysłał Komowa. Wysłał go też do Polski. Wygłosił przemówienie na tej konferencji.

Ale mimo to organizatorzy twierdzili, że nie mają żadnych związków z Rosją.

Jaka jest siła rosyjskich wpływów po wybuchu wojny?
– Z jednej strony na poziomie całego społeczeństwa wzrosła niechęć do Rosji, bo państwo to jest dziś identyfikowane jako główny agresor, stwarzający realne zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski. Ale z drugiej strony środowiska prorosyjskie w Polsce szybko poczuły się bezpiecznie i dziś są coraz aktywniejsze.

W sieci?
– Także w realu. Komisja ds. wpływów rosyjskich, jak można się spodziewać, będzie tylko narzędziem do walki politycznej, uderzania w opozycję, zwłaszcza w Donalda Tuska.

Tymczasem rzeczywiste środowiska prorosyjskie rosną w siłę i nikt im nie przeszkadza. Rejestruje się już trzecia partia prorosyjska w Polsce, tak nigdy nie było.

Jak to?
– Kiedy lata temu Mateusz Piskorski zakładał prorosyjską Zmianę, to mimo złożenia dokumentów partia nie została zarejestrowana, a Piskorskiego aresztowano i zarzucono mu szpiegostwo na rzecz Rosji i Chin. Ostały się tylko zarzuty o szpiegostwo na rzecz Rosji, sprawa w toku.

Dziś mamy jedną partię już zarejestrowaną, drugą w procesie rejestracyjnym, po wstępnej zgodzie sądu, a trzecie prorosyjskie ugrupowanie właśnie zebrało podpisy potrzebne do rejestracji i będzie składać dokumenty.

To niewielkie partie, bez realnego wpływu. Ale niepokoi, że w czasie wojny Rosji z Ukrainą można w Polsce zarejestrować prorosyjskie ugrupowania. Ich liderzy otwarcie mówią, że trzeba zacieśniać współpracę z Rosją i Białorusią.

Lider partii Front, tej pierwszej zarejestrowanej, Krzysztof Tołwiński obok ambasadora Rosji składał kwiaty 9 maja na cmentarzu żołnierzy radzieckich, jeździ też na Białoruś i opowiada tam, że reprezentuje państwo polskie. I dzieje się to w 2023 r.

Jakie są przykłady działalności prorosyjskiej w polskiej sieci?
– Po wybuchu pandemii mieliśmy wysyp ruchów antysystemowych, które się przełożyły na działalność w świecie rzeczywistym. Ich sympatycy najpierw negowali pandemię, rozpowszechniali teorie spiskowe o szczepieniach. W te środowiska weszli gładko zarówno działacze prorosyjscy w Polsce, jak i rosyjskie trolle oraz konta powiązane z Rosją.

Od 24 lutego 2022 Rosja mocniej oddziałuje na ruchy antysystemowe – buduje w nich niechęć do Ukrainy. I to się niestety udaje. Antysystemowcy głoszą obecnie postulaty, aby skończyć z pomocą dla Ukrainy, uniemożliwić Zachodowi przekazywanie pomocy przez nasze terytorium. Powtarzają też, że Polska zamienia się w „Ukropol".

Środowiska antysystemowe świadomie zagospodarowuje dziś Konfederacja.

Wśród kandydatów do Sejmu ogłoszonych przez Konfederację są osoby o jawnie antyukraińskich poglądach. Pojawiają się hasła: „To nie nasza wojna" i „Stop ukrainizacji Polski". Pierwsze hasło jest pozornie pacyfistyczne, ale kryją się za nim poglądy korzystne dla Kremla.

Środowiska prorosyjskie rosną w siłę i nikt im nie przeszkadza. Rejestruje się już trzecia partia prorosyjska w Polsce

„Ukropol"? Co za piekielna zbitka.
– Ma pokazać, że obywatele polscy mają coraz mniej do powiedzenia, a władze przyjmują ukraiński punkt widzenia.

To antyukraińskie nastawienie jest widoczne m.in. na kontach kandydatów Konfederacji. Grzegorz Braun, lider Konfederacji Korony Polskiej należącej do Konfederacji, prowadzi projekt o nazwie „Stop ukrainizacji Polski". Podjął wiele inicjatyw, także na poziomie legislacyjnym, aby ograniczyć relacje między Ukrainą a Polską i utrudnić Ukraińcom życie w Polsce. Kandydaci KKP wielokrotnie wypowiadali się w tym duchu, a w każdym okręgu znajdują się w pierwszej trójce otwierającej listy Konfederacji.

Czyli coraz więcej jest treści antyukraińskich, a tym samym antynatowskich, antyunijnych, antyamerykańskich?
– Zwiększa się ich zasięg. Zawsze po ogłoszeniu pierwszej trójki na liście Konfederacji w danym okręgu rośnie zainteresowanie wskazanymi kandydatami w sieci, politykom przybywa polubień na fanpage'ach, docierają więc ze swoim przekazem do większego audytorium niż wcześniej.

Kim są środowiska antysystemowe?
– Antyszczepionkowcy, negacjoniści pandemiczni, osoby przekonane, że „trzeba zniszczyć system", bo „nie da się go naprawić", a w tym celu trzeba „zniszczyć elity światowe" i budować od zera. Trudno oszacować, ilu ich jest. Moim zdaniem są coraz liczniejsi i aktywniejsi.

Tworzą własne struktury, zakładają stowarzyszenia, fundacje, ruchy, lokalne inicjatywy. Mają liderów, autorytety, media.

Na poziomie politycznym, podobnie jak partie jawnie prorosyjskie, szukają zwolenników wśród osób rozczarowanych partiami głównego nurtu.

Więc jeżeli pójdą głosować jesienią, to zagłosują na Konfederację.

Co zdołają wywalczyć?
– Nawet jeżeli mówimy o kilku procentach wyborców w najbliższych wyborach, to przy obecnych sondażach poparcia partii politycznych tych kilka procent może mieć kluczowe znaczenie – przeważyć szalę zwycięstwa.

Wspólnie z innymi ekspertami na początku roku przedstawiłaś rekomendacje dla władz, jak powinny walczyć z dezinformacją. Co z tego wynikło?
– Pod koniec marca prezentowaliśmy raport w Senacie na połączonych posiedzeniach kilku komisji. Okazało się, że informacje o zagrożeniach ze strony Rosji były szokujące dla niektórych polityków, co, przyznam, nas zaskoczyło. Wydawałoby się, że osoby uczestniczące dziś w życiu publicznym nie mogą nie znać skali rosyjskiej infiltracji w Polsce.

Każdego dnia przyswajamy tyle przerażającej wiedzy, szokujących danych, z którymi właściwie nie wiadomo co robić i jak dalej żyć, aby nie zwariować. Wypieramy je z pamięci, zwyczajnie zapominamy. Może dlatego?
– Na poziomie zwykłego człowieka to prawda. Ale mówimy o politykach, którzy nie mogą zamykać oczu, bo zasiadają w najważniejszych w kraju ciałach politycznych. Tu powinniśmy liczyć na przesiew i gradację informacji. Niejawne wpływy Rosji w Polsce to jeden z ważniejszych tematów, zwłaszcza w czasie wojny.

Powinny się nim zająć służby specjalne.
– Nie wiem, czym zajmują się polskie służby.

Przedstawiliście rekomendacje, przestraszyliście polityków. Czy państwo polskie zrobiło coś z tą wiedzą?
– Na razie nic.

Co zamierzacie zrobić przed wyborami?
– Będzie kilka oddolnych projektów monitorowania sieci. Jestem w jednym z nich, chcemy tropić dezinformację, zwłaszcza duże operacje dezinformacyjne. Będziemy na bieżąco o tym raportować opinii publicznej.

Czy kampania wyborcza w sieci od dawna już trwa?
– Tak. Niestety często jest opłacana z budżetu państwa, ponieważ formalnie przed oficjalnym ogłoszeniem kampanii wyborczej nie obowiązywały ograniczenia budżetowe. Na koncie facebookowym Ministerstwa Sprawiedliwości pojawiły się reklamy, w których prezentuje się głównie minister Ziobro, np. w filmiku o obronie Polski przed imigrantami twierdzi, że dzięki prawicy jest znacznie lepiej i bezpieczniej niż na Zachodzie.

Inne przykłady?
– Bardzo aktywny jest Dariusz Matecki, radny ze Szczecina. To on realizuje większość działań sieciowych Suwerennej Polski. Ma wiele fanpage'ów, osiąga spore zasięgi. Zaczął korzystać z narzędzi opartych na sztucznej inteligencji do produkcji grafik, filmików, czym się chwali i na co zbiera pieniądze w sieci.

Czego się można spodziewać w najbliższych tygodniach?
– Skoro nie działają dotychczasowe narracje prawicy, obserwujemy narastanie agresji. Mówiąc o „ryżym", Kaczyński wysłał sygnał, że agresja jest akceptowalna.

Obawiam się też zewnętrznych wpływów. Obecne przepisy umożliwiają każdemu prowadzenie agitacji wyborczej, nawet bez zgody komitetów wyborczych. Czyli w zasadzie każdy wyborca może prowadzić w Polsce kampanię wyborczą, jaką chce, również płatną i negatywną.

Bo choć taka kampania jest niezgodna z linią kodeksu wyborczego, to nie grożą za nią żadne sankcje. Odpowiednie przepisy usunięto w 2018 r.

PKW wielokrotnie zwracała na to uwagę. W tym roku, podczas nowelizacji kodeksu wyborczego, próbowano przywrócić ograniczenia i kary. Ale się nie udało.

Czy to oznacza, że obce służby będą mogły wpłynąć na wynik wyborów? I państwo polskie temu nie zapobiegnie?
– Wystarczą relatywnie niewielkie pieniądze, chodzi o kilka milionów złotych, aby skutecznie dotrzeć z odpowiednim przekazem do potężnej liczby wyborców.

Gdzie my żyjemy?
– Możemy założyć, że nikt z tej możliwości nie skorzysta, ale chyba byłby to nadmierny i niczym nieuzasadniony optymizm. Normą jest dziś, że Rosja wpływa na wybory w różnych krajach poprzez manipulację przestrzenią informacyjną.

Czy wasza inicjatywa wychwyci wszystkie wrogie działania?
– Na pewno nie zawsze się to uda. A nawet jeśli coś znajdziemy, my czy inni badacze, to nikt nie poniesie za taką dezinformacyjną kampanię kary.

Przynajmniej będziemy wiedzieli.
– Łatwo sobie wyobrazić, że w ostatnim tygodniu przed wyborami ktoś zostanie obrzucony błotem za pomocą zmanipulowanych zdjęć czy filmów. I załóżmy nawet, że zdołamy to zauważyć i nagłośnić. Ewentualne dementi raczej nie dotrze do odbiorców na tym samym poziomie, co wroga kampania, to norma. A wtedy te zmanipulowane materiały pozostaną w pamięci wyborców i zapewne przynajmniej w jakimś stopniu wpłyną na ich decyzje.

Czy dziś (rozmawiamy na początku sierpnia) jesteśmy w stanie coś zrobić, aby przygotować się na takie sytuacje?
– Im więcej o tym mówimy, tym bardziej jesteśmy świadomi zagrożeń. Pewien optymizm wiąże się z wewnętrznymi problemami w samej Rosji. Może Rosja słabiej zaangażuje się w Polsce?

Czy widzisz jakieś zadania dla obywatelek i obywateli, którzy chcą coś robić? Czy można się do was zgłaszać?
– Kilka organizacji przygotowuje projekty, w których będzie można zostać obserwatorem wyborczym. Jeszcze nie rozpoczęto naboru.

A co dziś słychać w sieci?
– Silne emocje budzą doniesienia o kolejnych tragediach i traktowaniu kobiet w kontekście prawa do aborcji. To dociera do tych, którzy na co dzień nie interesują się polityką. I działa na niekorzyść PiS. Ale jesteśmy na początku kampanii, główne emocje dopiero przed nami. ●

FOT. MICHAŁ HELLER

***Anna Mierzyńska**

• analityczka mediów społecznościowych, specjalizuje się w analizie zagrożeń informacyjnych, zwłaszcza rosyjskiej dezinformacji w Polsce oraz manipulacji w sieci. Autorka poradnika „Dezinformacja. Jak się przed nią chronić" (2022) oraz książki „Efekt niszczący. Jak dezinformacja wpływa na nasze życie" (2022). Współpracuje z OKO.press.

eprasa.pl 8aafe869ec

NASZA EUROPA

Reformy Franciszka

JESIEŃ WATYKANU

Święcenia żonatych mężczyzn, diakonat kobiet – planowana przez Franciszka rewolucja powoduje zamieszanie w Kościele.

Jean-Marie Guénois

LE FIGARO

Papież planuje radykalną zmianę sposobu zarządzania Kościołem katolickim. Kwestionuje to jednak wielu księży i świeckich.

15 sierpnia świat katolicki obchodził jedno z największych wydarzeń roku liturgicznego, święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Hierarchia zadowolona z budującego sukcesu Światowych Dni Młodzieży w Portugalii przeżywa jednak rosnące rozterki w oczekiwaniu na zmiany, których przeforsowanie planuje papież. Satysfakcja, którą przyniosła latem Lizbona, jesienią może przerodzić się w prawdziwy szok.

Tuż przed Światowymi Dniami Młodzieży papież potwierdził swój zamiar zasadniczego zreformowania Kościoła. Reforma ma być trojaka. Objąć ma, po pierwsze, zarządzanie, które Franciszek chce zdemokratyzować i zdecentralizować. Drugi obszar zmian to katolicka teologia, która w obliczu przemian współczesnego społeczeństwa ma zerwać z tradycyjnym konserwatyzmem i jeśli nie otwarcie pójść drogą postępu, to na pewno dostosować się do zmian społecznych. I wreszcie kwestia sukcesji, którą Franciszek już szykuje, redukując do minimum szeregi przeciwników jego wizji Kościoła w gronie kardynałów, którzy wybiorą jego następcę.

20 czerwca przedstawił śmiały dokument roboczy, instrumentum laboris, zawierający wytyczne dla najbliższego synodu, który zajmie się reformą zarządzania Kościołem. Trzystu biskupów i świeckich ekspertów zbierze się w Watykanie na dwóch sesjach zaplanowanych na październik i na rok następny. 7 lipca Watykan ujawnił listę najważniejszych uczestników synodu, wybranych w większości ze względu na ich proreformatorskie poglądy.

Jednym z nominatów Franciszka okazał się James Martin, amerykański jezuita i czołowy obrońca praw LGBTQ+. Ten zakonnik jest symbolem zmian w Kościele katolickim. Jest też człowiekiem bardzo aktywnym, zapewne nie będzie przysłuchiwał się biernie obradom i zechce pchnąć do przodu sprawę błogosławieństw dla par homoseksualnych – jedną z reform, których żąda się publicznie od tego synodu.

Nieodwracalne decyzje papieża

Do kluczowych reform należy m.in. zarządzanie Kościołem, które ma przestać być wyłączną domeną księży i biskupów. Szeregowi świeccy byliby angażowani w mniej hierarchiczny, zdemokratyzowany sposób. Rzym nie byłby już centrum władzy – Kościół działałby, zależnie od sprawy, na szczeblu krajów i kontynentów. Co do kobiet, miałyby one sprawować nowe obowiązki, a z czasem zyskiwać status diakona. I wreszcie omówiona zostanie kwestia celibatu księży z jasną perspektywą otwarcia kapłaństwa dla żonatych mężczyzn.

1 lipca Franciszek podjął kolejną doniosłą decyzję. Mianował swojego przyjaciela, 61-letniego monsignore Victora Manuela Fernándeza, na kluczowe stanowisko prefekta Dykasterii Nauki Wiary. Od połowy września Argentyńczyk – teologiczny mentor pontyfikatu Franciszka – będzie nadawał ton światowemu Kościołowi, tak samo jak kardynał Ratzinger na tymże stanowisku za pontyfikatu Jana Pawła II, z tą różnicą, że Fernández robi wrażenie teologicznego anty-Ratzingera.

Ostatnią tego lata decyzją, z 10 lipca, papież mianował 21 nowych kardynałów, by zyskać większość zapewniającą kontynuację jego linii na konklawe – od teraz 72 proc. kardynałów elektorów, którzy nie mogą mieć więcej niż 80 lat, to nominaci Franciszka. Papieża wybiera się większością dwóch trzecich głosów na konklawe. Jan Paweł II przez 25 lat swego pontyfikatu nominował ledwie dziewięciu kardynałów, próbując równoważyć frakcje, czy raczej typy wrażliwości hierarchów. Franciszek zdecydował się na znacznie większe zmiany przez zaledwie dekadę – na dodatek prawie wszyscy przez niego mianowani, z nielicznymi wyjątkami, reprezentują jego linię.

Wszyscy obserwatorzy stwierdzają zgodnie, że pontyfikat wszedł w fazę przyspieszenia. Decyzje papieża mają być nieodwracalne. Wedle wielu osób bliskich Franciszkowi przymiotnik ten często gości na jego ustach. Ale jeśli pół roku po śmierci Benedykta XVI zmienia się kierownictwo w trzech zasadniczych obszarach, jakimi są zarządzanie, linia teologiczna i proces wyboru papieża, znaczy to, że tradycyjny konserwatyzm Kościoła traci na sile, wypierany przez frakcję postępową.

Komentując tę ofensywę amerykański jezuita Thomas Reese, uważny obserwator pontyfikatu, potwierdza w rozmowie z „Le Figaro" to, co niedawno napisał w „National Catholic Reporter": „Organizacja może planować świetną politykę, ale wszystko na nic, jeśli ci, którzy mają ją wdrażać, nie obejmą stanowisk zapewniających realną władzę". Od początku pontyfikatu w 2013 r. Franciszek wykazał się sporymi umiejętnościami politycznymi. Według jego współpracowników nie zostawia niczego przypadkowi – dążąc do celu, pamięta o strategicznej wizji, doborze ludzi, odsuwaniu przeciwników w cień i uważnej kontroli podwładnych.

Jednak ta szarża ma swoje wewnętrzne konsekwencje, gdyż Kościół od dawna nie był aż tak podzielony. Nic dziwnego, że dokument roboczy na nadchodzący synod uradował reformatorów, wywołując zarazem konsternację klasycznych katolickich konserwatystów. Nowe jest to, że spowodował niespotykane zamieszanie wśród umiarkowanych księży i licznych biskupów. Wielu z nich, niezbyt jak dotąd krytycznych wobec Franciszka, zaniepokoił autorytaryzm i woluntaryzm reformatorskich zapędów papieża, które uważają za ryzykowne i niejasne.

Nowe zjawisko, jakim jest nieufność umiarkowanych duchownych, ma zasięg ogólnoświatowy. Dobrym przykładem tych zawirowań jest Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych, gdzie rozbieżności, m.in. w kwestii obecnego pontyfikatu, i głębokie obawy co do synodu nie są, jak we Francji, zamiatane pod dywan. Dlatego 15 czerwca Christophe Pierre, Francuz i nuncjusz apostolski w Waszyngtonie – 10 lipca mianowany przez papieża kardynałem – odegrał rolę orędownika „synodu o synodalności".

Świecki pracujący z młodzieżą: „Papież jest liberalny dla innych, a moralizatorski dla swoich. Co bardziej zaangażowani młodzi uważają, że papież za dużo mówi. Nie traktują go serio, nie kupują jego swoistej klerykalnej nowomowy"

Musiał wystąpić z płomienną obroną synodu przed amerykańskimi biskupami, dość w tej kwestii sceptycznymi, na zgromadzeniu w Orlando na Florydzie. „Żeby przezwyciężyć polaryzację – powiedział przedstawiciel papieża – musimy nauczyć się słuchać siebie nawzajem, współpracować, iść razem cum Petro i sub Petro. Synod? Powinniśmy zaufać mu już teraz! To nie jest zresztą żaden nowy program ani przynęta maskująca rzekomy plan zmiany doktryny Kościoła".

W oczekiwaniu na jesień, która zapowiada się w Kościele burzliwie, wśród francuskich świeckich i księży zapanował sceptycyzm. Krytycy, zwłaszcza duchowni, wolą wypowiadać się anonimowo. Jakby ogarnął ich strach przed konsekwencjami służbowymi, dość daleki od postulowanego ducha synodalnego, nakazującego z zasady szanować przeciwne opinie i szczycić się taką właśnie formą debaty.

Rozchwiane duchowieństwo, zagubieni wierni

Są i zwolennicy daleko idących zmian – ale i oni mają liczne zastrzeżenia. Paule Zellitch, teolożka, która przewodniczy Katolickiej Konferencji Ochrzczonych Frankofonów (CCBF), twierdzi, że „stoi za nią 10 tysięcy członków i zwolenników". Organizacja, od dawna cierń w oku zachowawczego episkopatu, docenia synodalne plany, choć rzymski dokument uważa za „raczej słaby". Dla Zellitch sprawa jest prosta. „Kościół musi przystosować się, iść naprzód wraz ze światem. Inaczej świat pójdzie naprzód bez Kościoła! Gdzie był Jezus, jeśli nie ze światem?" – pyta. I ostrzega: „Biskupi potrzebują odmienności, nawet jeśli jej nie chcą. Minął już czas przywódców, którzy samodzielnie decydują o wszystkim".

Także Guillaume Houdan, członek krajowego zespołu synodalnego i stały diakon w diecezji Rouen, mówi, że bardzo mu odpowiada duch synodu. Jako 51-letni ojciec rodziny przyznaje jednak, że młodzi ludzie mieli za słaby udział w ogólnoświatowej ankiecie poprzedzającej kontrowersyjny dokument roboczy. Jego zdaniem katolicy, podobnie jak część duchowieństwa, są rozchwiani. Ale jest według niego jedna kwestia, „która wymaga uregulowania w powszechnym interesie – to miejsce kobiet w Kościele" i konieczność „znalezienia dla nich najodpowiedniejszych posług", jak to ujmuje dokument roboczy.

Miejsce kobiet w Kościele będzie zapewne wielkim tematem synodu. Zapowiada się ostra debata i mamy już jej przedsmak. O ile Paule Zellitch twierdzi, że „w Piśmie Świętym nie ma słowa przeciwko diakonatowi kobiet", zapytany o to 6 lipca w USA kardynał Robert Sarah – którego mimo jego popularności Franciszek nie zaprosił na synod – przypomniał, że „żaden synod nie wyczaruje kapłaństwa kobiet".

Demontaż kręgosłupa Kościoła?

Zapowiadany przewrót nie przejdzie gładko. Rozmawialiśmy z wieloma sceptycznie nastawionymi wiernymi.

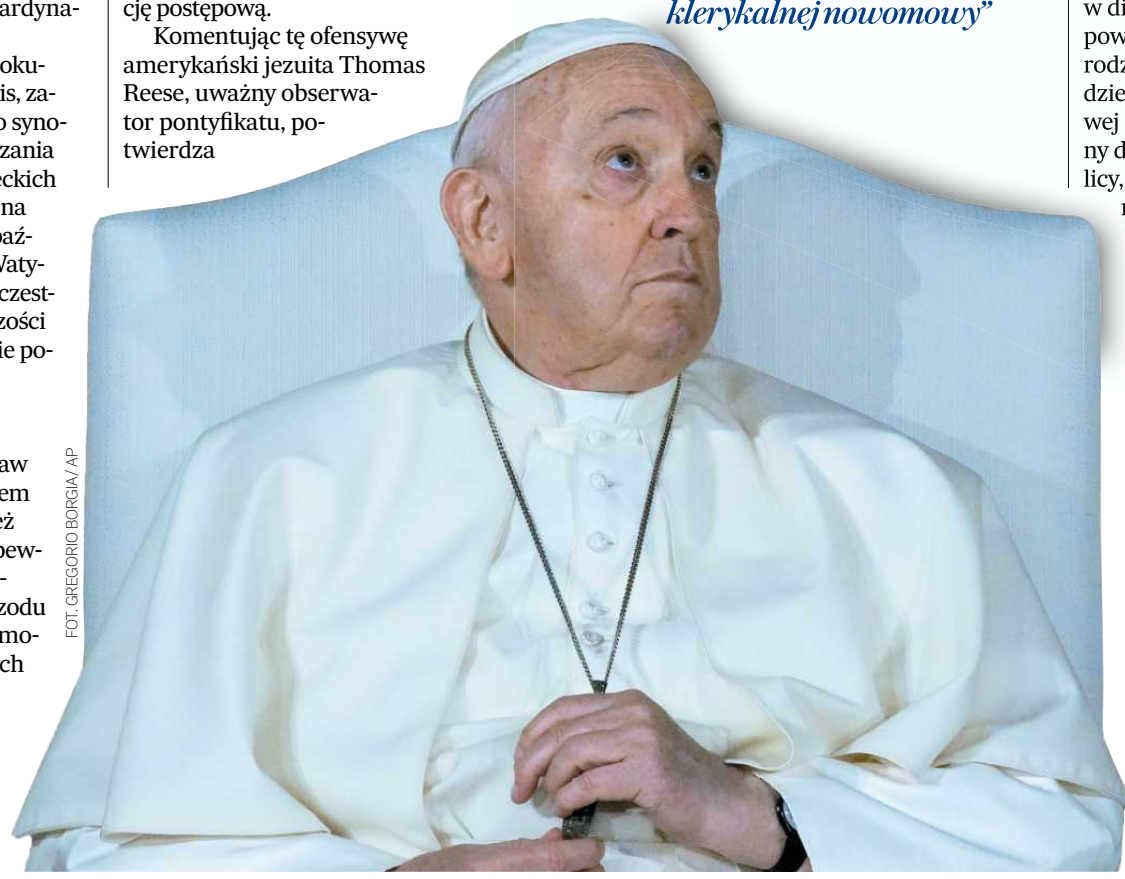

FOT. GREGORIO BORGIA/AP

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

NASZA EUROPA

Francuski ksiądz z dużym doświadczeniem i o umiarkowanych poglądach: „Ten synod budzi wiele niepokoju wśród ludzi, którym zależy na Kościele, i głęboką obojętność wielu innych. Udział świeckich jest poza dyskusją, należy im się miejsce w Kościele – ale katolicka eklezjologia opiera się na posługach, w których kapłan pełni centralną funkcję. A to, co się szykuje, to demontaż tego kręgosłupa Kościoła".

Narasta niepokój wśród wielu księży i świeckich czujących szacunek dla „świętości" Kościoła. Potwierdza to inny młody ksiądz pracujący w dużej aglomeracji: „Liczni czytelnicy dokumentu roboczego synodu czują się przytłoczeni. Nie widzą w nim umocnienia wiary, tylko katastrofę, jaką jest dekonstrukcja Kościoła. Jeśli chodzi o żywotne siły katolicyzmu reprezentujące tradycyjną, klasyczną wrażliwość lub też duchownych i wiernych pochodzenia afrykańskiego czy z departamentów zamorskich – ich z kolei ten synod nie niepokoi, bo oni po prostu za nim nie podążą".

Konserwatywni świeccy oceniają to jeszcze surowiej. Młody prawnik zaangażowany w życie Kościoła ubolewa: „Miłość, którego żywym skarbem jest Eucharystia, gubi się w dynamice otwartości, która przypomina raczej rozkład". Według niego „dokument roboczy to na razie jakby wielki eksperyment i trening komunikacji".

Inny, znacznie starszy świecki, wykładowca uniwersytecki, mówi: „Większość chrześcijan martwi się, kontemplując swoją bezsilność w obliczu procesu, który uważają za zmanipulowany i sztuczny w relacji do duchowej rzeczywistości Kościoła. Światowe Dni Młodzieży były, owszem, budujące, ale reformy zapowiedziane przez synod będą podważać wiarygodność instytucji. Nikt nie sprzeciwia się szerszej odpowiedzialności i zaangażowaniu kobiet i świeckich, ale powstało ogromne zamieszanie, ludzie mylą pomysły rozsądne z tymi, które stanowią śmiertelne zagrożenie".

Zaskakujące argumenty świeckich

Philippe, inny świecki, który w swojej parafii pracuje z młodzieżą: „Młodych naprawdę wzrusza ten starszy, zmęczony papież, ale nie kręcą ich slogany, takie jak: todos, todos, wszyscy, wszyscy, Kościół otwarty dla wszystkich – ekologiczno-inkluzywny werset, który Franciszek lansował w Lizbonie, powtarzając medialne frazesy. Młode pokolenie wiernych właściwie nie rozumie już tego papieża, którego uznaje często za demagoga. Chcąc zadowolić świat, odmawia on rozmowy ze swoim ludem. Jest liberalny dla innych, a moralizatorski dla swoich. Co bardziej zaangażowani młodzi uważają, że papież za dużo mówi. Nie traktują go serio, nie kupują jego swoistej klerykalnej nowomowy".

Philippe podsumowuje: „Jeśli młodzi czują się oddaleni od papieża i biskupów, a bliżsi księżom, to dlatego, że dążą do czegoś szlachetniejszego, do chrystusowej duchowości, wielkich ideałów, pod prąd głównego nurtu życia społecznego. Potrzebują piękna, życia wewnętrznego, uduchowienia i szlachetności, podczas gdy instytucja oferuje im model mainstreamowy, w trybie obrony oblężonej twierdzy. To i reformy szykowane przez administracyjne i synodalne koterie – nie mylmy tych dwóch rzeczywistości Kościoła".

Skąd te podziały? Philippe: „Panuje poczucie, że konsultacje poprzedzające powstanie dokumentu roboczego były stronnicze, zmierzały do z góry przygotowanych wniosków. Znamy w parafiach tych, którzy odpowiadali na pytania synodu. Mają ponad 70 lat, dzieci nie praktykują, wnuki nieochrzczone. I ci boomerzy sięgnęli po stare recepty! Jest w tym synodzie coś przestarzałego w porównaniu z głębią oczekiwań młodego pokolenia". ●

tłum. Sergiusz Kowalski

• Rakieta Sojuz-2.1b z lądownikiem Łuna-25 startuje z kosmodromu Wostocznyj, 11 sierpnia 2023 r. FOT. AP

Podbój Księżyca

Globalny wyścig na ósmy kontynent

Rosja i Indie rywalizują właśnie o to, czyj lądownik pierwszy dotrze do południowego bieguna Księżyca, podczas gdy Stany Zjednoczone przyspieszają program wysłania tam astronautów.

Nuño Domínguez, José A. Álvarez

EL PAÍS

Księżyc staje się ósmym kontynentem Ziemi, jedynym, którego bogactwa i zasoby nie zostały jeszcze zajęte i wykorzystane. Pomysł ten, sformułowany ponad pół wieku temu w Związku Radzieckim, odżył wraz ze zbliżającym się przybyciem pierwszych misji na południowy biegun ziemskiego satelity. Tutaj kosmiczne potęgi będą rywalizować o nowe księżycowe złoto: wodę.

Rosja planuje, że sonda Łuna-25 (pierwsza jej misja na Księżyc od ponad 40 lat) wyląduje między 21 a 24 sierpnia. Indyjski Chandrayaan-3 ma wylądować na Srebrnym Globie 23 lub 24 sierpnia. O tym, kto będzie pierwszy, zdecydują dni, jeśli nie godziny.

„Spodziewamy się lądowania 21 sierpnia" – oznajmił Jurij Borisow, szef rosyjskiej agencji kosmicznej, cytowany przez agencję Reuters. Lądowanie na biegunie księżyca będzie w pełni zautomatyzowane i wiele zależy od tego, czy sonda dotrze tuż nad miejsce docelowe. „Jestem przekonany, że uda nam się wylądować gładko i precyzyjnie – i będziemy pierwsi" – dodał Borisow.

Główną przewagą Rosji jest to, że jej statek kosmiczny jest przygotowany do działania na niegościnnym biegunie południowym Księżyca przez rok lub nawet dłużej. Statek pozostanie nieruchomy na północ od krateru Bogusławski o średnicy 97 km, gdzie istnieje wysokie prawdopodobieństwo występowania dużych zasobów zamarzniętej wody.

„Jeśli w górnej warstwie powierzchni Księżyca w pobliżu miejsca lądowania znajduje się lód, instrumenty badawcze na pokładzie Łuny-25 będą w stanie go wykryć" – powiedziała Olga Zakutniaja, rzeczniczka Rosyjskiego Instytutu Badań Kosmicznych, który jest odpowiedzialny za naukową część misji. „Jednak nawet w swoich regionach polarnych nasz satelita jest bardzo suchym miejscem w porównaniu z Ziemią" – zastrzegła. Już wcześniej rosyjski instrument LEND na pokładzie LRO [sondy orbitalnej] NASA wykazał, że zawartość wody w górnej warstwie powierzchni, do głębokości jednego metra, wagowo nie przekracza 5 proc., ale tylko w regionach najbardziej bogatych w wodę. Średnia zawartość jest niższa, a regiony o największej obecności wody są bardzo nierównomiernie rozmieszczone. Z tym wiąże się podstawowe wyzwanie na przyszłość: jak wykorzystać tę wodę do wytwarzania wodoru na paliwo, tlenu do oddychania i wody.

Jak mówi Zakutniaja, jeśli Łuna-25 wyląduje pomyślnie, eksperymenty rozpoczną się natychmiast, ale na wyniki trzeba będzie poczekać od czterech do sześciu miesięcy. Statek musi „hibernować", przerywać operacje podczas zimnych księżycowych nocy, które trwają nieco ponad 14 ziemskich dni. Wyniki badań dostarczą również innej kluczowej informacji. „Pył księżycowy jest niezwykle szkodliwy zarówno dla sond robotycznych, jak i przyszłych kosmonautów, więc dzięki danym z tej misji opracujemy procedury niwelowania jego wpływu" – wyjaśnia Rosjanka. Roskosmos planuje wysłanie kolejnych misji robotycznych na księżycowy biegun południowy, aby położyć podwaliny pod przybycie kosmonautów, ale to projekt, który nie został jeszcze zatwierdzony przez rząd Władimira Putina.

Indie mogą być postrzegane jako Dawid konkurujący z Goliatem. Ich statek kosmiczny Chandrayaan-3 ma mniej instrumentów naukowych na pokładzie i będzie działał tylko do zachodu słońca po pierwszym dniu księżycowym. W przeciwieństwie do Rosji, której udało się już w przeszłości wylądować na satelicie, Indie są na razie jedynie po pierwszej porażce lądownika Vikram, wysłanego na Księżyc na pokładzie Chandrayaan-2 w 2019 r. – jego próba lądowania się nie powiodła. Urzędnicy Indyjskiej Agencji Badań Kosmicznych (ISRO) twierdzą, że nauczyli się na błędach, i mają nadzieję, że tym razem sonda wyląduje bez przeszkód – i z minimalną prędkością.

Największym atutem indyjskiej misji jest umieszczony na pokładzie lądownika Pragyan (w sanskrycie „mądrość"), mały mobilny pojazd, który pozwoli zbadać środowisko w pobliżu miejsca lądowania na biegunie południowym oraz przeanalizować skład gleby i skał.

Wokół Księżyca działa obecnie sześć sond orbitalnych, a dwie inne są nieczynne – Chandrayaan-2 musiał już wykonać trzy awaryjne manewry, aby zminimalizować ryzyko kolizji z innymi obiektami. Hindusi spodziewają się, że w miarę, jak na Księżycu będą lądować kolejne statki, w tym również prywatne, pojawi się pilniejsza potrzeba międzynarodowej koordynacji.

Niebawem także Japonia dołączy do wyścigu, uruchamiając swoją misję Slim, mały statek opracowany przez japońską agencję kosmiczną, który ma wystartować 26 sierpnia. W tym przypadku celem jest lądowanie daleko od bieguna, w równikowych strefach satelity.

Najważniejszym punktem „księżycowej gorączki złota" będzie jednak lądowanie misji Stanów Zjednoczonych. W ubiegłym tygodniu szef NASA Bill Nelson zorganizował konferencję prasową, która miała stanowić reakcję na udane wystrzelenie rosyjskiej misji Łuna-25. Nelson podtrzymał zapewnienia, że daty załogowych misji Artemis 2 i 3 są realizowane całkowicie zgodne z planem i nie ma znaczenia, że rakieta projektowana dla jednej z nich, Starship firmy SpaceX, wybuchła jakiś czas po starcie podczas swojego pierwszego testu. Artemis 2 z załogą złożoną z trzech Amerykanów i jednego Kanadyjczyka wystartuje pod koniec 2024 r., celem jest przelot wokół Księżyca. Kolejna misja, zaplanowana na grudzień 2025 r., zabierze pierwszą kobietę i pierwszego niebiałego mężczyznę, którzy postawią stopę na powierzchni Księżyca – także na biegunie południowym, ponad pół wieku po Apollo 17, ostatniej załogowej misji na satelitę.

Nelson podkreśla, że wyścig kosmiczny jest faktem, choć rywalem Ameryki nie są Rosja czy Indie, tylko Chiny. „Nie chcę, aby Chiny dotarły na biegun południowy przed nami i oznajmiły: to jest nasze, nie jesteście tu mile widziani" – wyjaśnił były kongresmen. Dzięki ewentualnemu sukcesowi misji Artemis to Stany Zjednoczone mają stać się globalnym arbitrem, który będzie nadzorował, czy zasoby Księżyca są dostępne dla wszystkich sygnatariuszy paktu o eksploracji kosmicznej. Obecnie to 28 krajów. Pomimo wojny w Ukrainie i izolacji technologicznej reżimu Putina Nelson, mówiąc o misji Łuna-25, stwierdził: „Życzymy im powodzenia".

W 2024 r. NASA ma również nadzieję na uruchomienie kilku misji robotycznych, w tym mobilnego łazika eksploracyjnego, który utoruje drogę astronautom i budowie Artemis Base Camp, pierwszej ludzkiej osady, która jest projektowana na południowym biegunie Księżyca. Stamtąd astronauci będą badać środowisko księżycowe za pomocą różnych pojazdów. Ma to być początek projektów publiczno-prywatnych, które zostaną opracowane w tej dekadzie i które zainicjują eksploatację wody i minerałów na Księżycu. Powierzchnia satelity i bazy orbitalne będą z kolei miejscami testowymi dla przyszłych misji na Marsa, z podróżą w jedną stronę trwającą rok.

Weteran rosyjskiej astronautyki Michaił Marow wyraził ostatnio godną uwagi myśl, choć nieco oderwaną od dzisiejszego klimatu geopolitycznego. „112 lat temu, w 1911 r., rozpoczęto badania bieguna południowego Ziemi – napisał w specjalnym wydaniu czasopisma „Astronomical Bulletin" poświęconym Łunie-25. – Pół wieku później Antarktyda jest domem dla kilku tysięcy ludzi z prawie 30 krajów, którzy zgodnie i nieustannie prowadzą tam badania naukowe na dużą skalę. We współczesnej erze początek eksploracji południowego bieguna Księżyca może zapoczątkować analogiczny proces". ●

eprasa.pl 8aafe869ec

80. urodziny Roberta de Niro

PODRÓŻ PO SAMOTNEJ DUSZY

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 8aafe869ec

„Jebać Trumpa" – mówi publicznie. Pytają go, czy nie boi się, że połowa Amerykanów go znienawidzi. Nie przejmuje się, bo Amerykanie to on – człowiek, który zagrał ich wszystkich.

Maciej Jarkowiec

21 września 1989 roku. Gdańska Starówka. 46-letni Robert De Niro siedzi na parapecie przed restauracją z puszką piwa w dłoni. Ma na sobie czarną sportową marynarkę, popielatą koszulę, jasne spodnie. Jest ciepłe popołudnie, końcówka najgorętszego lata powojennej Polski – w czerwcu odbyły się półwolne wybory, w sierpniu Tadeusz Mazowiecki został premierem. Kilka godzin wcześniej De Niro spotkał się z Lechem Wałęsą, później był pod pomnikiem Poległych Stoczniowców i pod bramą stoczni. Teraz obserwuje mijających go ludzi. Nie patrzy na nich, tylko się w nich wgryza – tak jego spojrzenie określił kiedyś reżyser Martin Scorsese, jeden z najbliższych mu ludzi. Towarzystwo, z którym De Niro przyjechał do Gdańska – Roman Polański, Wojciech Fibak, Gustaw Holoubek – zostało w knajpie. Jest sam. Nikt go nie rozpoznaje.

2023, JEBAĆ TRUMPA

To częsty motyw – milknie, odchodzi na bok, znika. W 1977 r. dziennikarka „New York Timesa" Susan Braudy gościła w jego domu na prywatce. Pośród zaproszonych: Scorsese, reżyser Brian De Palma, aktor Peter Boyle. „Nie odzywa się prawie wcale przez cały wieczór" – napisała Braudy o gospodarzu. „Słucha, potakuje, uśmiecha się".

Ktoś powie o nim, zauważając, że De Niro wbrew powszechnemu mniemaniu ma w sobie więcej krwi irlandzkiej niż włoskiej: „Facet jak postać z «Dublińczyków» Joyce'a, spaceruje sam po plaży, pełen uczuć. Jego milczenie jak sztormowe chmury zbierające się nad horyzontem".

Ktoś inny:

„On ukrywa coś, czego nie może pokazać, bo boi się, że obnaży swoje szaleństwo".

Albo: „Nikt tak bardzo jak on nie został stworzony, żeby być aktorem i nie być celebrytą".

Już u progu wielkiej kariery, na początku lat 70., prasa nazwała go męską Gretą Garbo – tak jak gwiazda lat 20. i 30. nigdy nie miał nic do powiedzenia dziennikarzom. Scorsese przyzna, że choć przyjaźni się z De Niro od dziesięcioleci, niewiele o nim wie. Nawet najbliżsi nie mieli pojęcia, że ojciec aktora był gejem, dopóki De Niro nie opowiedział o tym w filmie dokumentalnym o tacie.

Steven Prince, drugi reżyser na planie „New Jork, New Jork", filmu, do którego De Niro w ciągu kilkunastu tygodni nauczył się grać na saksofonie, powiedział: „Wydaje się, że go nie ma. Ale jest. Milczy i patrzy. Pozwala, żeby wszystko w niego wsiąkało. Nieprzerwanie przygotowuje się do tej czy innej roli".

Być może wtedy w Gdańsku, przycupnięty na niskim parapecie, pozwala, żeby wsiąkała w niego ulica miasta, które obaliło komunę.

Wałęsa za parę miesięcy sprzeda wytwórni Warner Bros. prawa do swojej historii. Ma go zagrać Robert De Niro.

Aktor jest tuż po zdjęciach do „Chłopców z ferajny", gdzie był brutalnym gangsterem, mordercą. I tuż przed zdjęciami do „Przebudzeń", gdzie wcielił się w pacjenta w stanie katatonii. Słynny neurolog Oliver Sacks, którego książka stała się podstawą scenariusza, wspomni, że w czasie posiłków po dniu pracy De Niro pozostawał postacią chorego Leonarda Lowe'a – nieobecny, ze stopami charakterystycznie skierowanymi do środka.

Ponoć właśnie z tego powodu, że na długie tygodnie, nieraz miesiące zdjęć zamienia się w postać, rozpadają się jego kolejne związki. Nie da się żyć z facetem, który prawie zawsze jest kimś innym, prawie nigdy sobą. „De Niro żyje tylko w ciałach innych ludzi" – powiedział scenarzysta „Taksówkarza" Paul Schrader. „Tylko przed kamerą znajduje spokój ducha".

De Niro o sobie: „Radość z aktorstwa polega na tym, że żyję wiele żyć bez ryzyka, jakie niesie rzeczywistość".

Od ekranowego debiutu w 1965 r. Robert De Niro przeżył w filmie ponad 130 żyć. W jego własnym 17 sierpnia stuknęła mu osiemdziesiątka. Pytany, jak się z tym czuje, skwitował: „Nic nie poradzę". Ostatnio więcej niż kiedyś udziela się publicznie – jako bezkompromisowy krytyk Donalda Trumpa. Nazywał go świnią, oszustem, idiotą, katastrofą narodową, wstydem Ameryki, hańbą, głupcem i naczelnym konowałem. Kilka lat temu występ na gali rozdania nagród teatralnych Tony rozpoczął zawołaniem: „Powiem jedno: jebać Trumpa". Dostał stojącą owację. Pytają go, czy nie boi się, że połowa kraju – Amerykanie, którzy wielbią byłego prezydenta – go znienawidzi. Odpowiada, że się nie przejmuje. Przecież Amerykanie to on – człowiek, który zagrał ich wszystkich.

2001, ROBERT DE NIRO JEST SKOŃCZONY

Na początku lat 90. kariera De Niro znajduje się w dziwnym punkcie. Gra bez przerwy. W „Królu komedii" nieco stukniętego Ruperta Pupkina, marzącego o karierze satyryka. W „Dawno temu w Ameryce" żydowskiego mafiosa z lat 30. W „Misji" nawróconego handlarza niewolników, Ala Capone w „Nietykalnych", gangstera w „Chłopcach z ferajny", pacjenta w „Przebudzeniach", Monstrum we „Frankensteinie", menadżera na usługach mafii w „Kasynie". W „Gorączce" pierwszy raz w jednej scenie siada naprzeciw innej legendy – Ala Pacino. Do każdej roli przystępuje przygotowany jak do najważniejszej w życiu, nigdy nie zawodzi, przykuwa wzrok do ekranu, filmy z jego udziałem zarabiają miliony, ale co niektórzy narzekają, że żadna kreacja nie jest tak genialna jak te z wcześniejszych lat.

Tymczasem on bez większego rozgłosu spełnia swoją ambicję – urządza gabinet w niezależnej wytwórni TriBeCa Productions, jaką na dolnym Manhattanie otworzył wspólnie z producentką Jane Rosenthal. Lampy art déco, skórzane fotele i sofa, sosnowy stół, kaukaskie poduszki i chodnik. Wkrótce biznes się rozrasta – powstaje centrum filmowe. De Niro oddaje się codziennej robocie: wczesna pobudka, trening na siłowni i krótki spacer do biura – mieszka kilka przecznic obok. W gabinecie przez cały dzień odbywa spotkania. „Bobby pracuje dla relaksu" – mówi jego znajomy dziennikarce dopytującej, kiedy najsłynniejszy aktor świata występujący w dwóch lub trzech filmach rocznie znajduje na to czas. A to nie koniec – wkrótce otwiera restaurację Tribeca Grill. Marzy o tym, żeby na jej ścianach wisiały obrazy, jakie namalował jego ojciec.

Pierwszym dużym przedsięwzięciem, jaki bierze na warsztat nowe studio, jest „Prawo Bronxu". Mało znany aktor Chazz Palminteri napisał monolog o dorastaniu pośród gangsterskiej przemocy we włoskich kwartałach Bronxu. De Niro przypadkiem zobaczył monodram w Los Angeles. Namawia Palminteriego do przerobienia sztuki na scenariusz. Dla siebie bierze rolę uczciwego, ale nudnego ojca, kierowcy autobusu, który musi walczyć z charyzmatycznym mafiosem o względy syna. Po raz pierwszy w życiu staje też za kamerą. Pracuje po 18 godzin dziennie, napędzany podwójnymi espresso z pięcioma kostkami cukru. Sam decyduje o wyborze setek statystów. Dogląda magazynów z kostiumami i parkingów ciężarówek. Reżyseruje. Grający mafiosa, debiutujący w dużej ekranowej roli Palminteri wspomni to jako hipnotyzujące doświadczenie. „Jego oczy były jak ręce, wyciągał je i cię porywał". Mówił: „Rób mniej. Aktorzy z reguły robią więcej niż potrzeba, i mam na myśli również siebie. Nieraz nie trzeba robić nic. Wszystko już tam jest".

Kasetę ze świeżo zmontowanym filmem De Niro wysyła najpierw Scorsesemu. Zdaje egzamin – „Prawo Bronxu" zbiera dobre recenzje i odnosi komercyjny sukces. Krytyk pisze: „De Niro zrobił film przepełniony czułością, która być może jest bliższa jego naturze niż którakolwiek z ról, jakie zagrał".

Niedługo przed premierą umiera jego ojciec. Przez dekady ich relacja była milczeniem. Rodzice rozstali się, gdy De Niro miał dwa lata, ale pozostali w przyjaźni. Ojciec nigdy nie mówił o powodach rozwodu, o swojej seksualności. Nie mówił o pracy, choć malarstwo było jego życiem. W latach 60. wyjechał do Francji. Żył na krawędzi nędzy, pogrążony w depresji, jego płótna się nie sprzedawały. De Niro junior poleciał do Europy, przejechał autostopem Irlandię i Włochy, poszukując swoich korzeni. Potem pojechał do Paryża i namówił ojca na powrót do Nowego Jorku.

W 1976 r., gdy junior dostał nominację do Oscara za „Taksówkarza", ojciec wydał tomik poezji. Opatrzył go adnotacją: „Te wiersze napisał Robert De Niro malarz, nie mylić z Robertem De Niro aktorem, jego synem".

Gdy urządzał restaurację, De Niro aktor bał się poprosić tatę o kilka obrazów. De Niro malarz traktował malarstwo śmiertelnie poważnie, być może nie życzyłby sobie, żeby zdobiło ściany knajpy. Gdy syn się przemógł i zapytał, usłyszał: „Bierz, co chcesz". Przed śmiercią De Niro senior stał się stałym klientem w Tribeca Grill. Siadał przy stoliku i czekał, aż syn zejdzie z gabinetu i się dosiądzie. W testamencie zapisał mu wszystkie płótna wycenione łącznie na dwa miliony dolarów. „Prawo Bronxu" reżyser zadedykował pamięci ojca.

De Niro urodził się, wychował i całe życie spędził na Dolnym Manhattanie. Jego centrum filmowe dzieliło dziesięć minut spaceru od wież WTC. 11 września 2001 okna Tribeca Grill i jego gabinet zasnuwa gęsty pył. Zamach jest – dosłownie – atakiem na jego podwórko. Kilkanaście tygodni później De Niro ogłasza powstanie nowego przedsięwzięcia. Tribeca Film Festival ma się przyczynić do rewitalizacji części miasta zdewastowanej napaścią terrorystów, z której uciekają najemcy.

W ciągu kilku lat De Niro zostaje producentem, reżyserem, przedsiębiorcą, wizjonerem, menadżerem kultury. Jednocześnie nie cichnie melodia, że jako aktor najlepsze lata ma za sobą. Nowe pokolenie widzów kojarzy go z lekkimi i przyjemnymi komediami jak „Depresja gangstera" czy „Poznaj mojego tatę". Krytycy piszą, że ostatni wielki film zrobił dwie dekady wcześniej – „Wściekłego Byka". Oddani wielbiciele aktora liczeni w milionach mogą jednak zapytać: czy to De Niro nie grywa w wielkich filmach, czy może nie powstają już wielkie filmy? Czasy Reagana i Clintona są erą bogacenia się i dominacji USA na świecie, a nie kulturowego fermentu. Kino odzwierciedla rzeczywistość. Paul Schrader, scenarzysta „Taksówkarza" i „Wściekłego Byka", powiedział, że „Gwiezdne wojny" z 1977 r. – kosmiczna zabawa wykreowana przez George'a Lucasa – „pożarły serce i duszę Hollywood, otwierając wrota dla wysokobudżetowych filmowych komiksów". Dały zapowiedź końca najwspanialszej epoki amerykańskiego kina, którą De Niro współtworzył.

1981, KTO CHCE ZABIĆ RONALDA REAGANA

Przełom przyszedł dla niego wraz z „Nędznymi ulicami" z 1973 r. Rola Johnny'ego Boya, nieokrzesanego rzezimieszka z manhattańskiej Little Italy, który nie boi się niczego, nawet mafii, przyniosła mu nagrody krajowego stowarzyszenia krytyków filmowych i nowojorskiego koła krytyków. Recenzentka „New Yorkera" napisała: „De Niro ma wystarczające śmiałość, wdzięk i instynkt, żeby zostać aktorem równie wielkim jak Brando". Film był pierwszym z dziesięciu, jakie do dziś zrobili wspólnie De Niro ze Scorsesem. Wystrzelił ich do sławy. Wtedy, na początku lat 70., byli jednymi z wielu dzieciaków amerykańskiej nowej fali, jaka zalała Hollywood i nie pozostawiła kamienia na kamieniu starego systemu wielkich wytwórni.

Jej źródeł można szukać 22 listopada 1963 roku, kiedy w zamachu w Dallas zginął prezydent John Kennedy. Data wyznaczyła symboliczny koniec dawnej Ameryki. Koniec fikcji – tak zwanego powojennego dobrobytu i zgody narodowej. Początek czasów non-fiction – wywlekania spod dywanu narodowych brudów. Zawrzały ulice. Zatrzęsły się polityczne gabinety. W 1964 roku prezydent Lyndon Johnson podpisał ustawę o prawach obywatelskich delegalizującą segregację. Rok później ustawę o prawach wyborczych i ustawę o imigracji. Emancypowały się mniejszości, nadciągały fale nowych przybyszów z całego świata. Bulgotał hajcowany narkotykami protest młodego pokolenia.

Kilka miesięcy przed śmiercią Kennedy'ego premierę miała „Kleopatra". Film miał kosztować dwa miliony dolarów, a kosztował 45 milionów i doprowadził do zapaści wytwórni 20th Century Fox. Do niedawna wypuszczała ona przeboje z Marylin Monroe, Johnem Wayne'em czy Elvisem Presleyem, teraz zamieniła się w miasto duchów. Ale kryzys hollywoodzkich wytwórni narastał od połowy lat 50. W cią-

> Brando był rebeliantem zbuntowanym przeciw burżuazyjnej nudzie lat 40. i 50. Dean reprezentował gniew młodych wobec rodziców. De Niro nie da się zaszufladkować

eprasa.pl 8aafe869ec

gu dekady kinowa publiczność zmniejszyła się o połowę. Hollywood gnębiła konkurencja elewizji, nowe antymonopolowe regulacje i – przede wszystkim – to, że nie potrafiło opowiadać o nowych czasach kontrkultury. W czasach artystycznego rozkwitu kinematografii europejskiej firmowanej talentami Bergmana, Felliniego, Antonioniego, Goddarda, amerykańskie kino stało się obciachem.

Niejacy Robert Benton i David Newman, dwaj młodzieńcy w Nowego Jorku zakochani we francuskiej Nowej Fali, napisali wzorowany na niej scenariusz zatytułowany „Bonnie i Clyde". Film miał premierę w sierpniu 1967 roku, gdy w San Francisco trwał zlot stu tysięcy hipisów nazwany latem miłości, gdy setki trumien przylatywały z Wietnamu, gdy dogasały rasowe bunty w Newark i Detroit. Dzieci kwiaty chodziły na „Bonnie i Clyde" po kilka razy. Szef Warner Brothers Jack Warner nie chwytał, o co w tym filmie chodzi, ale umiał liczyć – zarobił na nim kilkadziesiąt milionów. Wytwórnie zrozumiały, że trzeba dać młodym kręcić to, co chcą.

Pewien nowy autor udzielał wywiadu, siedząc na trampolinie w rozpiętej koszuli: „Starzy ludzie wymierają. Znikają przedstawiciele purytanizmu, religii i innych narzędzi zakazu. My jesteśmy inni i żądamy innego świata". Nazywał się Roman Polański.

Wróćmy do De Niro. W aktorstwie też trwała rewolucja. W dzielnicy Hell's Kitchen na Manhattanie, pośród tanich barów, burdeli i narkotykowych melin, działało prowadzone przez Lee Strasberga Actors Studio. Strasberg zaimportował do Stanów system sztuki aktorskiej opracowany przez rosyjskiego reżysera Konstantina Stanisławskiego. Aktor nie ma jedynie przedstawiać postaci, tylko doświadczać jej emocji i je ucieleśniać. Metoda polega na psychologicznym zgłębianiu roli, poszukiwaniu emocjonalnych odnośników we własnym życiu i wcielaniu się w nią przez cały czas trwania zdjęć bądź produkcji teatralnej. Pierwszymi gwiazdami nowej szkoły byli w latach 50. Marlon Brando i James Dean. W kolejnych dekadach hollywoodzkie filmy zyskują życie dzięki kreacjom Ala Pacino, Meryl Streep, Jacka Nicholsona, Dustina Hoffmana.

De Niro szybko zyskuje reputację najwierniejszego ucznia Lee Strasberga. Do każdej roli przygotowuje się tak metodycznie, jakby zależało od niej jego życie. Gdy w nią wchodzi, on – Robert De Niro – znika. Zostaje tylko postać. Po „Nędznych ulicach" dostaje angaż do drugiej części „Ojca chrzestnego". Gra młodego Vito Corleone, bohatera, którego w pierwszej części wykreował Marlon Brando. Uczy się sycylijskiego dialektu, w całym filmie powie osiem słów po angielsku, resztę po włosku. Ogląda pierwszą część sagi kilkadziesiąt razy. Staje się młodym Vito Corleone, takim, jakiego zagrałby młody Brando. Sam Brando, po tym, gdy obejrzał film, mówi o De Niro: „On raczej nie wie, że jest aż tak dobry". De Niro dostaje swojego pierwszego Oscara.

Jego kolejną rolą jest Travis Bickle, samotny weteran z Wietnamu popadający w paranoję. Paul Schrader napisał scenariusz „Taksówkarza" w dziesięć dni, odosobniony w brudnym pokoju, pogrążony w depresji i wściekłości po rozpadzie związku, w jakim żył wiele lat.

Żadna wytwórnia nie chciała dać pieniędzy na ekranizację. Scorsese i De Niro dostrzegli w tekście szekspirowską tragedię. Zamierzali nakręcić film niezależny na 16-milimetrowej taśmie, sfinansowany z własnych kieszeni. W końcu dostali skromną sumę niecałych dwóch milionów dolarów od Columbia Pictures. De Niro zamieszkał sam w brudnym pokoju. Zdobył licencję i zatrudnił się na taksówce. Przez kilka tygodni pracy tylko dwie osoby rozpoznały w nim faceta, który dostał Oscara za „Ojca chrzestnego". Myślały, że jego kariera się załamała i musi dorabiać.

Gdy budżet i termin zostały dawno przekroczone, trzeba było jeszcze nakręcić sekwencję, w której Bickle składa broń i celuje do lustra. W scenariuszu była pozbawiona dialogów. Scorsese chciał ją ożywić. „Mów coś" – poprosił De Niro. Ten zaczął improwizować: „You're talkin' to me?". Wpadł w trans. Powstała jedna z najbardziej pamiętnych scen światowego kina, jeden z najważniejszych filmów dekady. Jak napisał ktoś: ponadczasowa dokumentalna podróż po samotnej duszy.

Niewiele później De Niro sprezentował Scorsesemu książkę – słabo napisane wspomnienia byłego boksera Jake'a LaMotty. Uparł się, że mogą z nich zrobić genialny film. We „Wściekłym Byku" aktor osiągnął szczyt metody Stanisławskiego. Cathy Moriarty, 19-letnia debiutantka grająca żonę LaMotty, opowie, że w czasie kręcenia wspólnych scen autentycznie bała się De Niro. Gwiazdor nauczył się boksować. Doprowadził ciało do atletycznej formy, by później w ekspresowym tempie przybrać 30 kg na potrzeby scen z emerytowanym, otyłym La Mottą. Bliscy wspominali, że przez cały okres przygotowań i zdjęć był nie do wytrzymania: wściekły i sfrustrowany jak jego bohater.

Dostał Oscara. Gala rozdania nagród została w ostatniej chwili przesunięta o 24 godziny, bo w dniu, w którym miała się odbyć, niejaki John Hinckley Jr. oddał sześć strzałów do prezydenta Ronalda Reagana przed hotelem Hilton w Waszyngtonie. Hinckley kilkanaście razy obejrzał „Taksówkarza". Zakochał się w Jody Foster odgrywającej rolę nastoletniej prostytutki. Żeby jej zaimponować, postanowił zabić prezydenta. Chciał być jak Travis Bickle.

1969, DLA FILMU WARTO UMIERAĆ

Superprodukcja o Wałęsie z Robertem De Niro w roli tytułowej nigdy nie powstała. Jest sporo teorii na temat przyczyn. Ponoć Scorsese odradzał przyjacielowi granie żywych pomników. Po spotkaniu gwiazdora z Wałęsą 21 września 1989 r. „Dziennik Telewizyjny" nadał relację. De Niro wyraził podziw dla szefa Solidarności i zauważył, że są rówieśnikami. Wałęsa powiedział: „Chcemy być obywatelami świata. Liczymy na to, że ludzie kultury i filmu będą łamać lody i otwierać granice".

De Niro przywiózł wtedy do Polski nadzieję, zapowiedź nowych, wspaniałych czasów. Był – i jest – jedną z ikon, z pomocą których amerykańska popkultura rzuca na świat urok. Nigdy tego nie planował, nie pragnął sławy. Chciał się ukryć. Legendarny reżyser Elia Kazan powiedział:

„Brando był rebeliantem, wolnym duchem zbuntowanym przeciw burżuazyjnej nudzie lat 40. i 50. Dean reprezentował gniew młodego pokolenia wobec rodziców. Ale De Niro nie da się zaszufladkować.

Kryje się w nim wiele osobowości. Znalazł przyjemność i sposób na życie w przeobrażaniu się w innych ludzi".

Popatrzmy, jak na początku lat 60. szczupły, ostrzyżony na krótko nastolatek w białej, nieco za ciasnej koszuli pędzi przez Nowy Jork na kolarzówce – od przesłuchania do przesłuchania. Nikt wtedy nie jeździł po metropolii na rowerze. Odkąd rodzice się rozstali, chudzielec żyje z mamą w mieszkanku na 14. ulicy. Ledwie wiążą koniec z końcem. Matka, Virginia Admiral, też była malarką. W latach 40. z ojcem Bobby'ego byli popularną parą pośród bohemy. Przez ich mieszkanie w Greenwich Village przewijali się przyjaciele m.in Jackson Pollock czy Mark Rothko. Gdy związek się rozpadł, Virginia porzuciła sztukę, żeby utrzymać syna. Została maszynistką i korektorką.

Jako nastolatek Bobby rzuca szkołę. Trzyma się z młodocianym gangiem w Little Italy, w którym dostaje ksywę Bobby Milk – od jasnej karnacji. To z tamtych czasów wiele lat później na imprezie u wspólnych znajomych skojarzy go wychowany w Little Italy Martin Scorsese – „Ty chyba jesteś Bobby Milk, co?".

Ojciec widuje go z rzezimieszkami na ulicy. Beszta i zaciąga do kina. Bobby odgrywa później przed mamą role z obejrzanych filmów. Zaczyna kolekcjonować kostiumy i się przebierać. Mówi, że może wrócić do szkoły, ale tylko aktorskiej. Mama przekazuje mu oszczędności zgromadzone na jego studia, żeby mógł zapisać się do Actors Studio Lee Strasberga. Przez kilka lat grywa w małych teatrach oraz epizody i drobne role w nic niewartych filmach. Pewnego dnia trafia na casting do komedii „The Wedding Party" Briana De Palmy. Odgrywa zadaną scenę. Jest nieśmiały i cichy. Niezadowolony z siebie, prosi, żeby pozwolić mu pokazać monolog, jaki ostatnio ćwiczył. Wychodzi z sali, żeby się przygotować, i wraca dopiero po 20 minutach. Daje popis wściekłego przywódcy strajkowego na wiecu. De Palma jest zdumiony, rozpowiada o nim na mieście. W 1969 r., w wieku 25 lat, coraz lepiej znany De Niro dostaje pracę w filmie „Bloody Mama" Rogera Cormana.

Bez Cormana nie byłoby nowej fali w Hollywood. Gdy drogie filmy rujnowały wielkie wytwórnie, jego niezależne studio wypuszczało dziesiątki dochodowych hitów rocznie produkowanych za grosze. Corman zatrudniał młodych i napalonych (również dosłownie). Pośród nich byli Francis Ford Coppola, James Cameron, Dennis Hopper, Jack Nicholson, Charles Bronson, Sylvester Stallone czy Janusz Kamiński. Oraz Martin Scorsese i Robert De Niro. Z ich pomocą, z prędkością karabinu tworzył horrory, filmy sensacyjne, motocyklowe, wyścigowe, narkotykowe, kostiumowe, fantastyczne, science fiction czy soft porno o tytułach takich jak „Wyścig śmierci", „Nawiedzony pałac" czy „Wiadro krwi". Wypuszczał je w kinach dla zmotoryzowanych. W Stanach – głównie na prowincji – było ich wtedy ponad pięć tysięcy. Przyciągały młodą publiczność. Jednocześnie Corman był dystrybutorem filmów europejskich, które pokazywał w kinach studyjnych w postępowych dzielnicach metropolii. Do jednego z takich kin chodziło dwóch przyjaciół marzących o pisarskich karierach, którzy napisali „Bonnie i Clyde'a".

W „Bloody Mama" grany przez De Niro gangster Lloyd Barker jest uzależniony od narkotyków. Młody aktor przygotowuje się do roli – przechodzi na dietę złożoną tylko z wody i witamin. W kilkanaście dni traci 15 kilo. Wygląda jak trup. Ekipa boi się, że chłopak się przekręci. Jego partnerka i mentorka na planie, dwie dekady starsza Shelley Winters, bierze go na stronę.

„Słuchaj, Bobby, rozumiem, że film to dla ciebie ważna sprawa. Ale nie warto dla niej umierać".

„Oczywiście, że warto".

2023, ULUBIONY FILM Z ROBERTEM DE NIRO

Nie umarł. W dobrym zdrowiu doszedł do osiemdziesiątki. Z tej okazji na gali dostał klucze do rodzinnego miasta od burmistrza Nowego Jorku Erica Adamsa. Stworzony przez niego Tribeca Film Festival doczekał się w tym roku 22. edycji. Spełnia swoją funkcję – Tribeca jest jedną z popularniejszych i droższych dzielnic Manhattanu. De Niro nie przestaje pracować. Codziennie jest w swoim gabinecie. Rok w rok premierę mają co najmniej dwa filmy z jego udziałem. Czasem beznadziejne – jak tegoroczny „About My Father" Sebastiana Maniscalco. Czasem wybitne – jak zapowiadany na jesień, pokazany premierowo w Cannes „Czas krwawego księżyca" Scorsesego.

W życiu prywatnym jako 79-latek został ojcem siódmego dziecka. Poprzednie sześcioro ma z trzema partnerkami, z którymi łącznie spędził prawie 50 lat życia. Wszystkie są Afroamerykankami. W kontrowersyjnym skeczu w telewizyjnym show Saturday Night Life zagrał prezydenta Thomasa Jeffersona podrywającego swą niewolnicę Sally Hemings. Jeden z mężów stanu przyglądających się scenie komentuje: „Nie czytacie gazet? Wszyscy to wiedzą – Jefferson wyrywa tylko czarne cizie".

Być może zajęło mu to kilka dziesięcioleci, ale Robert De Niro, człowiek „stworzony, żeby być aktorem i nie być celebrytą", nauczył się żyć pod okiem mediów. Potrafi z siebie żartować. A w wywiadach po prostu jest sobą – zwykłym, nieśmiałym facetem, który rzadko powie coś ciekawego.

„Pana ulubiony film z Robertem De Niro?" Chwila milczenia.

„Bo ja wiem? Raczej jestem wobec siebie krytyczny". ●

W przyszłym roku ukazuje się książka Macieja Jarkowca o Hollywood

1 RP

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Wałęsa sprzedał wytwórni Warner Bros. prawa do swojej historii. Miał go zagrać Robert De Niro

eprasa.pl 8aafe869ec

Lewica nie wierzy w wierzących

Ludzie boją się kogoś, kto twierdzi, że ludzki płód to pasożyt. Kogoś, kto pogardza tradycyjnym wujkiem, bo ten nie chce z dnia na dzień uznać, że płeć to kwestia nie biologii, ale identyfikacji.

Marcin Matczak

Powiedziałem ostatnio w TVN, że stawką tych wyborów jest człowiek – jednostka, którą państwo PiS w rzeczywistości gardzi, która jest dla niego wyborczym mięsem, ważnym o tyle, o ile zagłosuje zgodnie z oczekiwaniami Partii. Na taką jednostkę warto wydać publiczne pieniądze, a potem krzyczeć, że nie kupuje się głosów, tylko POMAGA. Jak jest naprawdę, widać, gdy o pomoc proszą ci, którzy na PiS nie zagłosują. Na przykład rodzice dzieci z niepełnosprawnością.

●

To, że PiS poświęca jednostkę na ołtarzu partyjnego sukcesu, widać najjaskrawiej w trzech sprawach ujawnienia danych: Mikołaja Filiksa, ofiary Mariki i lekarza krytykującego Ministerstwo Zdrowia. Prawa tych osób, w tym prawo do prywatności, nie znaczą nic, gdy ich złamanie realizuje interes Partii. Ona zyska, gdy ujawni się to, co poufne. Człowiek znaczy nic, Partia znaczy wszystko.

Nie o PiS mi jednak w tym felietonie chodzi. Skoro stawką wyborów jest człowiek, jaką wizję człowieka ma opozycja? To pytanie wydaje się nieistotne, bo trwa wojna. Opozycja walczy z PiS, jak „Solidarność" walczyła z komunizmem – wewnętrzne różnice są zamazane, bo ważniejszy jest wspólny front. I dobrze. Ale naszą rolą jest patrzeć dalej. Jaka wizja Polaka siedzi w głowie opozycji: do czego chce go doprowadzić?

●

Ktoś powie, że Polak sam wie, dokąd chce dojść. Nie jest to takie proste. Projekt polityczny PiS jest między innymi projektem formacyjnym. PiS tworzy nowego Polaka – bojącego się inności tradycjonalistę, którego patriotyzm ma definiować nie miłość do kraju własnego, ale nienawiść do krajów obcych. PiS tworzy lub wzmacnia ciemną stronę polskiej duszy.

Opozycja nie ma jednej wizji człowieka, bo nie jest tak jednolita jak PiS. Wizji człowieka, który ma być podmiotem, a nie tylko przedmiotem polityki, którego dobra polityka może skłaniać do dobra, tak samo jak zła polityka skłania do zła. Choć opozycyjna wizja człowieka jest generalnie niejasna, jasne jest jednak, że nie wierzy w Polaka konserwatystę. Wie, że on istnieje, ale nie wierzy, że będzie istniał. W tej wizji konserwatyzm jest dziaderstwem, które zaraz przeminie. Trzeba tylko poczekać.

Nie przeminie. I jeśli opozycja wygra wybory, trzeba będzie na Polaka przyszłości znaleźć pomysł, który konserwatyzmu nie wyrzuca jak nadgryzionego przez mole płaszcza. Bo aby rządzić, opozycja musi znaleźć w wizji Polaka miejsce dla wartości konserwatywnych, miejsce dla około 30 proc. naszego społeczeństwa. Dla ludzi potrzebujących tradycyjnych wersji rodziny, człowieka i Boga.

A nie będzie umiała tego zrobić, jeśli będzie rządzić z lewicą. Bo to lewica nie wierzy w istnienie Polaka konserwatysty najbardziej. Ma nadzieję, że konserwatyzm wypleni, bo uznaje go za anomalię, nie postawę. Lewica, przesiąknięta ideami Marcusego, chce dogłębnej i fundamentalnej zmiany świata, w której nie tylko nie ma miejsca dla bogatych, ale także nie ma miejsca dla konserwatystów. Chce ich reedukować, bo w jej oczach człowiek nie może być tak głupi, żeby dobrowolnie i świadomie był konserwatywny. To musi być fałszywa świadomość, a taką trzeba zmienić.

●

Jeśli nie ma w świecie miejsca na antykonserwatywną rewolucję lewicy, ten świat jej nie obchodzi. Posłanka Biejat w wyborach prezydenckich roku 2015 oddała nieważny głos – nie głosowała na Komorowskiego, bo nie chciała głosować na „mniejsze zło". Ma prawo nie głosować. Ludzie mają jednak prawo to oceniać. To przykład skrajności – drobnej, ale skrajności. Skoro ma się realizować świat w miarę normalny, lecz konserwatywny (świat Komorowskiego), to lepiej, żeby nie było niczego. Bo oddanie głosu nieważnego jest mininiszczeniem systemu, a przynajmniej obojętnością na to, że ten system właśnie ktoś rozwala. Konserwatyzm z ludzką twarzą jest nie do przyjęcia, więc niech będzie zamordyzm. Przecież w 2015 r. było już wiadomo, co robił PiS w 2005.

Filozoficzne i antropologiczne założenia lewicy są trudne do pogodzenia z tendencjami, które widać w Polsce. Lewica jest w połowie PiS, jeśli chodzi o program socjalny, i w połowie KO co do postulatów liberalnych. Socjalnie jednak nie może dać ludziom nic innego, niż daje PiS, a jest bardziej rewolucyjna niż KO, promując światopogląd, którego większość Polaków nie akceptuje.

Ludzie boją się kogoś, kto twierdzi, że ludzki płód to pasożyt. Są podejrzliwi wobec kogoś, kto pogardza tradycyjnym wujkiem, bo ten nie chce z dnia na dzień uznać, że płeć to kwestia nie biologii, ale identyfikacji. Trudno przeciętnemu Polakowi zachwycić się ideologią queer – uznawaniem, że godne pochwały jest jedynie to, co odbiega od normy, a sama norma jest opresją, narzucaniem czegoś jednemu przez drugiego. Dla wielu Polaków to jest światopoglądowa prowokacja.

Lewica promuje człowieka, który nie potrzebuje tradycji, a jednocześnie jest niewolnikiem państwa – ani to stary mieszkaniec wsi, ani młody, ambitny mieszkaniec miasta. Polacy mają w sobie gen wolności i indywidualizmu. Lewica ma w sobie gen kolektywizmu, w którym to, co wspólne, dominuje nad tym, co własne.

●

Przed wyborami potrzeba kompromisu, to jasne. Stąd progresywne propozycje antykościelne i aborcyjne, a jednocześnie Donald Tusk fotografujący się jako tradycyjny dziadek. Tak da się robić kampanię, ale nie da się robić polityki. Przy okazji – te zdjęcia Tuska są aktem odwagi w świecie, w którym prezydent Kwaśniewski musiał się ze swoich marzeń o dziadkowaniu wycofać.

Obóz, który chce rządzić Polską dłużej niż cztery lata, musi zagospodarować konserwatyzm Polaków. Inaczej zagospodaruje go ktoś inny. Stabilna władza musi moderować skrajności, a nie brać je na pokład i uznawać za swoje. Musi rozumieć ludzki strach przed nowością i ludzką potrzebę standardów.

Jacek Dehnel, który ma być jedynką lewicy w Warszawie, napisał po moim tekście o Bożym Narodzeniu, że nie wierzę w niewierzących. Ja wierzę – to lewica nie wierzy w wierzących i konserwatywnych. Czy w świecie, w którym konserwatyzm istnieje, lewica potrafi funkcjonować bez wywracania stolika, ponieważ nie realizuje się w pełni antykonserwatywna rewolucja, o której marzy? ●

Mysz

Jeśli minister Błaszczak powiedział, że „nad naszym niebem nawet mysz się nie przeciśnie", to warto zastanowić się nad wyznawaną przez niego koncepcją budowy Wszechświata.

Michał Rusinek

Sporo jest tekstów kultury, zwłaszcza dawnej, które nie dotrwały do naszych czasów i znane są wyłącznie ze streszczeń, komentarzy czy cytatów. Chociażby najstarszy dokument dotyczący historii Polski, znany jako „Dagome iudex", spisany pod koniec X wieku, nie zachował się, a jego treść można odtworzyć wyłącznie z regestu, czyli streszczenia, sporządzonego prawie sto lat później. Albo zaginiona powieść Brunona Schulza „Mesjasz", którą miał w rękach Artur Sandauer i zapamiętał z niej tylko pierwsze zdanie: „Wiesz – powiedziała mi rano matka. – Przyszedł Mesjasz. Jest już w Samborze". Okazuje się, że podobne zjawisko ma miejsce też w przypadku wypowiedzi polityków, nawet tych żyjących: zdarza się, że nie da się zlokalizować źródła jakiejś wypowiedzi (verba volant), ale pojawia się ona jako cytat w komentarzach do niej. Tak też się stało niedawno z legendarną już – jak „Dagome iudex" i „Mesjasz" – wypowiedzią ministra Mariusza Błaszczaka.

●

W zeszłym roku, wzmacniając różnymi sposobami naszą wschodnią granicę, pan minister miał powiedzieć, że „nasze niebo jest bezpieczne jak nigdy, nad naszym niebem nawet mysz się nie przeciśnie". Tak przynajmniej twierdzą posłowie Nowej Lewicy Jan Szopiński i Krzysztof Gawkowski. Ten ostatni podał rzeczony cytat także w innej wersji: „Minister w grudniu ogłaszał, że polskie niebo jest tak bezpieczne, że nawet mysz się nie przeciśnie". I przyznał, że minister dotrzymał słowa, bo nie przecisnęła się mysz, ale „sześciometrowa rakieta".

●

Jeśli minister Błaszczak powiedział, że „nad naszym niebem nawet mysz się nie przeciśnie", to warto zastanowić się nad wyznawaną przez niego koncepcją budowy Wszechświata. Wygląda na to, że jest to koncepcja średniowieczna, przedkopernikańska. Głosi ona, że sfera niebieska podzielona jest na trzy nieba: empireum, crystallinum i firmamentum. Caelum emipreum było niebem najwyższym, najdoskonalszym i najbliższym Bogu, nie mógł więc mieć go na myśli pan minister, bo sugestia, że cokolwiek mogłoby się nad nim przecisnąć, byłaby ciężkim bluźnierstwem i obrazą uczuć religijnych. Caelum firmamentum to niebo najniższe, w którym zawieszone są wszystkie gwiazdy. Pomiędzy nimi znajduje się niebo krystaliczne, które sprawiało uczonym najwięcej kłopotów. Zrobione bowiem było z żywiołu wody, ale innej niż ta, którą znajdziemy na Ziemi.

Św. Bonawentura, wskazując na analogie między budową człowieka a budową kosmosu, zauważył, że u człowieka głowa znajduje się wyżej niż serce. Serce jest z natury gorące i ogniste, mózg zaś zimny i mokry. Można więc wywnioskować, że ponad gorącymi ciałami niebieskimi, takimi jak Słońce, znajduje się rzeczywistość wilgotna. Nie ma się co dziwić, że oczytany z pewnością w pismach ojców Kościoła minister Błaszczak w rzeczywistości tej sytuuje myszy. Jak czytamy w encyklopediach – w razie potrzeby mysz okazuje się dobrym pływakiem. Tak więc minister obrony narodowej musiał za pomocą sobie tylko znanych zabiegów, być może modlitewnych, zabezpieczyć niebo nad Polską, by myszy nie zdołały się prześlizgnąć między firmamentum Polonicum a empireum Polonicum. I tego dotyczyło jego zdanie. Nie ma co mieć pretensji do niego, że przecisnęła się do nas rakieta, a potem wleciały białoruskie śmigłowce, są to bowiem byty o odmiennym statusie ontologicznym, nieprzewidziane przez św. Bonawenturę.

●

Jeśli zaś kogoś to wyjaśnienie nie przekonuje i nadal tkwi w stuporze, próbując sobie wyobrazić mysz przeciskającą mu się nad głową, to niech przypomni sobie bajkę Jana Brzechwy „Mysz i nietoperz": „Nie każdy przyrodniczym zjawiskom dowierza./ Mała myszka ujrzała w nocy nietoperza;/ ze strachu więc do nory fiknęła koziołka/ wołając: »Mamo, mamo, widziałam aniołka!«". Bajka ta wprowadza nas znów w imaginarium chrześcijańskie, ale przypomina też, że długo uważano, iż nietoperze są skrzydlatymi myszami (owszem, są ssakami, lecz należą do zupełnie innych rzędów, nie są gryzoniami). Mówiąc o myszy przeciskającej się w stratosferze, minister Błaszczak mógł zatem mieć na myśli „skrzydlatą mysz", czyli nietoperza, zwłaszcza jeśli bazował na wiedzy sprzed klasyfikacji wprowadzonych przez Linneusza, Cuviera i Owena. To jeszcze nic zdrożnego. Problem pojawia się wówczas, kiedy uświadomimy sobie, że po niemiecku nietoperz to „Fledermaus", czyli – w wolnym tłumaczeniu – „latająca mysz". Kontekst niemiecki jest jednak z perspektywy pana ministra wysoce niepożądany. Natomiast kontekst operetki „Zemsta nietoperza" Johanna Straussa jeszcze pogarsza sprawę, bo wprowadza dodatkowo postać rosyjskiego arystokraty i dyplomaty zarazem organizującego podejrzany bal maskowy.

●

Ten taniec domysłów i skojarzeń zatrzymał w końcu sam pan premier, odcinając się od mysiej metaforyki ministra, ale zarazem się do niej odnosząc. Powiedział bowiem, że przesuwanie na granicę „jednostek wojskowych, wzmacnianie linii obronnej poprzez także umocnienia fizyczne (...), większą liczbę naszych funkcjonariuszy Straży Granicznej, funkcjonariuszy policji jest tym działaniem, które chroni naszych obywateli". Ale „to nie znaczy, że tutaj żadna mysz się nie prześlizgnie", musimy więc być czujni i nie dać się sprowokować prowokatorom Łukaszenki. Można więc powiedzieć, że pan premier sprowadził ryzykowną metaforę Błaszczaka do dosłowności i fizyczności, a mysz – z nieba na ziemię. Czyli do jej naturalnego środowiska. I za to bądźmy mu wdzięczni. Także w imieniu myszy. ●

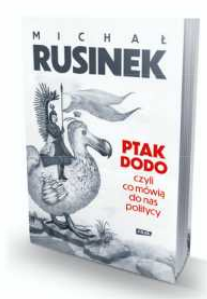

Już w księgarniach i na publio.pl zbiór felietonów Michała Rusinka, **„Ptak Dodo, czyli co mówią do nas politycy".** Wyd. Znak

eprasa.pl 8aafe869ec

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

RYSUNEK POCHODZI Z KSIĄŻKI "MROŻEK W OBRAZACH" (NOIR SUR BLANC 2013).

10 lat bez Mrożka

SŁOŃ ODLATUJE

Oto mija dekada od śmierci autora „Tanga" – i Mrożka próbuje zawłaszczyć prawica. Niedouczenie bywa naprawdę zabawne.

Małgorzata I. Niemczyńska

Kiedy miał 26 lat, pisał w „Od A do Z":

„Codziennie rano nakładam skarpetki, codziennie wieczorem je zdejmuję. Jednocześnie wschodzi i zachodzi słońce, więc jednocześnie mają miejsce dwa zjawiska różne pod względem skali i znaczenia. Wolałbym być słońcem niż nakładaczem skarpetek. Wielka tęsknota".

Sławomir Mrożek nie nakłada i nie zdejmuje skarpetek już od 10 lat. Zmarł 15 sierpnia 2013 r. w Nicei, a słońce dalej wschodzi i zachodzi. Choć przecież jakoś inaczej.

Wystukał tamten tekst pewnie na maszynie do pisania w swoim malutkim pokoiku w krakowskim Domu Literatów. Po wojnie mieszkali tu też m.in. Konstanty Ildefons Gałczyński, Tadeusz Różewicz czy Wisława Szymborska. Połowa podręcznika do języka polskiego skoszarowana w jednym budynku. I nawet w takim gronie młody Mrożek się wyróżniał.

Jak głosi legenda, zjadał tylko bułkę w barze, popijał szklanką mleka – i już leciał pisać. Jego lokum było prawie puste, zamykał się w nim na głucho. Nie chcąc tracić czasu na głupoty, jak przyniesienie węgla i rozpalenie w piecu, wkładał rękawiczki, a okna zaklejał papierem. Na korytarz wystawiał sterty czasopism kulturalnych z dziurami po starannie wyciętej każdej wzmiance o sobie.

W świat wyruszył z Borzęcina, niewielkiej wsi między Brzeskiem a Tarnowem. Tam urodził się 29 czerwca 1930 r. i w tamtych okolicach przebywał w czasie II wojny światowej. „Jeśli wojna zdarzyła się tylko po to, żeby zatrząść moim dziecinnym światopoglądem, to dziękuję, gruba przesada. Coś mniejszego by wystarczyło w zupełności" – pisał w „Moim życiorysie".

Był bardzo wysoki (po mamie) i szczupły. Od dziecka nosił okulary. W młodości martwił się przedwczesnym łysieniem, stąd wzięły się jego charakterystyczne kaszkiety i kapelusiki. Długo palił fajkę. Niemal wszyscy zapamiętali go z wąsami, choć nie zawsze je nosił.

W wieku 20 lat opublikował w „Przekroju" reportaż z budowy Nowej Huty, a pierwsze opowiadania wydał 1953 r. Po debiutanckiej sztuce „Policja" stał się autorem na fali. Do języka weszły powiedzenia, że coś jest „jak z Mrożka" albo że „Mrożek by tego nie wymyślił". Mówił po latach, że był znany również jako taki „paryski egzystencjalista", bo „miał czarne spodnie".

W Domu Literatów dzielił mieszkanie ze Stanisławem Czyczem. Podobno widzieli się kilka razy. Mrożek miał się chować przed współlokatorem z powodu obsesji, że ten chce od niego pożyczać pieniądze. Gdy słyszał, że kolega krząta się po kuchni, na wszelki wypadek nie wychodził z pokoju. Raz dał się zaskoczyć w piwnicy przy węglu (w mrozy jednak po niego schodził). Nie wiedząc, kto nadchodzi, na wszelki wypadek zgasił świecę i padł. W opowieściach Czycza pełne nazwisko współlokatora brzmiało: „Ten Skąpy Skurwysyn Mrożek".

Z przyjacielem z lat szkolnych, aktorem Leszkiem Herdegenem Mrożek wymyślił dowcip, który polegał na porozumiewaniu się z otoczeniem wyłącznie za pomocą karteczek. Napotkanym osobom wręczali fiszki z napisami: „Dzień dobry", a potem: „Co słychać?". Któregoś razu poeta Adam Włodek, chcąc zaskoczyć Mrożka, podał mu jako pierwszy własne: „Co słychać?". Adresat spokojnie pogrzebał w kieszeni i bez mrugnięcia okiem wyjął odpowiedź: „Po staremu".

„Młody Mrożek to było okropne dziwadło – mówił o nim Stefan Kisielewski w dokumencie o Domu Literatów („Pani Lola"). – Chodził w jakichś czarnych kapeluszach z zasłoniętą twarzą, przebierał się dziwnie, obiad mu przynosili, pod drzwi podstawiali. No, oryginał wielki był".

Taki ten Mrożek swojski i bliski. Takiego fajnego Mrożka każdy chciałby mieć dla siebie. Oto mija kilka lat od śmierci dramatopisarza – i Mrożka próbuje zawłaszczyć prawica.

Antoni Winch, naczelny „Dialogu" z nadania pisowskiego, który źródeł wszelkiego zła upatruje w nowoczesności rozumianej jako lewactwo, opracował tom referatów o dramatopisarzu. To owoc konferencji zorganizowanej dwa lata temu przez Instytut Teatralny, którym kieruje – przypomnijmy – mianowana przez Piotra Glińskiego Elżbieta Wrotnowska-Gmyz, żona Cezarego Gmyza. Krzysztof Masłoń powołuje się na Mrożka w prawicowym „Do Rzeczy".

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

Niedouczenie bywa naprawdę zabawne.

To samo środowisko, które nie chce wybaczyć Szymborskiej żałobnego wiersza po śmierci Stalina, wybiera sobie na autorytet autora słów: „Ufamy Wielkiemu Stalinowi, ufamy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Dlaczego więc nie mielibyśmy być pewni przyszłości?" („Pozdrawiamy domy, kwiaty i towarzyszy", „Dziennik Polski", 30 listopada – 1 grudnia 1951).

Albo: „Dwa powyższe cytaty [fragment przysięgi z 1924 r. oraz fragment przemówienia wygłoszonego podczas XIX Zjazdu KPZR] pochodzą z pracy Towarzysza Stalina. Tylko dwa fragmenty z dzieła Jego życia, a zawierają taką wielkość i celność całej myśli, że można ją porównać tylko z globem ziemskim, na którym stawia się małe domki. Jego myśl jest takim globem, na którym my stawiamy nasze komentarze. On odkrył prawa, my mierzymy tymi prawami naszą najbliższą rzeczywistość" („Prosta droga", „DP", 27 marca 1953).

Przykłady łatwo mnożyć. Mrożek pisał tak przez dwa lata. W dniu urodzin Bolesława Bieruta apelował, by w prezencie od narodu zrealizować szybciej plan sześcioletni. Tęsknoty zwykłego, prostego człowieka uważał za tożsame z celami Partii. Wrogiem numer jeden była dla niego Ameryka, nie wahał się porównywać Trumana i Eisenhowera z Hitlerem.

Może – jak to on – żartował? Owszem, tak, czasami. Ale nie w tych tekstach. Wspólnie z Brunonem Miecugowem na łamach „DP" publikował w odcinkach powieść „Hallo, Joe!". To rzeczywiście malownicza satyra, lecz jej ostrze wymierzone jest w najpierwszego wroga komunizmu: senatora Josepha McCarthy'ego.

Autorzy szydzą z jego kariery, poczynając od czasów dyskusyjnego klubu studenckiego, kiedy to dla poklasku miał się wdawać w bójki z kapitanem drużyny baseballowej; poprzez II wojnę światową, podczas której udało mu się nie zobaczyć ani jednego Japończyka, ale i tak zostać bohaterem; aż po brawurowe wystąpienia oskarżycielskie w Waszyngtonie. Niepodparte, ich zdaniem, ani jednym faktem.

Dopiero w odwilżowym zbiorze opowiadań „Słoń" Mrożek zaczyna się naśmiewać ze „swoich" (jak wielu młodych pisarzy w tym czasie jest w Partii). Napisze o nim później: „Moja pierwsza poważna książka, a więc ta, której autorem byłem ja sam, a nie moja głupota".

W tytułowym opowiadaniu dyrektor prowincjonalnego ogrodu zoologicznego zrzeka się długo oczekiwanego przydziału na słonia, gdyż marzy mu się wielka kariera i postanawia się wykazać, wysyłając do centrali memoriał z planem uzyskania słonia sposobem gospodarczym.

Zwierzę ma być gumowe, choć do złudzenia przypominające prawdziwe. Dmuchanie atrapy idzie jednak powoli, a przygotowujący ją robotnicy nie mają specjalnej ochoty wyrabiać po nocy dodatkowych procent normy („Wszystko przez to, że nasz dyrektor jest lewak" – marudzą), więc postanawiają posłużyć się gazem.

W dniu oficjalnej premiery słoń odfruwa na oczach zdumionej wycieczki szkolnej, by skończyć swój krótki żywot na kaktusie w pobliskim ogrodzie botanicznym. Opowiadanie puentują słowa: „A uczniowie, którzy byli wtedy w ogrodzie zoologicznym, opuścili się w nauce i stali chuliganami. Podobno piją wódkę i tłuką szyby. W słonie nie wierzą w ogóle".

Już w 1957 r. krytyk Jerzy Kwiatkowski pisał w „Życiu Literackim", że „pasja, z jaką Mrożek ukazuje nonsensy stalinizmu, może być tylko pasją dawnego wyznawcy, wstrząśniętego i przeżartego rozczarowaniem, broniącego się już tylko drwiną". I miał rację.

Mrożek miał więcej szczęścia niż Szymborska. Nikt nie lustrował go aż tak uważnie, bo nie dostał Nobla. Chociaż – jak dziś wiemy – była na to szansa. Protokoły z obrad Akademii Szwedzkiej ujawniane są po 50 latach. Wynika z nich, że na przełomie lat 60. i 70. Mrożka wskazywano więcej niż raz.

Ale był to już przecież całkiem inny Mrożek – i to on się tak podoba Winchom i Masłoniom. Tego Mrożka da się przekabacić. Pokazać jako radykalnego konserwatystę. To ten Mrożek pisał w „Dzienniku" (kiedy nie spodobał mu się film „Pięści w kieszeni" Marca Bellocchia): „Oczywiście jest to zrzędzenie starca, który nie widzi, a raczej widzi w młodej awangardzie tylko upadek, zgniliznę itd. Niech będzie. Powinienem nawet starannie gdzieś ukryć te zapiski, zanim »tigery« je znajdą i ukarzą mnie za szkalowanie".

Tamten „starzec" miał trzydzieści parę lat. W tym wieku – już na emigracji – napisał też swój najsłynniejszy dramat. Rzecz opowiada o świecie, którego „już nie można nawet rozsadzić", bo „sam się rozłazi". „Tango" da się odczytać jako utwór o tęsknocie za dawnym porządkiem w świecie moralnego upadku – w to prawakom graj.

Choć niuansów jest tu przecież sporo. To prawda, że w Edku łatwo dopatrzyć się metafory władzy komunistycznej, której siła wynika z prostej brutalności, a nie przewagi intelektualnej. Ale obrywa się także przedstawicielom owego „starego ładu", którzy ograniczają się do głęboko skrywanej pogardy, ale pozostają ordynarnym chamom posłuszni (wuj Eugeniusz mówi o Edku: „Ulegam przemocy, ale w duszy będę nim gardził") itd. Powinien to wiedzieć każdy maturzysta.

Podobnie nie da się zaszufladkować innych tekstów Mrożka, które z pozoru wydają się konserwatywne. Tak to zresztą z największymi bywa: w szufladkach mieszczą się nadzwyczaj słabo. Co znowu zabawne, prawicowi publicyści szczególnie upodobali sobie nieco dziś zapomnianą sztukę Mrożka „Vatzlav", z której np. taki cytat brzmi wciąż aktualnie (można by go zadedykować chociażby pracownikom TVP):

„Jak się dobrze zastanowić, niewola nie jest taka zła. Siedzi się w cieple i choć trochę śmierdzi, oddychać można, aczkolwiek ze wstrętem. Ale czy ktoś kiedy umarł od wstrętu? Nie. Znane są natomiast wypadki, że zginęli ci, co mieli wstręt do wstrętu. I dobrze im tak, bo grzeszyli pychą, uważając się za coś lepszego od innych".

Tytułowy bohater zostaje wyrzucony na szczęśliwą wyspę. Pierwszą postacią, jaką spotyka, jest Nietoperz. Kapitalista, krwiopijca, wyzyskiwacz. Da on Vatzlavowi posadę niedźwiedzia. Wyspa jest imperialistyczna, tudzież dostatnio demokratyczna. Ale już za górką, przez którą przebiega granica, panuje nakaz kastrowania wielbłądów. Najpierw tam kastrują, potem patrzą, czy wielbłąd.

Pisownia imienia Vatzlav ma się zapewne kojarzyć z Czechosłowacją. Mrożek napisał ten dramat w 1968 r., wkrótce po tym, gdy zaprotestował przeciwko wkroczeniu na jej teren wojsk układu warszawskiego i wystąpił o azyl we Francji. Choć uważa się do dzisiaj, że „Tangiem" przewidział wydarzenia paryskiego Maja '68, „Vatzlav" jednak jako proroctwo się nie sprawdził.

W finale bohater rzuca się z powrotem w morze, uciekając przed Barbarem, który biednych popiera, a bogatych tępi. Przyszedł – podobnie do armii paktu – „wyzwalać" i ewidentnie symbolizuje komunizm.

Jan Błoński pisał o tej sztuce: „Jak Mrożek w Paryżu, tak Vatzlav wylądował na swej wyspie w momencie, kiedy narastał tam społeczno-intelektualny gniew: wybuchł on wreszcie wiosną 1968 roku anarchistycznym studenckim buntem, poronioną czy teatralną rewolucją, bardziej może obyczajową i estetyczną aniżeli polityczną... i dlatego chyba – tak upajającą! Ale – myślał zapewne Mrożek, który nie zapomniał o swoich młodzieńczych fascynacjach – tak przecież zaczynają się nowoczesne tyranie! Jak się zaś kończą, lepiej nie myśleć".

Zanim jednak spróbuje się Mrożka zawłaszczyć, pomyśleć mimo wszystko warto choć spróbować.

Mrożek wyjechał z Polski w 1963 r. razem z pierwszą żoną, malarką Marią Obrembą. Przed wyjazdem oddał legitymację partyjną. Na zebrania i tak już od dawna nie chodził.

Początkowo zamieszkał w Chiavari na Riwierze Włoskiej. Tam napisał „Tango", po którym jego kariera nabrała światowego rozmachu. W Paryżu mieszkał przeszło 20 lat. Jego pierwsza żona zmarła niespodziewanie, gdy przebywali akurat w Berlinie Zachodnim. Od czasu zdiagnozowania u niej raka do jej śmieci minęło zaledwie 18 dni. W kolejnych latach Mrożek mieszkał i pracował m.in. w USA, Niemczech i Meksyku, gdzie pojechał po poślubieniu Meksykanki Susany Osorio Rosas.

I to był niezły paradoks, bo podjęli tę decyzję akurat w chwili, gdy w Polsce działa się ustrojowa transformacja. Do kraju Mrożek wrócił dopiero w 1996 r., a głównym powodem był nie sam kraj, ale wzrost przestępczości w Meksyku. Zamieszkał ponownie w Krakowie, choć brał też pod uwagę Paryż.

W 2002 r. dostał udaru mózgu, którego wynikiem była afazja – utrata zdolności posługiwania się językiem w mowie i w piśmie. W ramach terapii napisał autobiografię „Baltazar". Potem zaczął publikować osobiste zapiski – tomy korespondencji i wreszcie skrywany wcześniej „Dziennik". Zaskoczył czytelników, którzy znali go jako kpiarza, odkrywając w nim depresyjną twarz neurotyka.

W 2008 r. wyjechał do Nicei, jak mówił, „z powodów emerytalnych". W rzadko udzielanych wywiadach nie ukrywał jednak, że rozczarował się też trochę nową polską rzeczywistością. Zmarł w wieku 83 lat.

Pięć lat temu, gdy Polacy oglądali serial „Ucho Prezesa", a Mrożek od pięciu lat już nie żył, ukazał się tomik jego opowiadań „Czekoladki dla Prezesa". Na książkę złożyły się wyłącznie publikowane już wcześniej teksty, ale wyglądały jak komentarze pisane na gorąco do rzeczywistości pod rządami PiS.

Było np. o misiewiczach. Oto w zakładzie zostaje zatrudniony nowy pracownik, który okazuje się siostrzeńcem Prezesa (bratanica byłaby jednak przesadnie dosłowna). Protegowany potrafi napisać: „Ala ma kota", a także: „Ola ma lisa". Sam ma natomiast trochę niskie czoło, ale „ostatecznie czoło to nie Pałac Kultury". Od razu zostaje kierownikiem wydziału.

Było i o metodach ministra Glińskiego. Prezes z ekipą ma problem, bo przysposobiony do bycia poetą praktykant nie pisze. Uznają, że ma za dobrze. Artysta musi cierpieć, by tworzył. Konieczny jest „knebel na mordę". Można też przydusić, wlać wodę do nosa, a do spodni napuścić mrówek. Udało się! Poeta w końcu pisze! A co? „Proszę się ode mnie odp...".

Było też o oszczędności. Zarządził ją oczywiście Prezes – czyżby po jakichś nagrodach, które „po prostu się należały"? Zespół w ramach szukania rezerw postanawia zwolnić gońca, a na jego miejsce zatrudnić inwalidę bez nogi. „Zgłosiło się dwóch, każdy po jednej nodze. Wybraliśmy tego, co miał krótszą. Jak oszczędność, to oszczędność". Ze swoimi sprawami każdy teraz biega sam, żeby kaleki nie męczyć.

Jak się Prezesowi przypodobać i jak się dla niego poświęcić – te wątki powracały. Na planowanej wystawie „Pan Prezes w pracy i walce" jednym z eksponatów miało być nawet 500 (słownie: pięćset, brakowało tylko „plus") złotych należące do jej bohatera.

A jeśli po lekturze tych tekstów ktoś wciąż nie jest przekonany, że jednoznacznie interpretować Mrożka się nie da, niech sobie poogląda jeszcze jego rysunki – wciąż zaskakująco świeże. Na jednym z nich mały ludzik pyta większego: „Tato, co jest największym zagrożeniem dla Polski?". Znad gazety pada odpowiedź: „Polacy". ●

> To samo środowisko, które nie chce wybaczyć Szymborskiej żałobnego wiersza po śmierci Stalina, wybiera sobie na autorytet autora słów: „Ufamy Wielkiemu Stalinowi, dlaczego więc nie mielibyśmy być pewni przyszłości?"

wyborcza | magazyn **wyborczej** WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 8aafe869ec

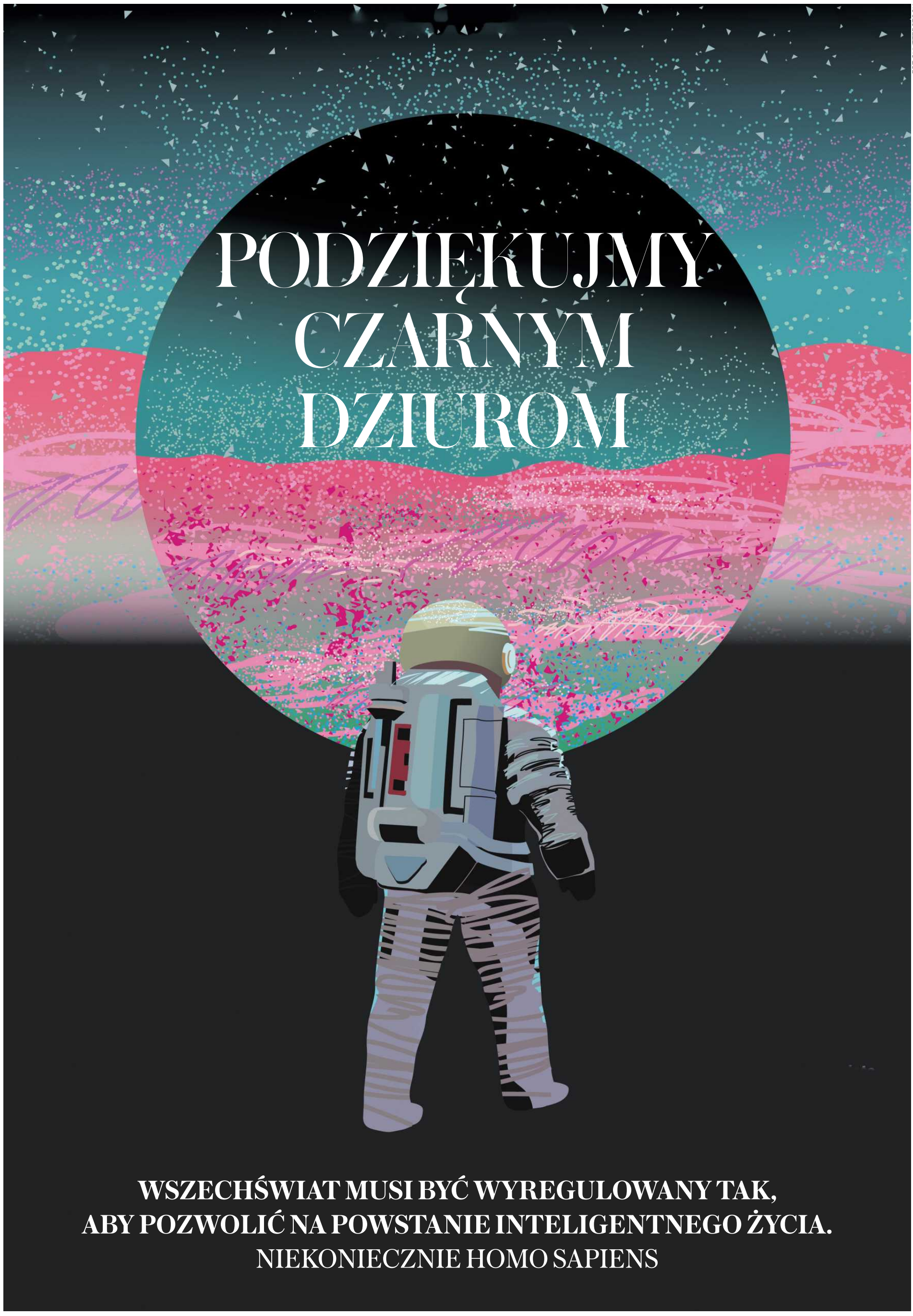

FOT. SHUTTERSTOCK

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

Marek Abramowicz*

Wydajność jądrowej syntezy helu z wodoru równa jest 0,007. Tyle dokładnie trzeba, aby życie było możliwe. Gdyby wynosiła 0,006, we wszechświecie istniałby wyłącznie wodór i nie powstałyby inne pierwiastki. Gdyby sięgnęła 0,008, nie byłoby dość wodoru, a więc także gwiazd takich jak Słońce.

To jeden z wielu przykładów na antropiczne wyregulowanie naszego wszechświata.

Pierwszy zwrócił uwagę na pewne aspekty wyregulowania Robert Dicke w roku 1957, ale najbardziej zdumiewające jego przejawy zaczęto dyskutować 30 lat później.

Gdyby hipoteza niemowlęcych wszechświatów Lee Smolina, przedstawiona w jego popularnej książce „The Life of the Cosmos" (Oxford, 1997, polskie tłumaczenie „Życie wszechświata", Amber, 1998) była prawdziwa, to istnienie całego naszego wszechświata brałoby początek w czarnej dziurze, a dokładniej – w pewnym sensie – czarnej dziurze niedoszłej, opisywanej prawami kwantowej grawitacji, których dziś jeszcze nie znamy. Wszechświat byłby przy tym niejako automatycznie antropicznie wyregulowany – dokładnie tak, jak trzeba, by mógł powstać gatunek *Homo sapiens*.

Według Smolina katastrofalne zapadanie się materii, czyli kolaps grawitacyjny, nie kończy się powstaniem czarnej dziury z centralną osobliwością, co sugeruje (ale nie dowodzi!) nagrodzone Noblem w roku 2020 twierdzenie Rogera Penrose'a oparte na standardowej (niekwantowej) ogólnej teorii względności teorii Einsteina. Smolin zakłada, że kolaps może skutkować odbiciem zmieniającym zapadanie w ekspansję czasoprzestrzeni i powstaniem nowego wszechświata.

Byłby to fenomen kwantowo-grawitacyjny nieznany w teorii grawitacji Einsteina: odbicie postulowane przez Smolina jest początkiem nowego wszechświata, jego wielkim wybuchem. Ten nowy niemowlęcy wszechświat dziedziczy według Smolina swoiste cechy wszechświata macierzystego, to znaczy także jego stałe fizyki. W nowym wszechświecie powstają, podobnie jak powstawały we wszechświecie macierzystym, galaktyki i gwiazdy. Niektóre z gwiazd zapadają się w czarne dziury, zapadania przekształcają się w hipotetyczne kwantowo-grawitacyjne odbicia, a te dają początek nowym niemowlęcym wszechświatom.

Ewolucja i namnażanie się wszechświatów trwa bez początku i końca. Dziedziczenie cech nie jest całkiem dokładne, kwantowe fluktuacje powodują bowiem mutacje, co wywołuje naturalną selekcję – preferowane namnażanie się takich wszechświatów, w których jest wiele gwiazd i czarnych dziur. Podobnie jak w przypadku darwinowskiej ewolucji mutacje sprzyjają selekcji. Wszechświaty z niewłaściwym zestawem stałych fizyki (te zestawy można uznać za odpowiedniki genów) nie mogą statystycznie przetrwać. Pozostają w ewolucyjnej grze tylko takie, które mają stałe fizyki w pewien bardzo szczególny sposób wyregulowane.

Smolin zakłada, że to wyregulowanie prowadzi do wyregulowania antropicznego, dokładnie tego typu, jakie rzeczywiście obserwujemy w naszym wszechświecie. Fenomen tego antropicznego wyregulowania polega na tym, że najdokładniej mierzone własności wszechświata, w tym wartości liczbowe stałych fizyki, wydają się nakierowane na człowieka (anthropos = człowiek), gdyż od samego początku, czyli od momentu Wielkiego Wybuchu, zdają się one sprzyjać naszemu przyszłemu istnieniu oraz być do niego – niejako z góry! – zdumiewająco ściśle dopasowane.

●

Oto jak się antropiczne wyregulowanie manifestuje. Ewolucja materii – rozpoczęta w naszym wszechświecie w Wielkim Wybuchu – najpierw ewolucja kosmiczna, potem galaktyczna, gwiazdowa, chemiczna, planetarna, a wreszcie darwinowska – doprowadziła krok po kroku do powstania gatunku *Homo sapiens*. Ewolucja wszechświata, jak również wszystkich jego składników (galaktyk, gwiazd etc.), określona jest, po pierwsze, przez warunki początkowe, czyli stan wszechświata w chwili Wielkiego Wybuchu, po drugie, przez prawa fizyki opisujące w każdej poszczególnej chwili zmianę aktualnego stanu wszechświata (i jego poszczególnych składników) do stanu w chwili następnej, oraz po trzecie – przez wartości liczbowe stałych fizyki regulujące prędkość i intensywność zachodzących zmian.

Najczęściej wspominane stałe fizyki to prędkości światła, stała grawitacji i stała Plancka, ale do pełnego opisu wszystkich zachodzących we wszechświecie zjawisk (także lokalnych, niejako materiałowych) potrzeba współczesnej fizyce ponad 20 stałych. Ich wartości są zapewne zdeterminowane przez nieznane nam warunki początkowe w Wielkim Wybuchu. Na pewno jednak nie wynikają z praw dziś znanej fizyki – zarówno ogólna teoria względności Einsteina, jak i mechanika kwantowa dopuszczają bowiem, iż stałe mogą mieć inne wartości niż te, które mierzymy.

W nauce często stosowane są metody perturbacyjne polegające na badaniu konsekwencji drobnych odchyleń od znanych sytuacji. Możemy więc wiarygodnie w ramach dzisiejszej standardowej fizyki, bez konieczności dodawania egzotycznych hipotez, rozważać alternatywne wszechświaty, w których wartości stałych są nieco inne niż w znanej sytuacji naszego wszechświata.

Wyniki tych rozważań dowodzą, że drobne (rzędu 1 proc.) odchylenia wartości stałych od tych, które mierzymy w naszym wszechświecie, uniemożliwiłyby zajście przynajmniej niektórych z ewolucyjnych kroków niezbędnych do powstania gatunku *Homo sapiens*. Na przykład w niektórych takich alternatywnych wszechświatach nie mogłyby się zsyntetyzować w reakcjach jądrowych węgiel i tlen, niezbędne w biochemii naszych ludzkich organizmów, albo nie mogłyby powstać dostatecznie długowieczne gwiazdy podtrzymujące przez miliardy lat biologiczną ewolucję na krążących wokół nich planetach. Na Ziemi potrzeba było ponad 4 miliardów lat, aby prymitywne zaczątki życia przekształciły się w gatunek *Homo sapiens* w wyniku ewolucji genetycznej.

Nasz wszechświat dysponuje więc – z powodów, których fizyka nie potrafi dziś wyjaśnić – antropicznym zestawem fundamentalnych stałych fizyki i akurat dokładnie te wartości gwarantują możliwość spełnienia wszystkich, bardzo restrykcyjnych wymagań i warunków na skomplikowanej, wieloetapowej, drodze ewolucyjnej od Wielkiego Wybuchu do człowieka. Natomiast w alternatywnych wszechświatach, ze stałymi fizyki nieznacznie różnymi niż nasze, nie mogą powstać organizmy podobne do ludzkich. Nasz wszechświat jest antropicznie wyregulowany i nie da się temu zaprzeczyć na gruncie współczesnej nauki – jest ono po prostu sprawozdaniem z wyników pomiarów oraz konsekwencją obecnego stanu wiedzy.

●

Dlaczego stałe fizyki mają wartości aż tak zdumiewająco precyzyjnie wyregulowane antropicznie? Tego nikt nie wie. Nikt nie potrafi wyjaśnić przyczyn wyregulowania, ale wielu się nad nimi poważnie zastanawia. Choćby Martin Rees, kosmolog z Cambridge, w książce „Just Six Numbers: The Deep Forces That Shape The Universe" („Tylko sześć liczb. Siły, które kształtują wszechświat").

Rees podaje sześć znamiennych przykładów globalnego antropicznego wyregulowania całego wszechświata:

1. Gdyby wartość stosunku siły elektrostatycznej do grawitacyjnej była nieco mniejsza, niż jest w naszym wszechświecie, to gwiazdy istniałyby o wiele krócej niż kilka miliardów lat, a więc za krótko, by życie mogło się rozwinąć na krążących wokół nich planetach. Gdyby zaś była większa, we wnętrzach gwiazd nie mógłby powstać węgiel niezbędny dla ziemskiego życia.

2. Wydajność jądrowej syntezy helu z wodoru równa jest 0,007. Tyle dokładnie trzeba, aby życie było możliwe. Gdyby wynosiła 0,006, we wszechświecie istniałby wyłącznie wodór i nie powstałyby inne pierwiastki. Gdyby sięgnęła 0,008, we wszechświecie nie byłoby dość wodoru, a więc także gwiazd takich jak Słońce.

3. Gdyby względna wielkość grawitacji materii w stosunku do szybkości ekspansji wszechświata była trochę większa, niż jest, wszechświat zapadłby się, zanim powstałyby gwiazdy i galaktyki. Gdyby była trochę mniejsza, nie utworzyłyby się gwiazdy.

4. Gdyby ciemnej energii było więcej, niż jest, nie mogłyby utworzyć się gwiazdy i galaktyki.

5. Gdyby stosunek grawitacyjnej energii wiązania galaktyki do jej masy był mniejszy, nie mogłyby się w galaktykach tworzyć gwiazdy. Gdyby był większy, galaktyki byłyby bardzo niestabilne i nie mogłyby istnieć.

6. Liczba wymiarów przestrzeni równa jest 3. Gdyby była równa 2, nie byłyby możliwe organizmy z przewodami pokarmowymi (co zabawnie zilustrował Stephen Hawking w swej „Krótkiej historii czasu"). Gdyby wynosiła 4, to siła grawitacji malałaby jak sześcian odległości i orbity planetarne byłyby niestabilne.

Podkreślmy, że nie chodzi o rozważanie alternatywnych wszechświatów drastycznie różnych od naszego, ale o wszechświaty prawie takie same, z nieznacznie różnymi stałymi fizyki. Nikt bowiem nie wie, jak mogłyby wyglądać wszechświaty zupełnie różne od naszego. Ich rozważanie jest uprawianiem science fiction. Natomiast możemy bardzo sensownie dyskutować, opierając się na fizyce, którą znamy, wszechświaty prawie takie same jak nasz.

Na łamach „Nature" w artykule „A Darwinian Universe?" hipotezę Smolina bardzo chwali George Ellis, światowy autorytet w dziedzinie matematycznych podstaw ogólnej teorii względności Einsteina, „jako intrygującą próbę kosmologicznej syntezy trzech głównych odkryć współczesnej nauki: Wielkiego Wybuchu, kwantowej natury fizyki fundamentalnej oraz Darwinowskiej teorii ewolucji poprzez dobór naturalny. Argumenty Smolina urzekają zręcznością i wyrafinowaniem".

Ellis zauważa jednak, że Smolin nie wyjaśnia sprawy najważniejszej: dlaczego wyregulowanie w sensie „jak najwięcej czarnych dziur" jest jednocześnie wyregulowaniem w sensie antropicznym. Czy mimo tego zasadniczego braku można uznać hipotezę Smolina za wiarygodną? Tego nikt nie wie.

●

Hipoteza Smolina, z której wynika, że my, ludzie, istniejemy dzięki czarnym dziurom, nie jest jedyną wartą wspomnienia próbą wyjaśnienia fenomenu antropicznego wyregulowania. Omawiając rozmowy z wykładowcami i uczestnikami ważnej konferencji „The Anthropic Principle" (Wenecja 1988), Ellis i ja wyodrębniliśmy w naszym rok późniejszym artykule w „Nature", „The Elusive Anthropic Principle" („Nieuchwytna zasada antropiczna"), trzy główne opinie na temat możliwych przyczyn wyregulowania.

(A) Słaba zasada antropiczna, sformułowana przez Brandona Cartera, bierze się w gruncie rzeczy z refleksji, że gdyby wszechświat nie byłby antropicznie wyregulowany, to nie byłoby nas, ludzi, i nie moglibyśmy się zastanawiać ani nad wyregulowaniem, ani nad czymkolwiek innym. Wyregulowanie jest zatem efektem selekcji spowodowanej naszym ludzkim punktem widzenia.

(B) Silna zasada antropiczna, spopularyzowana w książce Johna Barrowa i Franka Tiplera „The Anthropic Cosmological Principle" (Oxford 1986) twierdzi, że wyregulowanie jest konieczne. Wszechświat musi być wyregulowany tak, aby pozwolić na powstanie inteligentnego życia, niekoniecznie *Homo sapiens*. Ta konieczność wynika albo z metafizyki, bowiem Bóg celowo stworzył taki właśnie wszechświat, albo z nieodkrytych jeszcze praw fizyki, na przykład z hipotezy wieloświata.

(C) Przypadek. Wyregulowanie jest złudzeniem. Wszechświat jest taki, jaki jest przypadkiem, bez żadnej przyczyny.

Do tych trzech opinii dodajmy jeszcze jedną, negującą pożytek rozważania antropicznego wyregulowania, co wyjaśnia w artykule w „Uranii" 5/2023 Jean-Pierre Lasota z Sorbonne Université:

„Nie mamy narzędzi, które pozwoliłyby nam zdecydować, czy wszechświat jest precyzyjnie dostrojony do życia. Nie wiemy, wbrew pozorom, co do czego ma być dostrojone. Po pierwsze, nie istnieje teoria fizyczna, która by w pełni opisywała wszystkie oddziaływania fizyczne, a o pochodzeniu życia mamy tylko bardzo mgliste pojęcie. Zwolennicy teorii strun twierdzą, że istnienia wieloświata dowodzi przeogromna ilość (10^{500}) możliwych stanów próżniowych wszechświatów. Ale, jak to zauważyli Malcolm Perry i Anna Żytkow z Cambridge, może się okazać, że tylko jeden z nich jest fizycznie możliwy, z jednym tylko zestawem obliczalnych z teorii stałych fizycznych. Poza tym, struny, które w teoriach superstrun są podstawowymi obiektami kwantowymi, »mieszkają« w czasoprzestrzeni będącej rozwiązaniem klasycznych równań Einsteina, więc teorie te nie są kwantowymi teoriami grawitacji. Ostateczna »teoria wszystkiego« może nie mieć nic wspólnego ze strunami.

Po drugie, nie wiemy, skąd się wzięło życie, czyli informacja cyfrowa zapisana w DNA. Informacja zawarta jest w uniwersalnym kodzie genetycznym, w postaci sekwencji nukleotydów kwasu nukleinowego (DNA lub RNA), obecnej w komórkach wszystkich organizmów. Jak powstał ten kod? Nie wiadomo. Jest przynajmniej 25 teorii pochodzenia życia. Matt Ridley pisze w książce »Genome«: »na początku było słowo«, mając na myśli trzyliterowe słowa ko-

> Możemy w ramach standardowej fizyki, bez konieczności egzotycznych hipotez, rozważać alternatywne wszechświaty

eprasa.pl 8aafe869ec

du genetycznego (zwane kodonami). Prawdopodobieństwo, że kod ten powstał przypadkowo na drodze ewolucyjnej jest znikomo małe. I tu wieloświat by pomógł, ale tylko pozornie, bo posługując się nim, można udowodnić wszystko. To znaczy nic".

A więc – dopóki nie będziemy pewni, czym jest wszechświat i jak powstało życie, dopóty powinniśmy powstrzymać się od pytania, czy pierwszy jest dostrojony do drugiego. Tako rzecze Lasota.

●

Metafizyczne intuicje silnej zasady antropicznej, wynikające z wiary, że antropicznie wyregulowany wszechświat został celowo przez Boga stworzony, opiszę krótko słowami Leszka Kołakowskiego („Czy już w po-chrześcijańskim świecie żyjemy", Znak 2011), albowiem choć filozof pisał ogólnie o porządku praw natury, a nie konkretnie o antropicznym wyregulowaniu, to do antropicznego wyregulowania myśl jego się także odnosi:

„Są nieodparte intuicje, które nakładają na świat pieczęć religii. Po pierwsze, poczucie, że cały nasz empirycznie dostępny kosmos jest przejawem innej rzeczywistości, wprost empirycznie niedostępnej, ale że nie są zasadniczo niemożliwe próby odczytania tej drugiej rzeczywistości przez jej ulotne znaki w świecie; po wtóre, że rzeczywistość empiryczna jest pod nadzorem celowo działającej energii, która zmierza ku dobru. Te intuicje nie są, oczywiście, dowodliwe w sensie naukowym, ale nie są też sprzeczne z tym, co z racjonalnego dociekania wynika".

Zgadzam się z wielkim filozofem, że religijne intuicje są nieodparte i niedowodliwe – oraz że nie są sprzeczne z tym, co z racjonalnego dociekania wynika. Próbujące wyjaśnić wyregulowanie różne hipotezy wieloświata, które obywają się bez Boga, a nawet nie zakładają żadnych transcendentalnych aspektów rzeczywistości, nie są sprzeczne z racjonalnym myśleniem i są niedowodliwe – podobnie jak intuicje religijne. Ale nie są nieodparte.

W książce „Między Bogiem a prawdą" dyskutuję dwie ich szczególne opcje. Pierwsza opcja to hipoteza Smolina, drugą nazwę wieloświatem typu Sciamy. Ta opcja wynika z filozoficznego postulatu – który ja zdecydowanie odrzucam – iż wszystko, co jest logicznie niesprzeczne, jest możliwe, a nawet musi koniecznie istnieć. Rzeczywistość wieloświata Dennisa Sciamy jest zbiorem wszystkich logicznie możliwych wszechświatów. Tak więc koniecznie musi istnieć w tym wieloświecie szczególny wszechświat z antropicznym zestawem stałych fizyki. W nim właśnie istnieją anthroposi tacy jak *Homo sapiens*, którzy obserwują wyregulowanie.

To zaledwie szkic ogólnej koncepcji filozoficznej, ale ma ona szczegółowe wersje oparte na hipotezach fizycznych – formułowanych, na przykład, w teorii strun. W chwili obecnej żadna z tych szczegółowych fizycznych hipotez nie ma oparcia w obserwacjach i nikt nie podał sposobu, jak by je można obserwacyjnie odrzucić. Słynne kryterium falsyfikowalności Karla Poppera odmawia im z tego powodu statusu hipotezy naukowej. Wielu fizyków uważa jednak, iż matematyczne wyrafinowanie, głębia i piękno tych teorii, zwłaszcza teorii strun, wystarcza aż nadto, by je traktować poważnie.

●

Czarne dziury są moim głównym tematem badawczym. Obecnie zajmuję się pierwotnymi czarnymi dziurami. Zdaniem Stephena Hawkinga pierwotne czarne dziury, które powstały wkrótce po Wielkim Wybuchu, stanowią część składową ciemnej materii w naszej Galaktyce. Andrzej Udalski, Maciej Wielgus, Michał Bejger i ja, badając obserwacyjne konsekwencje zderzeń hipotetycznych pierwotnych czarnych dziur z gwiazdami neutronowymi, udowodniliśmy (co opisujemy w artykule „A Robust Test of the Existence of Primordial Black Holes in Galactic Dark Matter Halos" opublikowanym w zeszłym roku w „The Astrophysical Journal Letters"), że jeśli Hawking miał rację co do składu ciemniej materii w Galaktyce, to pierwotne czarne dziury tam zlokalizowane muszą się koniecznie zderzać z galaktycznymi gwiazdami neutronowymi, koniecznie tworząc lekkie czarne dziury o masach trochę mniejszych niż około 1,4 masy Słońca. Wyliczyliśmy, że takich lekkich czarnych dziur musi być w Galaktyce mnóstwo (podaliśmy dolną granicę tej liczby). Pokazaliśmy, analizując istniejące bazy danych, że obecność lekkich czarnych dziur można wykryć zarówno metodą mikrosoczewkowania, jak i detekcją fal grawitacyjnych powstających podczas koniecznych zderzeń lekkich czarnych dziur ze zwykłymi czarnymi dziurami o masach około 10 mas Słońca i większych, gwiazdami neutronowymi i ze sobą nawzajem.

Słynne interferometry LIGO, Virgo i Kagra są w stanie rejestrować ćwierki fal grawitacyjnych pochodzące od takich zderzeń – wiemy, bo przedyskutowaliśmy charakterystyczne sygnatury tych ćwierków. Jeśli w ciągu najbliższych kilku lat lekkie czarne dziury nie zostaną wykryte w wyliczonych przez nas (lub większych) ilościach, będzie to niepodważalny obserwacyjny dowód, że w ciemnej materii w naszej Galaktyce nie ma hipotetycznych pierwotnych czarnych dziur Hawkinga. (Notabene, prócz oczywistego znaczenia tego dowodu dla astrofizyki, byłby to przykład dowodu na nieistnienie – przykład niejedyny zresztą: wbrew bowiem opinii powszechnej, ale zupełnie fałszywej, fizyka dość często dowodzi nieistnienia czegoś).

●

George Ellis, Jean-Pierre Lasota i Martin Rees znacząco pomogli mi w pisaniu tego artykułu, wymieniając ze mną wiele maili; cytuję tu ich wypowiedzi z tej korespondencji.

Ellis uważa dziś, że do jego opinii sprzed lat o hipotezie Smolina nie trzeba dodawać niczego nowego. Jak ujął to w naszej korespondencji prowadzonej przy okazji pisania tego artykułu: „Sytuacja pozostaje bez zmian. Trzeba wiedzieć, jak określić zasadę wybierającą te zakresy stałych fizyki, które dają największe tempo produkcji czarnych dziur – lecz nie wiem, jak by można to zrobić. Potrzebny jest także przepis na wartości stałych w nowym wszechświecie, co wydaje się trudne do uzyskania. Ale, co najważniejsze, potrzebny jest solidny argument, że tak dobrane nowe parametry będą sprzyjać życiu. Myślę, że nie mamy takiego argumentu. Nadal więc uważam, że to świetny pomysł, ale brakuje mu istotnych szczegółów".

Natomiast Martin Rees zaczął naszą wymianę myśli od krótkiego wyjaśnia sytuacji w naszym wszechświecie: „Nie przychodzi mi do głowy żaden bezpośredni powód, dla którego czarne dziury miałyby być niezbędne do życia. Co najwyżej można twierdzić, że jeśli pierwiastki z tablicy okresowej Mendelejewa są niezbędne do życia, a cała populacja gwiazd jest potrzebna do ich nukleosyntezy, to czarne dziury pojawiają się w tej historii dlatego, że przecież niektóre gwiazdy w końcu zawsze muszą utworzyć czarne dziury".

Wówczas George poprosił Martina o sprecyzowanie jego myśli: „Skoro więc układ okresowy pierwiastków jest rzeczywiście potrzebny do powstania życia, a o ile wiemy, kluczowe pierwiastki (węgiel, wodór, tlen, fosfor, azot, siarka) muszą być obecne, aby życie powstało, to chyba wolno twierdzić, że istnienie życia implikuje istnienie czarnych dziur? Bardzo się mi takie przedstawienie sprawy podoba! U Smolina jest zupełnie inaczej – zapadanie się materii do czarnej dziury prowadzi do powstania nowego wszechświata z zestawem stałych fizyki, który może być korzystny zarówno dla namnażania się większej ilości czarnych dziur, jak i dla powstania życia".

Odpowiedź sir Martina: „Nigdy nie sądziłem, że hipoteza Smolina to coś więcej niż science fiction. Ale jeśli poważnie traktujesz ideę, iż jakiś tajemniczy proces w czarnej dziurze wywołuje Wielki Wybuch, rządzący się podobnymi prawami co nasz Wielki Wybuch, oznacza to przynajmniej, że te wybuchy, które pozwalają na życie z krwi i kości, mogą być uprzywilejowane!".

Na co George: „Rzeczywiście, to przemawia na korzyść hipotezy Smolina [przynajmniej w sensie metodologii]. Ta hipoteza jest bowiem o wiele mniej fantastyką naukową niż wiele innych pomysłów krążących dzisiaj po świecie jako fizyka teoretyczna: AdS/CFT, zasada holograficzna, przenikalne tunele czasoprzestrzenne, ER=EPR, zapory ogniowe, trzęsawiska teorii strun, wieloświaty Everetta w teorii kwantów (innego typu wieloświaty niż te, o których mówiliśmy w kontekście antropicznego wyregulowania), superdeterminizm i podobne koncepty".

Odpowiada mi ironiczny sceptycyzm Ellisa dotyczący nowego stylu uprawiania fizyki teoretycznej. Oto przykład tego stylu: bardzo dobrzy fizycy Ahmed Almheiri, Donald Marolf, Joseph Polchinski i James Sully zasugerowali w roku 2012 istnienie zapór ogniowych (firewalls) na horyzoncie czarnych dziur, które ich zdaniem miały usunąć problem „paradoksu informacyjnego".

Prawie wszyscy przyjęli firewalls za dobrą monetę, ale Jean-Pierre Lasota, Włodzimierz Kluźniak i ja podjęliśmy trud znalezienia rozwiązania równań pola Einsteina kompatybilnych z rozkładem materii w zaporze ogniowej. To naprawdę bardzo trudne równania – różniczkowe cząstkowe, nieliniowe, z nietrywialnymi warunkami brzegowymi. Odkryliśmy, że z zupełnie innego powodu i w zupełnie innym kontekście Jörg Frauendiener z kolegami już w roku 1990 znaleźli rozwiązanie, które można zaadaptować do naszego celu. Z naszego tekstu „Mass of a Black Hole Firewall" w „Physical Review Letters" wynika, że masa zapory ogniowej musi być wielokrotnie (wiele rzędów wielkości) większa niż masa czarnej dziury, którą zapora otacza. Czyli – jeśli ogólna teoria względności Einsteina jest poprawna, to zapór ogniowych po prostu nie ma! Koniec, kropka.

Ale gdy po opublikowaniu naszej pracy w „Physical Review Letters" rozmawiałem o tym z pewnym naprawdę bardzo dobrym fizykiem, powiedział, ku memu nieopisanemu zdumieniu: „Rozwiązywanie równań pola Einsteina? Nikt się tym dziś nie przejmuje". Duch czasu się chyba bardzo zmienił. Kiedyś Richard Feynman i inni fizycy, tworzący naprawdę wielką fizykę – nową, rewolucyjną – mawiali do zbyt śmiało fantazjujących kolegów: „Shut up and calculate". Dziś zaczyna być dokładnie odwrotnie: fizycy, którzy zawsze używają argumentów wyłącznie opartych na rozwiązaniach równań, słyszą coraz częściej od idących z duchem czasu: „Shut up and speculate!".

Zupełnie nie wierzę, aby droga do nowej, rewolucyjnej fizyki wiodła przez fantazjowanie o zaporach ogniowych, ER=EPR oraz podobnych problemach. Całkiem natomiast wierzę, że o wiele większy pożytek mogą, choć rzecz jasna nie muszą, przynieść próby rzetelnego rozumienia fenomenu antropicznego wyregulowania wszechświata – bez przyjmowania preasumpcji wynikających z ideologicznych przekonań. Czy fakt naszego istnienia implikuje coś naprawdę fundamentalnie ważnego dla fizyki?

Tego nikt nie wie. ●

• **MARTIN JOHN REES** (Cambridge University) jest jednym z najwybitniejszych żyjących kosmologów. Dokonał wielu przełomowych odkryć, np. wspólnie z Dennisem Sciamą pokazał, że w przeszłości było więcej kwazarów, niż jest obecnie, co obaliło teorię Stanu Stacjonarnego i przyczyniło się do zaakceptowania teorii Wielkiego Wybuchu. Wyjaśnił przyczynę obserwowanych ponadświetlnych prędkości dżetów strzelających z kwazarów. Przyczynił się do wyjaśnienia fundamentalnych problemów dotyczących formowania galaktyk. Opracował z Rogerem Blandfordem i Mitchem Begelmanem, swymi doktorantami w Cambridge, oryginalne modele dysków akrecyjnych wokół czarnych dziur. Wiele lat piastował najbardziej prestiżowe stanowiska w Anglii: prezesa Royal Society, Astronoma Królewskiego, Master Trinity College. Królowa nadała mu tytuł Barona Rees of Ludlow. Dożywotnio zasiada w Izbie Lordów. Zapewne dostanie Nobla.

• **GEORGE F.R. ELLIS** (Cape Town University) jest światowym autorytetem w dziedzinie matematycznych podstaw ogólnej teorii względności Einsteina. Współtworzył zmianę metodologicznego paradygmatu teorii: od einsteinowskiego, opartego głównie na geometrii różniczkowej Riemanna opisywanej przez XIX-w. analizę i równania różniczkowe cząstkowe, po metody współczesne, wykorzystujące podejście algebraiczne i topologiczne. Udowodnił sam i ze współpracownikami kilka podstawowych twierdzeń teorii i napisał, wspólnie ze Stephenem Hawkingiem, podstawową monografię „The Large Scale Structure of Space Time".

• **JEAN-PIERRE LASOTA** (Sorbonne Université) jest jednym z najbardziej wpływowych światowych astrofizyków. Urodził się w Marsylii, wykształcił w Polsce. Najważniejsze prace napisał jako profesor kierujący zespołami badawczymi w Obserwatorium Paryskim oraz Instytucie Astrofizyki w Paryżu. Pracował i wykładał w kilku czołowych uczelniach amerykańskich, europejskich i chińskich. W Polsce przez lata pracował jako profesor na UJ oraz w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie. Jest autorem znanych w świecie i powszechnie używanych monografii oraz znakomitych książek popularyzujących fizykę (we Francji i w Polsce bestsellerów). Od lat się przyjaźnimy i współpracujemy, opublikowaliśmy wspólnie kilka prac o fizyce dysków akrecyjnych i czarnych dziur, które zebrały tysiące cytowań.

• Roger Penrose, George Ellis, Martin Rees, Brandon Carter, John Barrow, wymienieni wyżej – i ja także – należeliśmy wszyscy do kręgu Dennisa Sciamy, jednego z najbardziej charyzmatycznych fizyków XX wieku. Ellis, Rees, Carter i Barrow (a także Hawking) byli doktorantami Sciamy. Ja też należałem do tego kręgu, pracując wiele lat w zespole Sciamy, najpierw w Austin, potem w Oksfordzie i w Trieście. Sciama, dodajmy, był agnostykiem skłaniającym się ku twardemu ateizmowi. Żywo interesował się metafizycznymi aspektami fizyki; w jego kręgu często rozmawialiśmy o antropicznym wyregulowaniu oraz innych filozoficznych problemach, na przykład realności wolnej woli i świadomości.

Za pomoc w pisaniu tego artykułu do „Wolnej Soboty" dziękuję George'owi Ellisowi, Jeanowi-Pierre'owi Lasocie i Martinowi Reesowi.

* **Prof. Marek Abramowicz** – Wydział Fizyki Uniwersytetu w Göteborgu; Centrum Astronomiczne im. M. Kopernika PAN w Warszawie, Uniwersytet Śląski w Opawie.

Właśnie nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się książka prof. Marka Abramowicza **„Między Bogiem a prawdą. Metafizyczne przygody roztargnionego profesora"**, której cały rozdział jest poświęcony problemowi antropicznego wyregulowania. Książka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

• **Żołnierze amerykańscy z odzyskanymi obrazami, drobną cząstką dzieł sztuki zrabowanych przez III Rzeszę w okupowanej Europie. Miasto Füssen w Bawarii, 22 maja 1945 r.** FOT. AP

Adam Michnik poleca: „Muzeum. Historia światowa" Krzysztofa Pomiana

ŁOWCY NIEŚMIERTELNOŚCI

Bardzo lubiłem filmy o przygodach Indiany Jonesa. Ale ów dzielny archeolog jest w dużej mierze zwykłym rabusiem .

Marek Beylin

Są muzea władzy, jej pychy i ideologicznych uroszczeń. W Polsce dobrze o tym wiemy, by wspomnieć choćby wrogie przejęcie przez PiS Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, według rządzących niedostatecznie podkreślającego wyjątkowość polskich cierpień, czy placówki mające przeczyć udokumentowanym faktom polskiego współudziału w Zagładzie.

Są muzea radykalnie odmienne, które za pomocą sztuki, zwłaszcza współczesnej, i jej rozmaitych opowieści o świecie czy pytań stawianych nam oraz światu, chcą uwrażliwiać publiczność na bolączki rzeczywistości, krytycznie rozbierają zastane tradycje przemocowe czy wykluczające, pracują nad budowaniem przyjaźniejszych ludziom, w tym poniżanym mniejszościom, ciągów historii wiodących od przeszłości do teraźniejszości.

Takie muzea są ważnymi demokratycznymi instytucjami w świecie rozbuchanych tendencji nacjonalistyczno-autokratycznych. Często ich działalność wychodzi poza tradycyjne ramy, łącząc się z obywatelskimi aktywizmami, czemu możemy się przyjrzeć choćby w Warszawie.

Są też, najbardziej popularne, muzea-ikony, zazwyczaj poświęcone sztuce dawnej. Ściągają wielomilionową publiczność, stanowiąc fundamentalną część turystyki aspiracyjnej. Przyjęło się bowiem, że odwiedzając inne kraje, wypada pójść do miejscowego sławnego muzeum. I po to, by zaspokoić bezinteresowną ciekawość. I dlatego, że pośród szybkich zmian, pękających tradycji i tożsamości w kryzysie, kontakt ze sztuką uporządkowaną w muzeum może nieco ukoić ból niepewności. Przydać, na trochę, więc raczej iluzorycznie, poczucia osadzenia w jakimś trwałym i swojskim świecie.

Walimy też do takich muzeów, nie bacząc na dziki tłok, kolejki do wejścia, konieczność rezerwacji biletów długo przed przyjazdem i słone ceny, z bardziej przyziemnych snobistycznych motywów. Jednak zdanie „byliśmy w Prado" brzmi lepiej niż „jedliśmy w McDonaldzie". Co skądinąd pokazuje, że kultura, włączając w to muzea, odgrywa dziś poczesną rolę w zaspokajaniu i rozbudzaniu aspiracji.

Wszystkie te funkcje muzeów wyrastają z przeszłości, nierzadko bardzo odległej. Na początku była władza pożądająca bogactw i tworząca obraz własnej wyjątkowości. Jednocząca sacrum z łupiestwem. Takie funkcje bowiem pełniły skarbce władców pochodzące z danin, wojennych rabunków i wewnętrznych konfiskat. A z nich wyrosły w kolejnych epokach najpierw prywatne świeckie kolekcje, a potem muzea, znane nam i z turystyki kulturalnej, i z głośnych sporów politycznych oraz ideologicznych.

Długa i fascynująca była droga ludzkości od dawnych skarbców do muzeów; pierwsze, właściwie protomuzeum po-

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

wstało w XV w. w Rzymie. Długo też trwało, zanim pośród gorących polemik same muzea wytworzyły swoje liczne współczesne funkcje edukacyjne i polityczne.

POLITYCZNO-SPOŁECZNY THRILLER

O tych długich i krętych drogach prowadzących do naszych współczesnych muzeów opowiada Krzysztof Pomian w trzytomowym dziele „Muzeum. Historia światowa". Ukazało się ono we Francji i otrzymamy je w Polsce. Niedawno ukazał się tom pierwszy, jesienią będzie drugi, a trzeci wiosną przyszłego roku.

Dzieło to imponujące, powiedziałbym: totalne, bo w opowieści Pomiana, obejmującej kilka tysięcy lat i rozmaite cywilizacje, epoki przeglądają się na rozmaite sposoby. Czytamy o zmianach rozumienia przeszłości i czasu, o ewolucjach władzy, religii, struktur społecznych i gospodarczych, o prawach i obyczajach. „Muzeum..." wyprawia się więc w obszar nie tylko wąsko rozumianej kultury, lecz również historii państw i społeczeństw, filozofii, dziejów mentalności, kształtowania się nauki, w tym przyrodoznawstwa.

Mamy do czynienia z pracą pionierską i założycielską, która wyznaczyła, najpewniej na długo, ramy tego nurtu światowej humanistyki. Czytając te tomy, łatwo popaść w zachwyt nad wiedzą autora bądź, w zależności od temperamentu, nabawić się zawistnych kompleksów. Bo bije z nich polierudycja, tyleż twarda, co podawana nam przyjaźnie. Bije też pasja polityczno-społeczna Pomiana, który zawsze angażował się w otaczającą rzeczywistość.

W młodości był komunistą, od lat 50. otwarcie krytykował system komunistyczny w Polsce, był aktywistą Października '56, po Marcu '68, gdy partia wyrzuciła go z Uniwersytetu Warszawskiego i objęła zakazem druku, wraz żoną i córką znalazł życiową i naukową przystań we Francji. Ale przez te już pół wieku pracy na Zachodzie zawsze angażował się w polskie sprawy.

Współpracował z „Kulturą" Giedroycia, działał w „Solidarności", a po stanie wojennym w organizacjach pomocowych. Co rusz publikował i wypowiadał się o Polsce, polskich przemianach oraz zagrożeniach płynących od populistyczno-nacjonalistycznej władzy. I wciąż to robi; łączy charakter badacza z postawą niepokornego rozrabiaki w obronie bliskich sobie wartości. Coś z tej postawy człowieka zaangażowanego przenika „Muzeum...", dodając tej opowieści nerwu. Czyta się bowiem te trzy tomy traktujące o skomplikowanej materii niczym polityczno-społeczny thriller.

Dziś takie przekrojowe dzieła powstają zazwyczaj zbiorowo, Pomian napisał swoje sam, zbierając kilkadziesiąt lat własnych badań i myślenia nad rozmaitymi epokami, od średniowiecza po najnowszą historię Europy.

Obawiam się, że jest to jedno z ostatnich takich indywidualnych dokonań w humanistyce, bo współczesny system organizacji tych nauk, ogarniający cały świat, nie tylko Polskę, praktycznie uniemożliwia takie przedsięwzięcia. Coraz trudniej latami tworzyć jedną opowieść, nawet najbardziej doniosłą. Parametryzacja i grantoza bowiem wymuszają, na wzór mechanizmów rynkowych, w miarę szybkie zwroty, czyli prace, z inwestycji, czyli opłacania badań. W tym systemie trzytomowe „Muzeum..." nie mogłoby powstać.

TEGO HISTORIA DOTĄD NIE ZNAŁA

15 grudnia 1471 r. w Rzymie na Kapitolu, w siedzibie miejskich władz, umieszczono grupę starożytnych rzeźb z brązu – pomnik, jak głosiła inskrypcja, dawnej „doskonałości i cnoty". Wprawdzie rzeźby pochodziły ze zbiorów papieskich, ale to rewolucyjne wydarzenie zorganizowali miejscy notable. Rewolucyjne, bo powstała instytucja, którą potem nazwano „muzeum" – „publiczna kolekcja, umieszczona w świeckiej przestrzeni" i mająca trwać „w najdłuższej przyszłości". Takiego przedsięwzięcia historia dotąd nie notowała.

W tym akcie założycielskim przejawiają się wielkie zmiany zachodzące zwłaszcza we Włoszech, których wciąż jesteśmy beneficjentami. A co pokazuje rozkwit prywatnych kolekcji – z nich właśnie wyrosły muzea. Przede wszystkim już od XIV w. kształtowało się świeckie myślenie. W niemałej mierze za sprawą Petrarki i króla Francji Karola V, zwanego „Mądrym" z powodu dobrego wykształcenia i promowania wiedzy filozoficznej, choćby Arystotelesa.

Petrarka, sławny poeta, pisarz, miłośnik antycznych tekstów, postać niezwykle wpływowa, głosił kult Rzymu, wielkich Rzymian i kultury antycznej. Porzucił wciąż jeszcze przyjmowane ramy, zgodnie z którymi dokonania antyczne są istotne, jeśli wpisują się w historię Zbawienia. Petrarka sankcjonował więc i wzmacniał postrzeganie kultury antycznej jako autonomicznego, niezależnego od chrześcijaństwa dobra ludzkości.

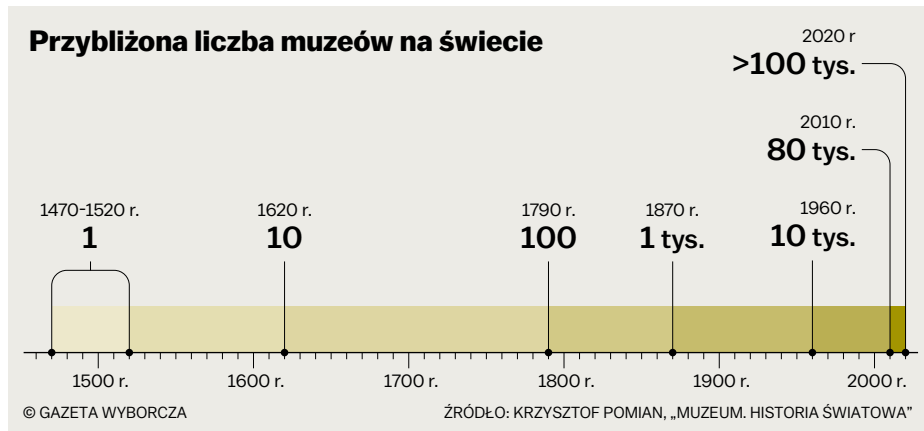

Natomiast Karol V, władca bardzo religijny, angażujący się w teologiczne dysputy, gromadził w swoich zbiorach, obok wielu relikwii podkreślających sacrum władzy, obiekty mające jedynie wartość estetyczną, głównie kamee. W tym przejawiały się już nie powinności systemowe wobec władzy czy religii, lecz własne indywidualne upodobania i coś, co można nazwać bezinteresowną ciekawością świata czy kultury. Toteż, jak pisze Pomian, Karol V jako pierwszy król utworzył w ramach swojego królewskiego skarbca prywatną kolekcję.

Ta kolekcja nie przetrwała swego właściciela, ale pozostał zaraźliwy wzór dla innych władców i dworów. Co z kolei wymuszało zdobywanie nowych kompetencji i zmiany światopoglądowe. Skarbiec był bowiem – pisze Pomian – magazynem obiektów ceremonialnych i liturgicznych oraz rodzajem graciarni drogocennych przedmiotów do wykorzystania głównie jako rezerwa finansowa. Za to kolekcja gromadziła eksponaty uznane za wartościowe ze względu na ich cechy widzialne, umożliwiające kontemplację lub namysł. Kolekcja odrzucała kwestię użyteczności zbiorów, wysuwając na pierwszy plan ich estetykę. A to sprawiało, że kolekcjonerzy, najpierw władcy i dworskie elity, musieli uczyć się kultury i sztuki, w tym utrzymywać stałe relacje z artystami.

Do kultury dworskiej wdzierał się więc nurt idei humanistycznych. A upodobanie do tworzenia kolekcji promieniowało ze szczytów społeczeństwa na inne grupy społeczne. Najpierw przejęły ten trend kręgi humanistyczne, potem bogate mieszczaństwo. Toteż od XV w., gdy rozkwitają indywidualne kolekcje, stają one w centrum przemian społecznych i ideowych.

Rozwój kolekcjonerstwa, czyli również intensywne wymiany idei i kontakty wśród coraz szerszych elit, sprawia, że rodzi się autonomiczny język mówienia o sztuce i jej oceniania. Kształtuje się też pamięć sztuki przeszłej jako ważnej części pamięci społecznej. Bez tych zmian nie mielibyśmy dziś publicznych muzeów i najpewniej nie uważalibyśmy sztuki, czy w ogóle kultury wizualnej, za tak ważną część życia zbiorowego.

Nie byłoby też muzeów bez stworzenia nowego zbiorowego podmiotu politycznego. W XVI w. Medyceusze przekazali swą kolekcję własnemu państwu. Właścicielem florenckiej Galerii Uffizi stała się „osoba moralna", i był to gest o rewolucyjnych skutkach. Jak tłumaczy Pomian, upowszechnienie się koncepcji, zgodnie z którą muzeum należy do „osoby moralnej", narodu, państwa czy miasta, oznacza, że nikt konkretny, żaden rząd, nie ma prawa nim dysponować, zamykać go czy wyprzedawać zbiory. Nie powinien mieć też bezpośredniego wpływu na to, co muzeum pokazuje.

Prymat estetyki, zrównującej chrześcijaństwo i pogaństwo w kulcie piękna, budował akceptację cielesności i seksualności jednostki. Oczywiście z oporami, toczyły się bowiem w nowożytnej Europie wojny o ciało. Zarówno kontrreformacja, jak i część protestantyzmu oraz angielski purytanizm występowały przeciw sztuce zrywającej z religijnymi kanonami przyzwoitości. W muzeum Prado w Madrycie zakazywano pokazywania nagości aż do XIX w.

SZTUKA? KULTURA? POSKROMIĆ!

Nasza współczesność odziedziczyła te konflikty, co dobrze widać choćby w Polsce, w której od lat 90. piętnuje się artystów, a nawet ściga sądownie za rzekomą obrazę wartości religijnych czy nadmierny, zdaniem oficjalnych czynników, erotyzm. A w ostatnich latach owe kontrreformacyjne dziedzictwo, coraz silniej obecne w życiu publicznym, sprawia, że władza chętnie sięga po cenzorskie praktyki przeciw kulturze.

Dodam jednak dla sprawiedliwości, że w mniejszym natężeniu podobne konflikty występują w wielu krajach Zachodu, zwłaszcza w USA. Historia amerykańskiej kultury jest usiana sporami, nierzadko sądowymi, purytańskich postaw ze sztuką kontestującą zastane normy. Zresztą ideologiczne radykalizacje w łonie amerykańskiego republikanizmu prowadzą do odnawiania prób poskramiania sztuki i kultury w ogóle.

Nowożytne kolekcje, coraz liczniejsze, przyczyniały się nie tylko do aprobaty cielesności. Propagowały również upowszechniający się etos mieszczański: zastępowanie ideału świętości praktykowaniem cnót obywatelskich i domowych. Te długie ewolucje bodaj najpełniej ujął w XVIII w. słynny niemiecki historyk sztuki i archeolog Johann Winckelmann; w jego pisarstwie kult piękna jawi się jako motor obywatelskich i świeckich emancypacji.

Od XV w. rozprzestrzeniało się też przekonanie, że kultura, w tym gromadzenie sztuki, daje instrumenty do zdobycia dodatkowej chwały, niezależnej od tej boskiej czy królewskiej. Chwały indywidualnej, świeckiej, zapewniającej czysto ziemską nieśmiertelność w pamięci potomnych. Kultura jawi się więc jako potężna siła tyleż emancypacyjna, co gruntująca prestiż władzy i hierarchii. Nic dziwnego, że rozmaite włoskie dwory (we Włoszech te zmiany były najszybsze i najbardziej widoczne) postawiły na konsekwentne polityki kulturalne, ponieważ również one budowały siłę polityczną i publiczny autorytet mecenasa.

Te praktyki przetrwały do dziś. Rządy niedemokratyczne przekształcają politykę kulturalną, w tym muzea, w ideologiczną pałkę, która ma umacniać pożądany ład. Natomiast w demokracjach przywódcy polityczni nierzadko pragną zapisać się w pamięci potomnych jako mecenasi kultury.

Prezydent Francji François Mitterrand związał się jako pomysłodawca ze spektakularną Piramidą Luwru. Prezydent Lech Kaczyński stał za budową Muzeum Powstania Warszawskiego i Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Kto wie, czy za jakiś czas te zasługi nie staną się najważniejsze w dorobku tych polityków. Przejawia się w tym, znane z praktyk dawnych władców, pragnienie zyskania nieśmiertelnej chwały.

W tych monarchicznych obyczajach da się dostrzec również sposób radzenia sobie z fundamentalną regułą demokracji: pustego miejsca władzy. Jak pisał twórca tego konceptu, filozof Claude Lefort, w demokracjach, inaczej niż w monarchiach, władza jest niczyja, z natury nie należy do konkretnych osób, nie wiąże się też z sakralnymi atrybutami. To właśnie puste miejsce zajmowane przez kolejne grupy interesów. Polityk, który wiąże swoje nazwisko z jakimś doniosłym przedsięwzięciem w sferze szeroko rozumianej kultury, ma szanse zostawić symboliczny ślad w owym miejscu niczyim, jakim jest demokracja.

Podobne pragnienia nieśmiertelności powodowały i wciąż powodują również elitami finansowymi. Jak pisze Pomian, amerykańscy bogacze kolekcjonerzy zapatrzyli się w legendę Medyceuszy, dawnych władców Florencji i wielkich mecenasów kultury. Zapatrzyli się szczęśliwie, bo amerykańskie muzea, także te wielkie i dziś sławne, wyrosły z prywatnych fortun. Zgodnie z przekonaniami Thomasa Jeffersona, jednego z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, który negował zasadność publicznego mecenatu kultury, bo, jak pisał, kultura to domena nielicznych.

Tę niechęć podtrzymywała również tradycja purytańska utożsamiająca sztukę z korupcyjnym luksusem. W efekcie państwo federalne długo wstrzymywało finansowanie kultury i nigdy nie założyło muzeum. Dodam, że taka postawa przetrwała w różnych mutacjach do dziś, zwłaszcza w neoliberalizmie. „Kultura ma się wyżywić sama" – to hasło wdarło się do mentalności polskich elit, również politycznych, w latach 90. i bywa głoszone do dziś.

Toteż w USA od XIX w. kulturotwórczą rolę państwa odgrywało społeczeństwo obywatelskie. A poczesne miejsce w zakładaniu muzeów zajmowały stowarzyszenia kobiece; kobiety stały m.in. u źródeł założenia słynnego Museum of Modern Art w Nowym Jorku.

W tych obywatelskich aktywnościach przejawiało się stare dążenie do indywidualnej chwały, która mogła w dodatku wymazać z pamięci podejrzane drogi budowania fortun, co motywowało i motywuje wielu miliarderów współfinansujących działalność muzeów czy filharmonii bądź przekazujących swoje kolekcje publicznym instytucjom. Co z kolei, gdy pieniądze są nazbyt brudne, rodzi sprzeciwy i swoiste wojny o prawo do symbolicznych korzyści płynących z uznania.

MUZEUM W SŁUŻBIE BIAŁEJ RASY

O takiej wojnie opowiada dokumentalny film „Całe to piękno i krew" w reżyserii Laury Poitras (2022). Bohaterka, Nan Goldin, znana artystka fotograficzka, walczy z rodziną Sacklerów, miliarderami i mecenasami kul-

eprasa.pl 8aafe869ec

tury, którzy zbili majątek na produkcji silnie uzależniającego leku – opioidu OxyContin. Sacklerowie, korumpując branżę medyczną, doprowadzili do masowego stosowania tego lekarstwa. W efekcie miliony Amerykanów popadły w uzależnienie, a przynajmniej kilkaset tysięcy zmarło.

Goldin, sama dotknięta wcześniej tą plagą, wraz z grupą aktywistek i aktywistów o podobnych doświadczeniach walczy o to, by znane muzea przestały brać pieniądze od Sacklerów i by tablice z tym nazwiskiem honorujące darowizny zniknęły z muzealnych przestrzeni. Goldin wygrywa, Sacklerowie tracą szansę na chwałę. A przejmujący dokument Poitras uświadamia m.in., jak potężnym narzędziem fabrykacji uznania, na dobre i złe, jest kultura, w tym muzeum.

Wielką rolę w modernizacji myślenia odegrały też kolekcje związane z historią naturalną, nie mniej popularne niż te poświęcone sztuce. Do ich upowszechnienia przyczyniły się europejskie kolonizacje Nowych Światów. Masowy import egzotycznej flory, fauny, minerałów skłaniał do poważnych studiów, z czego zrodził się zawód naturalisty, badacza natury. A same badania wiodły do podważania europocentryzmu, stawało się bowiem jasne, że natura jest uniwersalna, to, co istnieje w Europie i na egzotycznych lądach, podlega tym samym regułom.

Ten poznawczy ferwor sprawił, że najpierw kolekcje, czyli gabinety natury, a potem muzea wykształciły misję, dziś banalnie oczywistą, bez której żadne renomowane muzeum nie może się obejść: misję edukacyjną. Zbiegło się to z rozwojem nauk przyrodniczych kwestionujących boskość natury. Toteż najpierw kolekcje, a potem muzea stały się ważnym miejscem sporów z deizmem. Sporów sięgających w naszą współczesność, bo np. do dziś nie wygasły konflikty, zwłaszcza w USA, o teorię Darwina, podtrzymywane również za pomocą muzeów.

Tego typu kolekcje i muzea miały też silną orientację utylitarną. Wiązały się z najpierw z eksploatacją kolonii, handlem, żeglugą, rolnictwem, a potem z rozwojem przemysłu. Te poświęcone technice i nauce oferowały, zwłaszcza od drugiej połowy XIX w., pod wpływem wystaw światowych, wielkich masowych imprez ówczesnych społeczeństw, spojrzenie w przyszłość cywilizacji, oczywiście białej i zachodniej. Ale trzeba było kolejnych dekad, by ową ultraoptymistyczną i elitarną wizję nieprzerwanej eksploatacji natury i ludzi tonowały pytania o położenie świata pracy, o nędzę robotników i robotnic związaną z rozwojem kapitalizmu, o konflikty klasowe.

Muzea nie stały wprawdzie u źródeł takich dociekań, lecz przyczyniły się do ich popularyzacji. Tak jak zarazem popularyzowały najpodlejsze idee naszej cywilizacji: niby-naukową „rasologię" wywyższającą białych mieszkańców Zachodu ponad inne rasy. Ten mroczny nurt, rozkwitający od późnych dekad XIX w. i sankcjonowany przez akademickie obiegi, usprawiedliwiał ekscesy rasizmu i kolonialną przemoc wobec „rdzennych ludów", w tym ich masowe mordowanie. Muzealne wykładnie takich poglądów publiczność Zachodu mogła oglądać jeszcze w późnym wieku XX.

Rasizm odciskał się również na muzeach zakładanych na terenach zajętych przez kolonizatorów. Niemal wszędzie poza Indiami spychano ma margines lokalne kultury i społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że np. w Chinach muzeum, wynalazek Europy, długo traktowano z wrogością – jako instrument kolonialnej ekspansji Zachodu.

INDIANA JONES, ZWYKŁY RABUŚ

Pycha kolonialna czy cywilizacyjna była ideologicznym wyposażeniem również muzeów sztuki. Wiele dzieł dawnych cywilizacji, wspaniale dziś przedstawianych i przyciągających publiczność, pochodzi z rabunków. Bardzo lubiłem wraz z milionami innych filmy o przygodach Indiany Jonesa. Ale ów dzielny i sympatyczny archeolog uganiający się za skarbami, które przekazuje swojemu amerykańskiemu uniwersyteckiemu muzeum, jest w dużej mierze zwykłym rabusiem. Fikcyjna postać wyrasta z realnych praktyk wielu muzeów lub ich darczyńców.

Dziś nadszedł czas rozliczeń i rewindykacji, różne rządy spoza Europy, ale też np. Grecja, domagają się zwrotu zabranych niegdyś zabytków. Trudne spory prawne i polityczne będą w takich sprawach trwały długo.

Także w samej Europie rabunek dzieł kultury, zwłaszcza wojenny, był normalną praktyką. Zwycięzca wywoził, co mógł. Wzniosłość ideologiczną tym poczynaniom nadał dopiero Napoleon. Według tej doktryny skoro Francja stała się wskutek rewolucji stolicą wolności i oświetla tym przykładem całą ludzkość, ma cywilizacyjne prawo łupić państwa i narody, które w owej hierarchii uniwersalnych wartości stoją niżej. Tak zawiązał się swoisty sojusz sztuki z armią.

Po upadku Napoleona Francja zwracała państwom europejskim zrabowane dzieła. Ale sam wzór nie umarł. Osiągnął nieznaną wcześniej skalę podczas II wojny światowej. Niemcy rabowały dzieła kultury, publiczne i prywatne, z części podbitych państw; konfiskowały również kolekcje osób pochodzenia żydowskiego, mordując ich właścicieli. Pojedyncze dzieła z takich zbiorów wypływają czasem na aukcjach sztuki.

ZSRR po upadku III Rzeszy „odrabował" część niemieckich zdobyczy, uznając je bezprawnie za swój wojenny łup, którego rozmiarów nigdy zresztą nie ujawnił. Liczne państwa, a także prywatni spadkobiercy nadal poszukują zaginionych obiektów. Jak zauważa Pomian, dla wielu muzeów, w tym w Polsce, II wojna jeszcze się nie skończyła.

MUZEUM NIE DLA ZWYKŁYCH LUDZI?

Dziś to nie do pomyślenia, ale długo trwało, zanim muzea zaczęły otwierać się na masową publiczność. Wielka część elit wzbraniała się, by wprowadzać „lud" do świątyń sztuki czy wiedzy. Czy wpuszczać osoby biednie ubrane? Czy otwierać muzea w niedzielę, by świat pracy zyskał do nich dostęp? Czy tłumaczyć niewykształconym, co oglądają? Te kwestie wywoływały zażarte spory.

W gruncie rzeczy – pisze Pomian – demokratyzacja muzeów dokonała się dopiero pod koniec XX w. Obecne muzea nie tylko opowiadają o własnych zbiorach, ale chcą również za ich pomocą objaśniać świat. Są one dziś – jak stwierdza autor – jednym z centralnych miejsc reprodukowania zbiorowych tożsamości. W ich najróżniejszych przejawach, bo niemal wszystko, co ludzkość wytworzyła i wytwarza i co dostarcza nam natura, podlega umuzealnieniu. Stąd ich niesamowity przyrost **(patrz infografika)**.

Są też muzea miejscami, w których rodzą się rozmaite utopie lepszego świata, także te związane z katastrofą klimatyczną, groźną również dla istnienia muzeów i kultury w ogóle. Jednak muzeum jako laboratorium przyszłości może służyć rozumieniu świata lub emancypacjom społecznym, może też utrwalać złowrogi porządek. Jak w przypadku mrocznego nurtu muzeów władzy, obecnych także w Polsce.

KŁAMSTWA WDARŁY SIĘ DO PUBLICZNYCH MUZEÓW

Pierwsze nowoczesne muzeum legitymizujące autorytaryzm i zamach stanu, jakiego sam dokonał, założył Napoleon III w 1852 r. To muzeum propagandy władzy opierało się na kłamstwach; z przedstawionej w nim historii Francji dyktator wykosił rewolucję i republikańską przeszłość. I – jak pisze Pomian – stało się ono skutecznym instrumentem propagandy oraz manipulacji ludzkimi umysłami. W czym zresztą Napoleon III celował; trafnie uważa się go za jednego z ojców założycieli nowoczesnych autorytarnych populizmów. Wprawdzie to muzeum nie przetrwało swego autora, ale miało długą przyszłość.

Radykalną kontynuację takich praktyk stworzyły reżimy totalitarne. Wymazać przeszłość realną, ustanowić własną – taką dyrektywą kierowały się rządy w hitlerowskich Niemczech, w Związku Sowieckim, we Włoszech Mussoliniego. W tych reżimach wprowadzano do muzeów narracje nacjonalistyczne, a wyprowadzano z nich to, co kłóciło się z ideologią władzy. Hitler czyścił muzea ze „sztuki zdegenerowanej" (Entartete Kunst), głównie znakomitych dzieł awangardowych. Część tej skonfiskowanej sztuki Niemcy sprzedali za granicę, część zniszczyli.

Również bolszewicy wyprzedali część wspaniałych zbiorów, by finansować państwo w kryzysie. I konsekwentnie cenzurowali wystawiane w muzeach kolekcje, wyrzucając z nich liczne nowoczesne dzieła sprzeczne z doktryną „realizmu socjalistycznego".

Niestety, w Polsce ta tradycja – biegnąca od Napoleona III – trzyma się mocno. Nacjonalizm i kłamstwa historyczne wdarły się do publicznych muzeów, co rusz rozbrzmiewają też uwagi o współczesnej sztuce czy kulturze zdegenerowanej.

Niewiele sensu mają apele do rządzących i skupionych wokół nich elit o wzgląd na przyzwoitość i prawdę. Wiadomo, nikt nie posłucha. Ale niech przynajmniej wiedzą – bo nie sądzę, by byli tego świadomi – z jakiej tradycji wywodzą się ich poczynania. ●

Krzysztof Pomian, **„Muzeum. Historia światowa"**. Tom 1 **„Od skarbca do muzeum",** przekład Tomasz Stróżyński, słowo/obraz terytoria 2022. Tom 2 „L'ancrage européen 1789-1850" (Europejskie zakotwiczenie), Gallimard 2021. Tom 3 „À la conquête du monde 1850-2020" (Na podbój świata), Gallimard 2022.

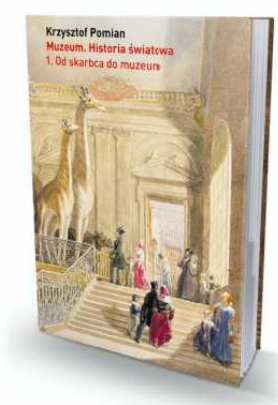

Rządy niedemokratyczne przekształcają politykę kulturalną w ideologiczną pałkę

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ewa Lipska*

Stagnacja

Co chce od niego kelner z Café Landmann
usiłując mu wmówić szparagi na deser.
Przechytrzyć jego smak.
Kiedy w karcie już tylko pozostała blizna.

Coraz bardziej natrętny nawiedza go czas.
Coraz rzadziej go dziwi łatwość umierania.

Oszuści podsuwają mu kobiety.
Nieprzytomnych karłów z pobocza aluzji.
Coraz skuteczniej straszy go Dracula.

Zawsze nosi przy sobie wysoką gorączkę.
Ostatni rezerwista. Konsul Mandragory.

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Ewa Lipska** - ur. w 1945 r. w Krakowie, poetka. Autorka m.in. tomów: „Przechowalnia ciemności" (1985), „Strefa ograniczonego postoju" (1990), „Ludzie dla początkujących" (1997), „1999" (1999), „Sklepy zoologiczne" (2001), „Ja" (2003), „Pogłos" (2010) i „Pamięć operacyjna" (2017). Tutaj wiersz z tomu „Stypendyści czasu", Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994

eprasa.pl 8aafe869ec

SPOTKANIA we śnie

CO MNIE URZEKŁO

Od tej pory miłość już zawsze kojarzyła mi się z pięknem, a nie zawsze ze zmysłami. I wciąż tęsknię za taką formą bycia na świecie. I dla takiej tęsknoty również jest wielka sztuka.

Jarosław Mikołajewski

Coś takiego zdarza się najwyżej kilka razy w życiu: wejść w sen, który jest także i przede wszystkim rzeczywistym pejzażem. Po raz pierwszy może zdarzyło mi się to dawno temu w Neapolu, kiedy wszedłem do Muzeum Archeologicznego i zobaczyłem (tak to pamiętam) dziesiątki Antinousów, pomnożonych miłości cesarza Hadriana, w różnych odcieniach bieli, różnych pozach, różnorodnych wyrazach skupienia i półobecności na twarzy, rozmaitych wersjach niby tej samej, a przecież fascynująco zmiennej nagości torsów, przyrodzenia, pośladków, łydek, w nieznanej wówczas dla mnie wielości zgiętych szyj, rozchylonych warg.

Pewnie to wtedy – i pewnie nie po raz pierwszy – zadałem sobie pytanie, jakie różnice w poczuciu piękna i mądrości, harmonii i głębokości uczuć wywołuje codzienne sąsiedztwo i świadectwo nagromadzonego, po stokroć destylowanego piękna tam, w Neapolu, i niemal całkowity jego brak tutaj. I wiedziałem, że życie wśród takich delikatności i cudowności musi mieć bardzo dalekie konsekwencje, o czym przekonałem się już na pierwszym piętrze poznania, czytając na tabliczkach, że był „Antinous (Antinoo) favorito e amante" cesarza Hadriana. Wybrańcem, może wybrankiem i – uwaga – w większości polskich przekładów: kochankiem.

Amante – kochanek? Pewnie i tak, lecz przecież czułem, że jest „kochanek" odbiciem, drugą wodą po pierwszym uczuciu i określeniu, po tej czy tym, którzy kochają i są kochani. Zgrzytał mi nieprzyjemnie ten „kochanek" w zestawieniu z błogim, sennym pięknem gestu młodzieńca, jego przychylnością, wspólnotą harmonii z cesarzem humanistą, cesarzem, którego można by nazwać renesansowym, gdyby nie był tym, do czego renesans potem się odwoływał, samym jego źródłem.

Była i jest w słowie „kochanek" sensacyjność „Kochanka Lady Chatterley", wulgarność prasy kolorowej, kiedy mówi o ukrytym życiu polityka czy aktora. Nie było w „kochanku" tych cudownych układów mięśni, wygestykulowanych rozmów miłosnych, czystości i naturalności erotycznej (również tej, którą niektórzy uważają za nienaturalną), bieli zmysłów. Było mi w Muzeum Archeologicznym w Neapolu tak, jak gdyby ktoś opowiadał o miłosnej namiętności od środka, z miejsca, z którego pejzaż uczuć jest piękny, przeżywany w pierwszej osobie, nie – wścibski, podglądacki, czytający w warstwie niedostępnej dla tego, co patrzy. I wiele razy potem tego czystego, mądrego obserwatorium mi w Polsce brakowało.

Kiedy zajrzałem do któregoś z polskich leksykonów, miłosna subtelność Antinousa objawiła mi się w wulgarnej, prymitywnej postaci: „homoseksualny partner cesarza Hadriana". „Homoseksualny partner", do diabła. Ten anioł, który był i nie był, kochał i był kochany...

Jak to jest? Czy najpierw poznajemy istotę doświadczenia, a potem czujemy ją poprzez słowo, czy kolejność jest przeciwna? Kiedy mamy szansę cieszyć się równocześnie słowem i sensem?... Wtedy, w Neapolu, doznałem cudu poznania równoczesnego i od tej pory miłość już zawsze kojarzyła mi się z pięknem, a nie zawsze ze zmysłami. I wciąż tęsknię za taką formą bycia na świecie. I dla takiej tęsknoty również jest wielka sztuka.

•

Nie mieliśmy tego piękna w Polsce, a raczej mieliśmy mało, a teraz mamy ogromną szansę, by poczuć rozkosz, jaka wiąże się z duchową kontemplacją zmysłów, piękna różnorodnego, nie zaspokajającego, lecz pobudzającego do dobroci, uprzejmości, nienatrętnej lekkości miłosnego bycia wśród innych. Mamy to jeszcze przez dwa miesiące na zachwycającej wystawie „Przebudzeni", skupionej na antyku i renesansie, na świętej i cudownej chwili, w której – plus i minus w okolicach podróży Kolumba w 1492 r. – mieszkańcy Półwyspu Apenińskiego zorientowali się, że te jakieś kamienie rozproszone po łąkach, te jakieś mozaiki, te jakieś malowidła ukazujące się w starych ruinach są czymś lepszym, niż oni sami byli w stanie stworzyć i być. Lecz będąc lepsze, mogły stać się wzorem. Dawały instrument do bardziej subtelnego rysowania i rzeźbienia w sobie, we własnych nigdy wystarczająco boskich (czyli ludzkich, skoro bóg to człowiek zarówno w antyku, jak i w chrześcijaństwie) wnętrzach, jakościach, otchłaniach, powabach.

•

„Przebudzeni" to definicja ludzi, którzy kilkaset lat temu otworzyli oczy na starożytne piękno, które – powtarzam – nigdy nie jest do westchnień płaskiego zachwytu w rodzaju „ach, jakie to piękne!". Piękno jest pomijanym, a próżno poszukiwanym narzędziem poznania. Również tęsknoty i aspiracji, dlatego brzydota tak często boi się piękna. Dlatego dyktatorzy cenzurują wystawy – bo widzą w pięknie siłę tajfunu, który nie boi się władzy, czołgów, pa-

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE-MUZEUM REZYDENCJA KRÓLÓW I RZECZYPOSPOLITEJ

Dlatego dyktatorzy cenzurują wystawy – bo widzą w pięknie siłę tajfunu, który nie boi się władzy, czołgów, pałaców

łaców. I niechaj będzie rzeczą oczywistą, że nie chodzi o brzydotę fizyczną, która nie istnieje, bo wykąpana w miłości potrafi poprzestawiać kryteria urody i stać się piękna – jak dowodził choćby Umberto Eco, wskazując Domenica Ghirlandaia i jego scenę starca z wnukiem, gdzie na zmieniony przez chorobę nos dziadka chłopiec patrzy z miłością nieznającą brzydoty. I czytam również drugie znaczenie „przebudzonych" – to ci (te kamienie, te postaci na malowidłach, te idee, historie), których przebudziło spojrzenie ludzi odrodzenia.

●

Wystawa, pomyślana najniezwyklej przez Mikołaja Baliszewskiego, kuratora ekspozycji, rozciągnięta jest w sennym pejzażu. Już na samym jej początku znajdziemy słynną księgę, która ustawia poetykę całego pokazu – pierwodruk „Hypnerotomachia Poliphili" Francesca Colonny. „Historii – pisze kurator – Polifila, który śniąc, podąża przez krajobrazy pełne mistycyzmu, ogrodów, pałaców i świątyń. Jest to podróż przez świat, w którym główną rolę odgrywa miłość, ale też idea życiowej mądrości".

Zaraz za tym pierwszym obiektem – przedstawieniem bohatera śpiącego pod drzewem, wśród roślin, na pofałdowanej ziemi – znajdujemy ilustracje wprzęgnięte w grę ruchomych luster, gdzie jak w niektórych snach naszych powszednich realny świat pokazuje swoje zaskakujące alternatywy.

●

Wystawa nie ma porządku wynikowego. Nic nie prowadzi logicznie do niczego. Wszystko, jak w życiu i w kulturze, jest równoczesne. Z ulgą i pochwałą przyjąłby zapewne taką kompozycję Sławomir Mrożek, który z ironią patrzył na wystawowych gości kierujących uwagę głównie na tabliczki z opisem, mniej na same eksponaty. Przyjmuję ją z ulgą i ja, który przyglądałem się dziełom jako współistniejącym elementom świata marmurów, obrazów, ksiąg, rzeczy malowanych, projektowanych i rzeźbionych już w renesansie, w dialogu z antykiem, i tych, które od starożytności czekały na przebudzenie do ponownego istnienia zachwyconymi oczami, które znowu zaczęły widzieć.

Są wśród obiektów renesansowych dzieła Botticellego, Cima da Conegliana, Andrei Mantegni, Bramantego, którym – obok Perugina – przyznaję tu główne miejsce wśród malarzy i rysowników. Wyróżniam Perugina nie tylko dlatego, że ten mistrz Rafaela obchodzi właśnie pięćsetlecie śmierci, lecz przede wszystkim w nagrodę za jego dramatyczną delikatność. I należy się Zamkowi wdzięczność za dostrzeżenie artysty pomijanego często przez turystów w środkowych Włoszech, a przecież obdarzonego niezwykłą harmonią słodyczy. Maleńki wizerunek Chrystusa w kościele Santa Maria sopra Minerva w Rzymie należy do najbardziej intensywnych i inspirujących portretów ludzkiego Boga i przejść przed nim obojętnie po prostu nie sposób.

●

Nie mam siebie za znawcę renesansu i antyku, niemniej przez wiele lat chodziłem po rzymskich pamiątkach, znam ich muzealne hierarchie i z podziwem chylę głowę przed kuratorskim sukcesem, którym jest zgromadzenie dzieł o największym znaczeniu. Sam rysunek ruin rzymskich Bramantego w wielu stolicach przywoływałby co dzień tłumy. Cóż dopiero „Ofiarowanie Izaaka", w którym gigant sztuki, jakim był Mantegna, prezentuje nam słynną biblijną scenę (atrakcyjną dziś także przez odczytania Sorena Kierkegaarda) namalowaną tak, że zaciera się granica pomiędzy malarstwem i rzeźbą.

Dwie są grupy dzieł, które pozostawiają mnie z szarpiącym wzruszeniem i nieuleczalną tęsknotą. Te najbardziej efektowne, jakimi są marmury. Torsy, samotne i okaleczone (przez co zagadkowo piękniejsze) postaci. Harmonie i tęsknoty naszych własnych brył ludzkich. Wielkości upokorzone, lecz dumne na zawsze. Kruchości wyprowadzone do ideału, gdzie zasada zachwytu wyraża się nie w perfekcji, lecz w geście, ruchu, palcach stóp menady zgiętych w ruchu, w geście przytrzymanym przez artystę dla podziwu zwiedzających. I druga grupa – rzymskie (pompejańskie) malowidła, których obecność nad Wisłą wprawia w osłupienie. Jeździłem przecież do nich specjalnie, żeby pozwalać się przemieniać przez świadomą prostotę i codzienność tych genialnych przedstawień.

●

Nie obrażajmy się, ale dostaliśmy właśnie szansę na kontakt z dziełami, za którymi zawsze goniliśmy – my, jako kulturowa wspólnota. Które staraliśmy się naśladować lub się od nich odciąć, jak gdybyśmy czuli, że tylko przez odrzucenie jesteśmy w stanie stać się im równi, tworząc sztukę wpisaną w inne kanony.

W przyszłym roku obchodzić będziemy sto lat od powstania „Mitologii" Jana Parandowskiego, czyli (podtytuł) „Wierzeń i podań Greków i Rzymian", z których w kolejnych pokoleniach poznawaliśmy wielkość i małość boskiego człowieczeństwa, ponadczasowe (choć uładzone w książce z edukacyjnej ostrożności) troski ludzkiej miłości bogów. Z oryginalnych arcydzieł możemy oglądać dziś w Zamku oryginalne, arcydzielne ilustracje tamtych opowieści. Mitycznych, jak „Sąd Parysa", idealizowanych historii, jak „Sąd (Miłosierdzie) Trajana". Zapisane przez starożytnych, reinterpretowane przez renesansowych.

●

Przez niebywałą wystawę w Zamku przechodzi się jak przez prawdziwy sen, bywa, że animowany, osadzony w świetle, które tworzy efekt rozrzedzonego powietrza. Podzielony umownie na motywy: władzy, ciała, boskości... Nie krępują nas, włączonych do tego świata, te podziały. Przeszywają wspólną nicią przeżycia, odsyłają wzajemnie i pozwalają iść dalej.

Czytam ją jako potężny, mądrze ściszony krzyk różnorodnego świata przeciw chamskim uproszczeniom kultury, którą dzisiejsze jej instytucje próbują promować jako polską. Wielka sztuka tej ekspozycji oszołamia, buduje, olśniewa, przywraca, protestuje, upomina się o to, co beznadziejnie uproszczone.

Dziękuję. ●

„Przebudzeni. Ruiny antyku i narodziny włoskiego renesansu"
– wystawa na Zamku Królewskim w Warszawie, 18 lipca – 15 października 2023 r.

eprasa.pl 8aafe869ec

FOT. SHUTTERSTOCK

URAZA

Bezrefleksyjne: „Zawsze wierzę ofierze", może być błędem, bo ofiary czasem, niekoniecznie intencjonalnie, deformują rzeczywistość.

Z **ZOFIĄ MILSKĄ-WRZOSIŃSKĄ***, PSYCHOLOGIEM, PSYCHOTERAPEUTKĄ, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Długo wahałam się, czy podejmować temat urazy i zjawisk z nią z związanych, z obawy, czy da się o nich rozmawiać tak, żeby nikogo nie urazić. Pani też miała wątpliwości.

– Moja wątpliwość wynikała z kilku powodów.

Po pierwsze, w tym splocie zranienia, urazy czy też oburzenia w sferze publicznej, a o niej głównie mamy rozmawiać, są z pewnością wątki szlachetne i wartościowe, takie jak chęć ochrony słabszych, zwłaszcza tych pozbawionych głosu, troskliwe ujmowanie się za nimi, a także założenie, że ludzie różnią się od siebie pragnieniami, możliwościami czy preferencjami i należy to szanować, choćby różnicując wymagania.

Po drugie, animatorami tego sposobu przeżywania świata są głównie młodzi. Na pewno znacznie młodsi ode mnie, a może i od pani. Mnie bunt młodzieńczy, który uważam za formę sprzeciwu wobec zastanego świata, jest bliski. Widzę w nim wartość nie tylko polityczno-społeczną, ale również w kontekście rozwoju psychicznego. Bismarck powiedział, a za nim powtórzył Piłsudski: „Kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie skurwysynem", co na własny użytek trawestuję jako: „Kto za młodu nie był radykalny, ten na starość będzie zgorzkniałym, dogmatycznym nudziarzem".

No i jest jeszcze jeden powód mojego zawahania. Bo właściwie nie widzę gotowości do dialogu. Samo postawienie pytania, wyrażenie wątpliwości już może obrażać. Z góry zakładana bywa też zła wola.

Na przykład?

– Propozycja rozważenia, czy stanie się większa krzywda, jeśli młoda osoba, która identyfikuje się z inną płcią niż jej płeć biologiczna, przejdzie najpierw dojrzewanie właściwe dla tej płci, czy jeśli zawczasu podda się modyfikacjom hormonalnym i nie tylko, a po paru latach być może okaże się, że to autorozpoznanie było błędne, jest urażająca dla obydwu stron.

Z jednej pojawia się wyższościowa sugestia o transfobii, w najlepszym wypadku nieuświadomionej, niedouczeniu, konieczności przejścia odpowiedniego szkolenia, które pokaże, że nie można skazywać młodych ludzi na zbędne cierpienie dojrzewania w nie swojej płci. Z drugiej – protekcjonalne pouczanie, że transseksualizm to tylko zaraźliwa, szkodliwa moda, dzieciakowi po paru latach przejdą te fanaberie, a zmiany cielesne pozostaną i będzie cierpiało.

Obie strony, abstrahując od ewentualnych uwikłań ideologicznych, wyznają wspólną wartość – dobro młodego człowieka. Tymczasem jeśli samo poddanie tego pod dyskusję uraża, to dialog staje się niemożliwy. Czy to znaczy, że dialogu ma w ogóle nie być?

Może trzeba po prostu uznać, że kogoś to uraża...

– ...ale wtedy rozmowa jest skończona. Odsuwamy się od siebie, wymiany nie ma. Możemy już tylko ze sobą walczyć, co niczemu nie służy. W tym sensie „słuszne" oburzenie uniemożliwia zniuansowane myślenie, dostrzeganie całego spektrum barw. Świat staje się czarno-biały.

Do tego dochodzi tempo tych zmian. To, co w dyskursie publicznym uchodziło za zwyczajne jeszcze rok temu, za chwilę może już zostać objęte anatemą. Kto wie, może zanim nasza rozmowa się ukaże, nie będzie już można mówić o godziwych warunkach dla kobiet na porodówkach, ponieważ to urazi osoby bezpłodne. Pamiętam, jak Aleksandrowi Kwaśniewskiemu wytknięto, że w jednym z wywiadów przyznał, że chciałby mieć wnuki. Wydawałoby się, że nic zdrożnego nie powiedział, a jednak. Według komentatorów uraził uczucia tych, którzy zdecydowali się nie mieć dzieci, oraz tych, którzy ich mieć nie mogą.

Ktoś powie, że sprowadza pani walkę o sprawiedliwość społeczną do granic absurdu i że przecież nie o to chodzi.

– Jeśli traktuje się zdanie: „Chciałbym być dziadkiem, przykro mi, że nim nie będę", jako urażające, to jest to absurd bez mojej pomocy. Skądinąd Kwaśniewski zaraz po tym, jak został publicznie skarcony, przeprosił. Powiedział: „Bardzo mi przykro, jeśli kogoś tym uraziłem".

To źle przeprosił.

– Trzeba bezwarunkowo: „Przepraszam za to głupstwo, które powiedziałem".

Co nie gwarantuje, że przeprosiny zostaną przyjęte.

– A to jest inna kwestia, bardzo ważna. Bo jeżeli myślimy o urazie jako o pewnej niewyrażonej czy niespożytkowanej złości, to nie ma właściwie szans na zadośćuczynienie i wybaczenie.

Złość, jak wiadomo, jest przydatnym uczuciem. Służy temu, żebyśmy zrozumieli, że doświadczamy jakiegoś zagrożenia czy ataku, czasem również w sensie metaforycznym, dotyczącym właśnie wartości. Dziecko jest w stanie wyrazić złość bezpośrednio, jeżeli nie zostało uprzednio spacyfikowane. Dorosły – zależnie od sytuacji. Jak jest zły na szefa, to niekoniecznie będzie wrzeszczał i kopał. Nie zawsze możemy spoliczkować kogoś, kto nas skrzywdził, czy wycofać się z sytuacji, która jest nie do zniesienia. Ale coś z tą złością jednak można zrobić, choćby opracować ją wewnętrznie: poczuć ją, potraktować jako drogowskaz. Uraza natomiast to złość, która nie została rozładowana i opracowana, więc w nas zalega. Czasem mówi się o niej z angielskiego – „resentyment". I to „re" jest tutaj ważne, oznacza powtarzanie. Bo uraza jest trochę jak czkawka. Odtwarza się i odtwarza na nowo, nasilając się coraz bardziej. Już prawie 75 lat ma prawo psychologa i neurofizjologa Donalda Hebba: neurony jednocześnie wzbudzone łączą się na zawsze, ale to połączenie można wzmacniać lub osłabiać. Przeżywając ponownie urazę, wzmacniamy połączenia neuronalne między daną sytuacją a urazą, nie dając sobie szansy wyjścia z błędnego koła.

I co się może dziać dalej?

– Uraza może przyjąć formę biernej agresji, uprzedzenia, fantazji o odwecie, zranienie staje się coraz trudniejsze do naprawy.

Krzywda, której doznaliśmy, obiektywnie bądź subiektywnie, często łączy się ze wstydem i z upokorzeniem. A wstyd i upokorzenie to potężne uczucia, które prowadzą do rozmaitych działań, nie zawsze dla

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

nas najlepszych. I jeśli traktujemy coś jako nienaprawialne, to uznajemy to, co nas spotkało, za wielkie zranienie, a nie coś, co da się zbyć zwykłym „przepraszam". Urażony nie chce takiego zbanalizowania swojej krzywdy. Tu znany przykład ze sfery życia publicznego: Krzysztof Daukszewicz, który w programie na żywo bezmyślnie zażartował.

Przypomnę. W obecności Piotra Jaconia, dziennikarza, a prywatnie ojca transpłciowego dziecka, spytał – jak potem tłumaczył – trawestując występy wiecowe Jarosława Kaczyńskiego: „A jakiej on płci jest dzisiaj?".
– Ale bardzo szybko się zorientował, co zrobił, i przeprosił. Zdaje się, że jeszcze na wizji powiedział: „Palnąłem głupotę". Przeprosiny nie zostały jednak przyjęte przez chór oburzonych. Daukszewicz został publicznie napiętnowany, a w „Wyborczej" pojawiło się zalecenie, by poddał się szkoleniu, bo jest niedouczony.

W sumie co by mu szkodziło, gdyby poszedł na szkolenie, na przykład z języka niedyskryminującego?
– Pewnie by mu nie zaszkodziło, tyle tylko, że kryje się w tym założenie, że Daukszewicz nie dość, że niechybnie jest transfobem, to do tego jeszcze idiotą, który nie zdaje sobie sprawy ze swoich działań. To jest satyryk. Zażartował, żart się nie udał, on to szybko sam wyczuł i przeprosił. Z czego go reedukować?

Coraz rzadziej chyba pojawia się refleksja, że człowiek może się uczyć na błędach. I że jeśli ma poczucie, że zrobił coś głupiego, jest mu autentycznie wstyd, to tego nie powtórzy.
– Jest za to inna myśl – jeśli zrobił coś takiego, to znaczy, że tkwi w nim jakiś defekt i ten defekt trzeba naprawić za pomocą zewnętrznych środków, bo on sam tego nie będzie umiał zrobić. Jakby umiał, toby tak nie powiedział.

Zresztą upokorzonemu nie zawsze chodzi o to, żeby sprawca upokorzenia zrozumiał i zmienił się na przyszłość. Jeśli ktoś się czuje zawstydzony i poniżony, to jednym ze sposobów, żeby nie doświadczać tych trudnych uczuć, jest sprawić, żeby poczuł je ktoś inny.

Nagłośnienie sprawy, często zupełnie prywatnej, daje taką możliwość: ktoś, kto czuje się źle potraktowany, pokazuje całemu światu – czy raczej swojej bańce – co się wydarzyło, i patrzy, jak inni dopadają sprawcę jego upokorzenia.

A może w tym nagłaśnianiu chodzi o to, żeby powiedzieć światu, w tym osobom, które nie mają głosu, że tak po prostu nie wolno?
– Czyli że to pełni funkcję edukacyjną? Zgodzę się z panią, że to może być znak dla osób przekonanych o swojej całkowitej bezbronności, że jednak coś mogą. Ale zdarza się też nagłaśnianie sytuacji bardzo osobistych, na przykład że ktoś nas wykorzystał i porzucił, z nadzieją, że wtedy nasza krzywda z poniżenia stanie się wywyższeniem. Da uwagę, troskę, a sprawca zostanie skompromitowany.

Trzeba też pamiętać, że nie zawsze atakuje się sprawcę krzywdy. To tak jak z dziećmi w szkole. Bywa i tak, że prześladowany przez jakąś grupę zaczyna prześladować kogoś wcale nie najbardziej winnego, tylko mniej groźnego, słabszego, a potem już prześladują go wszyscy razem.

Uważa pani, że współczesny świat, i tu mam na myśli również media społecznościowe, sprzyja temu, żeby urazę podsycać?
– Oczywiście, media społecznościowe odgrywają tu pewną rolę.

Po pierwsze, można bardzo łatwo dzielić się urazą z innymi. Coś, co było naszą prywatną sprawą, łatwo uczynić sprawą znaną i ważną, jeśli nie publicznie, to przynajmniej w kręgu internetowych znajomych.

Po drugie, pod publiczny osąd poddane jest wydarzenie opisane wyłącznie z perspektywy autora, tymczasem żeby zrozumieć, co się stało, w relacjach międzyludzkich warto przestrzegać starej zasady prawa rzymskiego, a także psychoterapii par: „Audiatur et altera pars", wysłuchaj drugiej strony.

Po trzecie, jak wiadomo, w internecie nic nie ginie. Zatem nie ma ucieczki od przeszłości, a być może nie ma również wymazania win czy zadośćuczynienia. Internet daje możliwość nieograniczonego reaktywowania rany. Wystarczy, że wrzucimy w wyszukiwarkę nazwisko kogoś, kto się kiedyś nieodpowiednio zachował, i od razu możemy sobie przypomnieć o czymś, co nasza pamięć mogła dawno temu wykasować, bo przestało mieć to dla nas znaczenie. Porcja informacji, którą dostaniemy, może sprawić, że dawne emocje wrócą. Rana się nie zabliźnia, bo ciągle krążymy wokół jej źródła albo ktoś inny nam o nim nieustannie przypomina. I jeśli jest wciąż od nowa rozdrapywana czas nie może jej zagoić.

Po czwarte, łatwo o bezkarne pomawianie innych, a to wielka pokusa.

Oczywiście są też aspekty pozytywne – krzywdzenie innych rzadziej uchodzi płazem. Jest nagłaśniane, co daje wsparcie krzywdzonym, a przede wszystkim może powściągnąć potencjalnych krzywdzicieli.

Czy istnieje w ogóle jakiś zdrowy sposób radzenia sobie z urazą?
– W opartym na faktach filmie „Fabelmanowie" główny bohater to alter ego reżysera Stevena Spielberga. Po zmianie szkoły jest prześladowany przez grupę chłopców z powodu swojego żydowskiego pochodzenia. Jakoś sobie z tym radzi, głównie starając się ich unikać. Ponieważ sprawnie posługuje się kamerą, z okazji rocznicy szkoły zostaje poproszony o nakręcenie filmu o szkolnym święcie. I tak go montuje, że jego główny krzywdziciel, silny i sprawny, zostaje w nim przedstawiony jako mitologiczny heros. Ktoś nadzwyczajny, w zasadzie nadczłowiek. Film zostaje wyświetlony na uroczystościach rocznicowych, cała szkoła jest pod wrażeniem. Jednak krzywdziciel po projekcji jest wstrząśnięty, bo wie, że to nie jest o nim prawdziwym, paradoksalnie czuje się poniżony.

Widzi, że jego ofiara z niego zakpiła?
– On chce być szkolnym zabijaką, a nie jakimś bohaterem na piedestale!

Rozumiem, że „użyć siebie" może równie dobrze znaczyć „poprosić o pomoc kogoś zaufanego", „zwrócić się do bliskich"?
– Jak najbardziej! Nie chodzi o to, żeby zdać się całkowicie na siebie. Tylko że poradzenie sobie z krzywdą niekoniecznie polega na tym, że opiszemy ją w jakimś medium. Nie twierdzę, że to zawsze jest złe. Czasami może być konstruktywne – opiszę, co mnie spotkało, bo to było upokarzające, a ja nie chcę żyć w poczuciu tajemnicy i upokorzenia. Ale jest niekorzystne, gdy ta krzywda jest ciągle wewnętrznie odtwarzana i utwierdza nas w poczuciu bezradności.

Wobec psychoterapii też czasem pada zarzut, że służy ona głównie temu, żeby ciągle ożywiać dawne krzywdy.
– Niestety, zdarza się, że w taki sposób rozumie się psychoterapię. I myślę teraz nie tylko o pacjentach, którzy są uprawnieni do dowolnych wyobrażeń, ale też o niektórych psychoterapeutach.

Zdarza się, że pacjenci mówią: „Już na jednej terapii przerobiłem ojca i to, co on mi zrobił. Teraz chcę przerobić matkę". Natomiast w nurcie nowoczesnej psychoterapii psychodynamicznej, który jest mi bliski, równie ważne, jak pytanie: „Co się wydarzyło wtedy?", jest pytanie: „Co się takiego dzieje dzisiaj, że chce pan wrócić do tej matki? O co chodzi?", albo: „Co w pani obecnym życiu kieruje pani uwagę w stronę relacji z ojcem?" Bo samo zajmowanie się zranieniem po raz kolejny nie przyniesie ulgi. Ponadto jednym z efektów terapii może być uznanie, że nasi rodzice nie byli idealni, ale mimo to możemy dalej mieć z nimi relacje. Albo uznanie, że krzywda była i wciąż jest niemożliwa do zniesienia, jednak przestajemy żyć uporczywą nadzieją, że zostanie naprawiona.

Wracając do dzielenia się swoim zranieniem – rosnąca społeczna gotowość do wysłuchania ofiar, uwierzenia im, spowodowała pozytywną zmianę. Ofiary przemocy seksualnej przez wiele lat, nie zawsze świadomie, czuły się za to współodpowiedzialne, co często wiązało się z wielkim wstydem. Obwiniały siebie, że nie umiały postawić granicy – tak jakby na przykład sześcioletnia dziewczynka mogła postawić granicę dwudziestoparoletniemu kuzynowi – a po latach nadal czuły się skrępowane i zawstydzone, kiedy spotykały swojego krzywdziciela na jakimś rodzinnym spędzie. Dziś wstydzić ma się sprawca, nie ofiara. I to jest bardzo pozytywny efekt, ponieważ zdejmuje z osób, które nie zawiniły, ciężar wstydu i odpowiedzialności.

Podobny jest chyba skutek dzielenia się swoim doświadczeniem bycia dzieckiem alkoholika czy doświadczeniem przemocy w rodzinie.
– Te osoby też już raczej mogą o tym powiedzieć głośno i przeważnie spotykają się z solidarnością, co jest bardzo ważne. Bo podstawowe pytanie, jakie zadaje psychoterapeuta, kiedy dowiaduje się, że ktoś był kiedyś ofiarą przemocy, takiej czy innej, brzmi: „Czy mogła pani, czy mógł pan o tym komuś powiedzieć?". Jeśli odpowiedź brzmi „tak", wiemy, że negatywne skutki psychiczne tego zdarzenia mają szansę być mniejsze.

Pytanie, co potem. Ofiara zdejmuje z siebie wstyd i odczuwa ulgę, mówiąc głośno o tym, co ją spotkało. Czasem jest to też rodzaj odwetu. Nie twierdzę, że nie mamy do niego prawa. Nie zawsze można przebaczyć. Fantazje odwetowe czy myśl: „Dobrze ci tak", kiedy na przykład prześladowca, który kiedyś nas katował, choruje i cierpi, są zrozumiałe i nie są psychologicznie niekorzystne. Pod jednym warunkiem – że nas nie spalają, że nie zajmujemy się głównie tym, żeby ten odwet ciągle ożywiać. Koncentrowanie się na tym, że „zostałam skrzywdzona, pamiętam tę krzywdę i będę ją przeżywać wciąż i wciąż", jest niszczące dla osoby, która jej doświadczyła.

Kłopot jest wtedy, kiedy utyka się w krzywdzie?
– Tak, bo takie utknięcie nie daje możliwości wyjścia poza rolę ofiary.

I tu się pojawia kwestia delikatna, która wiąże się z hasłem: „Zawsze wierzę ofierze", czyli że jeśli ktoś mówi, że spotkało go coś krzywdzącego, to wierzymy mu bez zastrzeżeń. Z jednej strony ryzykowne jest to podważać, z drugiej – ryzykowne jest uznać, że jeżeli ktoś mówi, że spotkało go to czy tamto, to jest to bezwzględną prawdą, a stwierdzenie: „Czułam się poniżona", uznać za równoważne z: „On mnie poniżył". Otóż to nie zawsze jest równoważne. Bo możemy ze względu na nasze doświadczenia, nastawienie i lęki czuć się poniżeni czy zagrożeni, chociaż nikt nie miał zamiaru nas poniżać ani nikt nam nie groził. Nasz obraz sytuacji bywa subiektywny i zniekształcony, a w niektórych sytuacjach nawet bardzo zniekształcony. Chcemy być solidarni z ofiarami, ale nie chcemy też krzywdzić rzekomych sprawców.

To co zrobić? Może najpierw warto jednak uwierzyć ofierze?
– A może najpierw warto się uważnie przyjrzeć sytuacji?

Myślę teraz o osobach, które ponoszą skutki rozmaitych fałszywych oskarżeń czy obwinień. Ostatnio mieliśmy sprawę wybitnego aktora Kevina Spacey'ego, który po siedmiu latach został całkowicie uniewinniony ze stawianych mu zarzutów dotyczących napaści seksualnych, ale przez te lata był piętnowany i odsunięty od możliwości uprawiania zawodu.

> Świat jest pełen urażających zjawisk. Powinniśmy być socjalizowani do tego, żeby sobie z tym radzić, a nie do roli osób, które nie są w stanie niczego znieść, tak są kruche i delikatne. I w imię tego ograniczają innych

Próbuje za to upokorzenie zaatakować swoją ofiarę, ale staje się rzecz wedle jego kryteriów najgorsza: zaczyna płakać. Krzyczy: „Co ty mi zrobiłeś?!". W tym wypadku ofiara ma swoje zasoby i z nich korzysta, żeby nie tkwić w poczuciu upokorzenia i wstydu. Oczywiście nie zawsze jest to możliwe, ale czasem jest.

Czy to nie jest jednak trochę tak, jakbyśmy na ofiary przerzucali zadanie uporania się z krzywdą, której doświadczyły?
– Jeżeli nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić... Akurat lata 50. XX wieku, kiedy toczy się akcja „Fabelmanów", to nie był czas, w którym w szkołach istniały mechanizmy radzenia sobie z przemocą rówieśniczą. Rodzina bohatera filmu też – z różnych powodów – była mało wydolna w tym zakresie. Nie mówię, że ktoś skrzywdzony ma zawsze sobie dzielnie poczynać, tylko że jeśli nie ma innych możliwości, może spróbować użyć siebie, swojego potencjału, by wyjść z roli ofiary.

Za mało wiem o tej sprawie, wydaje mi się jednak, że w takich okolicznościach mogą się pojawić głosy, że oskarżony jest osobą wpływową, ma przywileje, dobrych prawników, że nie znamy kulis.
– Dowody były źle zebrane, a sędzia stronniczy. Może tak być, lecz nie musi. I w historii jest dużo przykładów osób bez wpływów, które zostały fałszywie oskarżone, za co zapłaciły ogromną cenę. Chcę tylko zwrócić uwagę, że bezrefleksyjne: „Zawsze wierzę ofierze", może być błędem, bo ofiary czasem, niekoniecznie intencjonalnie, deformują rzeczywistość, czego dowiodły już różne procesy sądowe – na przykład te sprzed lat dotyczące fali fałszywych oskarżeń o przemoc seksualną rodziców wobec dzieci – w Stanach Zjednoczonych.

Komplikuje myślenie o podobnych sprawach sytuacja, kiedy sprawczynią jest ko-

eprasa.pl 8aafe869ec

bieta. Tak się stało, kiedy włoska aktorka Asia Argento, jedna z inicjatorek ruchu #metoo, została oskarżona o nadużycie wobec nieletniego aktora. Ruch był nakierowany przede wszystkim na przemoc ze strony mężczyzn, a co zrobić, kiedy oskarżenie pada na kobietę? Jak to rozumieć? Czy wtedy też zawsze wierzy się ofierze? W tym kontekście polecam ostatnią, skądinąd świetną, książkę Iana McEwana „Lekcje", gdzie sprawczynią jest atrakcyjna 25-letnia kobieta, ofiarą zaś czternastolatek. Jednoznaczne potępienie kobiety pokazuje, jak bardzo zmieniły się normy moralne. Kiedy 30 lat temu pewna francuska nauczycielka trafiła do więzienia za romans z uczniem, raczej jej współczuto.

Przypadek, który mnie ostatnio zaciekawił, też pochodzi z Francji. Juliette Favreul, producentka filmowa należąca do grupy Kolektyw 50 na 50, który walczy o równe prawa kobiet w filmie, została niedawno oskarżona o to, że na nieoficjalnej imprezie, siedząc obok pewnej aktorki, włożyła jej rękę pod spódnicę w sposób nadużywający. Obie panie są w podobnym wieku, koło pięćdziesiątki. Odbyła się sprawa w sądzie, producentka została oczyszczona z zarzutów. Ale był jeszcze dodatkowy czynnik. Aktorka jest czarną Francuzką. I poza tym, że zarzuciła producentce napaść na tle seksualnym, oskarżyła ją również o atak na tle rasowym, ponieważ Favreul w jakimś momencie dotknęła jej głowy, mówiąc: „Ale wspaniałe są te twoje włosy!". Producentka się tego nie wyparła. Przyznała, że włosy rzeczywiście zrobiły na niej wrażenie. Aktorka przeżyła to natomiast jako gest poniżenia rasowego.

Może to jest przykład na to, że musimy się nauczyć akceptować, że ktoś może odebrać nasz gest zupełnie inaczej od naszych intencji? I że to, co dla nas jest miłe, kogoś innego może ranić, a nawet upokarzać?

– Ja bym powiedziała, że mamy się uczyć, gdzie postawić granicę. Bo jeżeli nieustannie poważnie i z uwagą traktujemy to, że ktoś się może poczuć urażony, to jesteśmy w kłopocie, ponieważ różnych ludzi urażają bardzo różne rzeczy. Jeśli ktoś uważa, że hasło: „Aborcja jest OK", uraża wiele osób, na przykład te, które zrobiły aborcję i wcale nie było to dla nich OK, to niech nie wyśmiewa postulatu, by mówić „rodzice" zamiast „matka i ojciec", tak by nie wykluczać par homoseksualnych. Jednych uraża złośliwa kpina z feminatywów, innych rozpięcie genitaliów na krzyżu. Nie jest tak, że tylko jedna strona ma prawo do urażenia.

Wiadomo, dziś urażają się wszyscy, i z lewa, i z prawa.

– Tylko czy nie jest trochę tak, że ta strona, nazwijmy ją: centrolewicowa, raczej tamto urażenie bagatelizuje? Jeżeli ktoś się czuje urażony hasłem: „Aborcja jest OK", po tej stronie zaraz odzywają się głosy: „Mamy prawo tak mówić, skoro oni mówią, że aborcja to morderstwo". I ja się w zasadzie zgadzam z tym, że mamy prawo mówić różne rzeczy, póki nie jest to podżeganie do nienawiści. Natomiast uwzględnianie na każdym kroku tego, że kogoś urazimy, w zasadzie zamyka możliwość ekspresji i porozumienia w sferze publicznej, bo nawet zapraszając do wspólnego namysłu, zawsze kogoś dotkniemy.

Jeżeli zabiera się publicznie głos w sprawach dotyczących ludzi, a na przykład psychoterapeuci zwykle w takich sprawach się odzywają, to zawsze znajdzie się grupa albo człowiek, który się nie będzie z tym identyfikować albo któremu się nie spodoba jakieś słowo. Oczywiście z naszą rozmową też tak będzie, to nieuchronne.

Może w tej wrażliwości na urazę jest taki zamysł, żeby świat był bardziej życzliwy, równościowy? Wytrąciła pani przed chwilą ten argument, mówiąc o braku uznania dla urazy strony konserwatywnej, ale może rzecz w tym, że tamta strona ma za sobą wielką siłę – Kościół, władzę – a mniejszości tego nie mają?

– Kościół jest autorytetem dla coraz mniejszej części społeczeństwa. Władza dziś jest taka, jutro inna. A podziały zostaną na długo. Myślę, że powinniśmy się starać ludzi nie krzywdzić niezależnie od tego, po której są stronie.

Mnie zresztą bardziej urażają czyny niż słowa. Na przykład to, że od dawna czeka prawomocny wniosek o nadanie komuś tytułu profesora, ale prezydent małostkowo mu go nie wręcza. To uraża moje poczucie bezpieczeństwa budowane na tym, że państwowe urzędy są bezstronne i sprawiedliwe. Uraża mnie, że krzywdzi się ludzi przez motywowane politycznie ujawnianie danych wrażliwych. Albo że nie wszczyna się śledztwa, kiedy czyn ma ewidentnie znamiona przestępstwa. A z mojego pola – że osoby bez kwalifikacji mianują się psychoterapeutami i szkodzą pacjentom. Natomiast kiedy słyszę, że teraz nie powinno się mówić „aktor", tylko „osoba aktorska socjalizowana do roli męskiej", to mnie nie uraża, tylko trochę śmieszy. Ale uznaję, że taki jest koloryt naszych czasów.

W którym momencie postawiłaby pani granicę?

– Jeśli ktoś próbowałby mi narzucić, czy ocenzurować to, co miałabym mówić, nie dlatego, że to robi rzeczywistą krzywdę, ale dlatego, że może zrobić krzywdę wyimaginowaną. U nas jeszcze chyba tego nie ma, ale na przykład na kampusach amerykańskich są strefy wrażliwości dla studentów.

Jeśli ktoś uważa, że hasło: „Aborcja jest OK", uraża wiele osób, np. te, które zrobiły aborcję i nie było to dla nich OK, niech nie wyśmiewa postulatu, by mówić „rodzice" zamiast „matka i ojciec", by nie wykluczać par homoseksualnych

Tak zwane safe spaces.

– Powiedzmy, że na uczelnię przyjeżdża uczona, która głosi pogląd, że Ameryka niekoniecznie jest najlepszą ilustracją kultury gwałtu, ponieważ dobitne przykłady naprawdę opresyjnej kultury przemocy seksualnej mamy w krajach, gdzie 12-letnie dziewczynki są na siłę wydawane, czy raczej sprzedawane, za mąż. Na wypadek, gdyby ktoś poczuł się tym dotknięty, bo zna przypadki napaści seksualnych w USA, uczelnia nie dość, że organizuje wykład, który przedstawia przeciwną tezę i go nagłaśnia, to jeszcze przygotowuje bezpieczną przestrzeń z przytulankami i kocykami dla tych, którzy mogą się poczuć zranieni.

Co w tym w sumie złego?

– To, że godzimy się, żeby ludzie nie byli przygotowywani do obrony swoich poglądów. Do konfrontacji. Uznajemy z góry, że niemożliwe jest, by ktoś, kto się nie zgadza z tezą jakiegoś wystąpienia, jednak na nie poszedł i powiedział: „W moim środowisku doświadczenia są zupełnie inne. Co pani/pan na to?". Albo nawet stwierdził, że ma o wykładowczyni czy wykładowcy złe zdanie, więc zamiast tego słuchać, pójdzie sobie na mecz. Tylko od razu zakłada się, że ludzi trzeba koniecznie chronić, choćby przed potencjalnym zranieniem. Tacy dorośli słabo sobie radzą w życiu społecznym, bo byli cały czas protezowani. Nasuwa się tu analogia do roli dość dobrego rodzica: jego zadaniem nie jest usunąć każdą przeszkodę na drodze dziecka, bo mu utrudni dalsze życie, tylko dać zasoby do pokonania tej przeszkody.

Głosy wyrażające podobną obawę o konsekwencje takiego podejścia pojawiają się też wśród psychoterapeutów pracujących z młodzieżą, jednak głównie za granicą. I często od razu kwalifikowane są jako te konserwatywne. Z trochę innej strony – niedawno w brytyjskim „Guardianie" pojawił się osobisty esej psychoterapeutki Lucy Foulkes, która od dziecka boryka się z zaburzeniami lękowymi i napadami paniki, ale diagnozę otrzymała dopiero w wieku dwudziestu kilku lat. W tym eseju pisze, że cieszy się, że nie dostała tej diagnozy wcześniej, bo dzięki temu cały czas starała się jakoś ten swój lęk przekroczyć. Nie zawsze jej się to udawało – to nie jest opowieść o dzielnej, wszechmocnej Lucy. Miała lepsze i gorsze okresy, lecz skończyła liceum, potem studia. W tekście jest dużo troski o młodych, zrozumienia dla ich trudności, ale i niepokój, że diagnoza, tak dziś wszechobecna, coraz częściej zamiast pomagać młodym zdrowieć, ogranicza ich rozwój. Hamuje eksplorowanie świata i podejmowanie prób przekroczenia tego, z czym się mierzą.

– Zgadzam się. Diagnozy, które albo są przedwczesne, albo nie uwzględniają całego spektrum, jeśli chodzi o daną osobę, jej oparcie w rodzinie, mogą mieć taki skutek.

Zresztą często nie są to żadne diagnozy, tylko poppsychologiczne etykietki, jak choćby bardzo dziś popularna „wysoka wrażliwość", które powodują, że człowiek zaczyna postrzegać siebie jako kogoś, kto w danym obszarze jest nie w pełni sprawny. Na przykład: „Jestem wysoko wrażliwa, w związku z tym to oczywiste i naturalne, że w różnych sytuacjach jest mi za trudno. Nie muszę się z tym mierzyć. Taka jestem. Zadbam o to, żeby siebie ochronić".

Chciałabym tylko podkreślić, żeby to nie zostało opacznie zrozumiane, że właściwa diagnoza pozwala podjąć właściwe leczenie. Rzecz w tym, żeby koncentrowało się ono na tym, by człowiek lepiej funkcjonował, a nie na tym, by zamykać go w bańce diagnozy.

– Ależ oczywiście! I kiedy niedawno toczyła się dyskusja wokół „depresji jako mody", to mnie to w kontekście naszego dzisiejszego tematu oburzyło. Bo miałam poczucie, że nazywanie depresji modą wynika z niezrozumienia cierpienia bardzo wielu osób i że one rzeczywiście mogą zostać skrzywdzone takim lekko rzuconym bon mocikiem. Akurat depresję na ogół sprawnie się dziś diagnozuje i dość dobrze leczy. Wiadomo też, że u zdecydowanej większości nie trwa ona całe życie.

Ale wrócę jeszcze na chwilę do tej „wysokiej wrażliwości". To nie jest poważna jednostka diagnostyczna, tylko pojęcie wymyślone przez Elaine Aron, która na podstawie objawów swoich, a także osób ze swojej rodziny opracowała test do autodiagnozy – narzędzie wątpliwe metodologicznie. Na wiele z tych pytań przeciętnie wrażliwy człowiek odpowiada twierdząco, bo test jest tak skonstruowany, że odpowiedzi stawiają respondenta w lepszym świetle.

„Wysoko wrażliwi", czyli lepsi?

– I mający szczególne prawa.

Z uznaniem patrzę na karierę marketingowo-biznesową, jaką zrobiło to pojęcie, interesuje mnie też, czy osoby z nim się identyfikujące mają z tego jakiś pożytek. Bo jeśli ma iść za tym uznanie jakiejś nienaprawialnej specyfiki w sobie, która sprawia, że musimy wyjątkowo na siebie uważać oraz unikać różnych społecznych sytuacji, wcale nie groźnych, tylko zwyczajnych, to sądziłabym, że to jest niekorzystne.

Przypuszczam, że za dziesięć lat mało kto będzie pamiętał o „wysokiej wrażliwości", tak jak odeszły do lamusa na przykład „schizofrenogenne matki". Wygląda jednak na to, że dziś potrzebujemy zwrócić uwagę na jakiś rodzaj naszej delikatności czy wyjątkowości. I z jednej strony, tak jak powiedziałam na początku, wartością jest uwzględnianie, że ludzie są różni, że niektórzy mają obszary szczególnej wrażliwości, a inni doznali krzywdy, którą należy naprawić...

Profesor Michał Bilewicz w rozmowie dla „Kultury Liberalnej" mówi o „poszerzaniu kręgu zobowiązań moralnych", co oznacza, że swoją empatią obejmujemy kolejne grupy, które kiedyś były dyskryminowane albo w ogóle nieuwzględniane...

– ...właśnie, a jednocześnie warto dostrzegać także negatywne aspekty tych zmian. I tu najtrudniejsze do przyjęcia wydają mi się chyba brak miejsca na przebaczenie i niewiara w możliwość przemiany. Zachowanie sprzed lat zawsze zostanie wytknięte. Krzywda, którą się zrobiło, czy błąd, który się kiedyś popełniło, są właściwie nienaprawialne.

Mało jest też tolerancji dla różnych niezręczności, zwłaszcza po stronie centrolewicowej. Myślę, że prawica raczej się z tych wojenek nabija. Ktoś z prawicy może powiedzieć o dziewczynach na demonstracji: „I kto to w ogóle rucha?", i nie będzie się tego wstydził, jego koledzy też się nie zawstydzą w jego imieniu. Natomiast kiedy marszałek Grodzki powie coś w rodzaju: „Dziękujemy naszym paniom, których niewidoczna praca czyni naszą pracę możliwą", to z lewicowej strony spadną na niego gromy. Popełnił niezręczność, tak, ale w porównaniu z tym, co na co dzień wygadują Ziemkiewicz czy Korwin-Mikke, to jest nic. A jednak to Grodzki staje się negatywnym bohaterem.

Wobec osób ze swojej bańki ma się chyba większe oczekiwania.

– Myślę, że chodzi jeszcze o coś innego. Tutaj po prostu możemy kogoś łatwo dopaść i zawstydzić. Autorzy tamtych ohydnych słów i czynów są bezkarni. Potępienie ich nic nie da. A coś z tą energią, upokorzeniem i z tym imposybilizmem trzeba zrobić, więc zastępczo atakuje się swoich. Naszych pouczyć możemy, wobec tamtych jesteśmy bezsilni. Ich zresztą krytyka czy skarcenie przez centrowolewicową bańkę nie obchodzi. Kto inny ewentualnie może ich skarcić.

Zauważyłam, że czasem temu pouczaniu swoich towarzyszy poczucie, że jest się przez to lepszym, bardziej obiektywnym.

– Może działa tu też inny mechanizm psychologiczny, opisany dawno temu przez Freuda pod nazwą „narcyzm małych różnic"? Chodzi o skłonność, by się jako grupa jak najbardziej odróżnić od najbardziej podobnych do siebie. Stąd atakowanie tych, którzy są blisko, potencjalnych sojuszników, bardziej podobnych do nas niż wrogowie.

Co pani myśli o sprawie Nosowskiej i Derpieński?

– Kolejny przykład atakowania kogoś z własnej strony barykady. Skutek tego jest taki, że nasi stają się coraz mniej nasi i się odsuwają, bo po co poddawać się tej agresywnej kurateli w nieprzyjemnej atmosferze?

A Nosowska zapolemizowała z modelem lansowanym przez influencerkę – skądinąd naprawdę szkodliwym, głównie dla dziewczynek, choć nie tylko – przez użycie artystycznej formuły właściwej dla jej zawodu, czyli ośmieszając zjawisko. Po czym okazało się, że należy ją skarcić, bo nie dość, że napadła na kobietę, to jeszcze do tego nieświadomą ofiarę patriarchatu.

Padły zarzuty, że ta drwina była osobista. Dotyczyła wyglądu, akcentu.

– Zdaje mi się, że zarówno wygląd, jak i akcent tej influencerki są pewną kreacją artystyczną, jej nabytymi atrybutami, a nie cechami przyrodzonymi. I do tego odniosła się Nosowska, a nie do osoby.

Wiele osób poczuło się bardzo zniesmaczonych tym żartem.

– Mnie też zniesmaczają różne żarty, a także wiele innych rzeczy. Ale dorosły człowiek daje sobie z tym radę. Niekoniecznie mówi od razu: „Ponieważ mnie to zniesmacza i uraża i znam jeszcze trzy osoby, które to też uraża, oraz uświadomię kolejnych pięć, to nie wolno wam tego robić!". 1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec

Świat jest pełen urażających zjawisk. Wydaje mi się, że raczej powinniśmy być socjalizowani do tego, żeby sobie z tym radzić, a nie do roli osób, które nie są w stanie niczego znieść, tak są kruche i delikatne. I w imię tego ograniczają innych. Poza tym naprawdę warto mieć w pamięci, że osoby o innym światopoglądzie mają takie same prawo do urazy jak my. I byłabym ostrożna z tą pewnością, że to akurat nasza uraza ma konstytuować reguły, czyli że jak my się czujemy urażeni, to z tego ma wynikać ograniczenie dla kogoś innego. Nie bądźmy moralnymi uzurpatorami, to nie jest jedyna forma starań o lepszy świat.

À propos Nosowskiej ciekawi mnie, że w ramach tych oburzeń coraz śmielej atakuje się kobiety. Na przykład dredy Olgi Tokarczuk.

O co chodzi z tymi dredami?

– Apropriacja kulturowa. Tokarczuk jako przedstawicielka rasy ciemiężącej instalując sobie fryzurę z dredów, przywłaszczyła atrybut rasy, która była ciemiężona. Swoją drogą zaskoczyła mnie aż tak jednoznaczna interpretacja. Równie dobrze dredy Tokarczuk można rozumieć jako kontynuację czysto słowiańskiej tradycji, a mianowicie kołtuna, który miał kiedyś chronić przed chorobami i który pewnie był znany przodkom Tokarczuk, więc z tą „apropriacją" bym nie przesadzała.

Z kolei Magdalena Cielecka została zaatakowana za to, że wystąpiła w reklamie wódki.

To akurat rozumiem.

– Ale tu nie chodziło tylko o to, czy reklamować alkohol, czy nie i jakie to może mieć skutki, tylko o to, że Cielecka nie powinna tego robić, ponieważ powiedziała kiedyś, że jest córką alkoholika, więc jej szczególnie nie wolno.

Przepraszam, czy to nie jest wtórna wiktymizacja? Dzieciom alkoholików wolno mniej?

– À propos wiktymizacji – przyszło mi do głowy, że głosów ofiar często się uważnie słucha, a czasem wcale, w zależności od potrzeb.

Co ma pani na myśli?

– Przypadek Samanty Geimer, dziś kobiety chyba około sześćdziesięcioletniej, która jako 13-letnia dziewczynka została zgwałcona przez Polańskiego. Ona od bardzo wielu lat prosi, żeby dać już spokój, że nie chce, by wciąż od nowa podawać kolejnym pokoleniom do wiadomości szczegóły tego wydarzenia.
Oczywiście można powiedzieć, że pewnie Polański jej zapłacił. Niemniej jednak jest to głos ofiary, która mówi: „Rani mnie to, co robicie, przestańcie". Dlaczego akurat jej się nie słucha? Może czasem ci oburzeni są bardziej zainteresowani napawaniem się wieczną zemstą niż wsparciem ofiary?

Czy nie jest przypadkiem tak, że to, o czym rozmawiamy, ma tak wysoką temperaturę i pochłania tyle emocji, bo żyjemy w kulturze tożsamościowej? I w zasadzie nie stawiamy naszego poglądu naprzeciwko cudzego poglądu, tylko od razu stawiamy siebie, swoją tożsamość naprzeciwko tej drugiej, dlatego to generuje takie spięcie?

– Jeżeli nasz pogląd czy nasze przeświadczenie jest czymś, co nas konstytuuje, czyli czymś, czego nie możemy zmienić, to rozmowa o tym rzeczywiście jest przeżywana jako groźna. Natomiast kiedy mój pogląd nie jest mną, to mogę o nim i dyskutować, i go zrewidować.
Niestety, im bardziej świat staje się niepewny, a w ostatnich latach bardzo nas wystraszył i straszy nadal, tym więcej jest osób dogmatycznych, czyli takich, które trzymają się kurczowo swoich poglądów i poglądów swojej grupy, unikając wszystkiego, co mogłoby je podważyć. Bo mają poczucie, że jak je stracą, będą samotne i bezbronne. Taka Frommowska ucieczka od wolności.

Co może chronić przed taką dogmatycznością?

– Refleksja. Samoświadomość. Poczucie humoru. Złożoność poznawcza. Zwykle wiek też daje dystans. Chociaż są osoby, które z wiekiem coraz bardziej się usztywniają i boją się puścić to, czego dawno temu się przytrzymały.
Dodałabym jeszcze – dobra literatura. Ona ma to do siebie, że uczy nas właśnie złożoności poznawczej, czyli pokazuje zjawiska z różnych stron, a także trenuje w tolerancji ambiwalencji. A to wydaje mi się kluczowe. Umiejętność pomieszczania w sobie różnych, często sprzecznych, uczuć i opinii. Poza tym na ogół rzeczywistość prędzej czy później i tak wymusza na nas niuansowanie. ●

* **Zofia Milska-Wrzosińska**, certyfikowana psychoterapeutka i superwizorka psychoterapii, związana z Laboratorium Psychoedukacji. Prowadzi konsultacje indywidualne i terapię par, uczy w czteroletnim Studium Psychoterapii.

PO PRAWDZIE

Wszechpremier Kaczyński i jego statyści

Prof. Andrzej Zybertowicz miał rację, ale i bezczelność, by przed 15 sierpnia publicznie obwieścić, że PiS i Duda złamią etykę, prawo i konstytucję.

Agnieszka Kublik

To charakterystyczne, że Zybertowicz publicznie w TVN 24 obwieścił, iż defilada 15 sierpnia – władza się przechwala, że „największa od 30 lat" – „przede wszystkim ma wzmocnić uczucia patriotyczne i tym samym pomóc PiS w kampanii wyborczej". Nie wpadka to była – to świadomość bezkarności.

Doradca Dudy po prostu potwierdził, że PiS robi sobie 15 sierpnia kampanię wyborczą za publiczną kasę.

Co na to Państwowa Komisja Wyborcza? Powinna co najmniej wydać oświadczenie, że oczekuje, iż komitet wyborczy PiS się z tego rozliczy. PKW wybrała milczenie. Aprobujące?

Jarosław Kaczyński, niby tylko wicepremier, a tak naprawdę wszechpremier, bezwstydnie agituje na wojskowych piknikach.

W Uniejowie na wojskowym pikniku – opłaconym przez Wojsko Polskie – Kaczyński głosił swoje słowo wyborcze, że PiS „jest jedyną partią, która gwarantuje w Polsce równość", że jest „partią uczciwości", reszta to „partia złodziei", że tylko PiS gwarantuje równość przed sądami. Mówił i o tym, że wyrwanie „kolorowej torebki" nie będzie karane surowiej niż atak na ciężarówkę antyaborcyjną. A nawet że „Tusk to personifikacja zła w Polsce. To jest czyste zło".

To wszystko, przypominam, na wojskowym pikniku.

A wojsko to tylko statyści.

I nie był to żaden wyjątek. W Zawichoście – a jakże, na wojskowym pikniku – urabiał słuchaczy zaklęciami, że „zwyciężymy". I nie dał rady nie wspomnieć o Tusku, że jest zdemoralizowany.

– Wszystko, co czynimy i zostało osiągnięte, zostanie zniszczone, jeżeli PO przejmie władzę. Zwyciężymy, bo dla nas ojczyzna jest najważniejsza – tak Kaczyński werbował wyborców.

A wojsko to tylko statyści.

Duda, zwierzchnik sił wojskowych przecież, 15 sierpnia gadał jak członek sztabu wyborczego PiS. Jak obiecał Zybertowicz.

– Ostatnie osiem lat to czas odbudowy Wojska Polskiego, wzmacniania polskiego bezpieczeństwa. Wcześniej sytuacja była odwrotna. Nie może być powrotu do tamtej błędnej polityki, która prowadziła do katastrofy. Odwróciliśmy bieguny. Wielokrotnie apelowałem, żeby bezpieczeństwo Polski było wyłączone z politycznego sporu. Ponownie apeluję do wszystkich polityków o odpowiedzialność. Nie dajmy się rozgrywać i manipulować, nie ulegajmy prowokacjom – tymi słowy wciągnął wojsko w kampanię wyborczą PiS.

A wojsko, na którego tle przemawiał, to statyści.

Nie pamiętam, by którakolwiek władza wcześniej tak zagarnęła dla siebie wyborczo to święto.

U Kaczyńskiego wszyscy robią za statystów – wojsko, rodziny, Kościół, Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy...

A wszystko niby „z miłości do Polski".

A może z nienawiści do Polaków? ●

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
Wydawnictwo Agora
2 RP OGŁOSZENIE 34248365

eprasa.pl 8aafe869ec

weekendówka 66

UŚMIECH PROSZĘ!

Autorem wielu haseł jest **Bartłomiej Ramza**

W poniedziałek, 19 sierpnia 1839 r., w paryskiej Akademii Nauk i Akademii Sztuk Pięknych znany fizyk François Arago zaprezentował publicznie wynalazek Louisa Jacquesa Mandé Daguerre'a.

Dagerotypia to technika zapisu obrazu – zwanego od nazwiska jego twórcy dagerotypem – na miedzianej płytce pokrytej z jednej strony srebrem. Po potraktowaniu płytki parą jodu pokrywała się ona światłoczułym jodkiem srebra i w takiej wrażliwej formie umieszczana była w kamerze.

Dzień 19 sierpnia oficjalnie uznawany jest za datę narodzin fotografii, a Daguerre – za jej twórcę. Choć przed wystąpieniem Arago, acz już po ogłoszeniu w specjalnym biuletynie wynalazku przez samego Daguerre'a, swoje odkrycie zaprezentował Brytyjczyk William Fox Talbot. Jego metoda, zwana talbotypią, wykonywana była na papierze (nie na płytce), uzyskiwano też w jej wyniku negatyw, z którego można było robić wiele odbitek, dagerotypowego obrazu powielić się nie dało. Dagerotypia była za to bardziej szczegółowa, zaś talbotypia – mniej ostra.

Talbot, rzecz jasna, ogłosił się odkrywcą fotografii, lecz kandydatów do zaszczytnego miana było więcej.

Sukcesu Daguerre'a nie byłoby bez jego współpracownika Josepha Nicéphore'a Niépce'a, który wcześniej też prowadził badania nad fotografią. To jego autorstwa jest najstarsze zachowane dziś zdjęcie – „Widok z okna w Le Gras" – wykonane prawdopodobnie w 1826 bądź 1827 r. Zostało zrobione na metalowej płytce. Nie wiadomo, ile wynosił czas naświetlania. Ostrożnie przyjmuje się, że mogło to być osiem godzin, choć niektórzy eksperci utrzymują, że znacznie dłużej.

Jednak Daguerre w swojej publikacji poświęconej dagerotypii oraz dioramie (rodzaj obrazu stwarzającego plastyczne efekty przestrzenne) pominął rolę Niépce'a (zmarł nagle w 1833 r.), na co zareagował m.in. syn zmarłego Isidore. Opublikował własną historię wynalazku, w której kluczową rolę przypisał ojcu.

W świat poszło jednak, że pierwszy był Daguerre. Bez wątpliwości (przynajmniej z tego, co wiadomo współczesnym) można za to stwierdzić, że pierwszym człowiekiem, który stanął przed aparatem i którego portret wykonany został techniką dagerotypową, był Polak. Jan Warabowski był oficerem armii Napoleona, bił się pod Waterloo, później mieszkał w Paryżu, wyjechał do Warszawy, lecz potem wrócił do Francji, gdzie zaprzyjaźnił się z Daguerre'em i pozował mu do fotografii.

Dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcamy zatem fotografii. A o pomoc w ułożeniu pytań poprosiliśmy Bartłomieja Ramzę, uzdolnionego warszawskiego fotografa, specjalistę od fotografii portretowej, fashion, glamour oraz aktów. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

WYJAŚNIENIE

W „Weekendówce" nr 65 („Magazyn Gazety Wyborczej" z 12-13 sierpnia) nie wydrukowaliśmy hasła 32) poziomo: głupi jak but z lewej (wpisujemy w mianowniku) – za pomyłkę serdecznie przepraszamy.

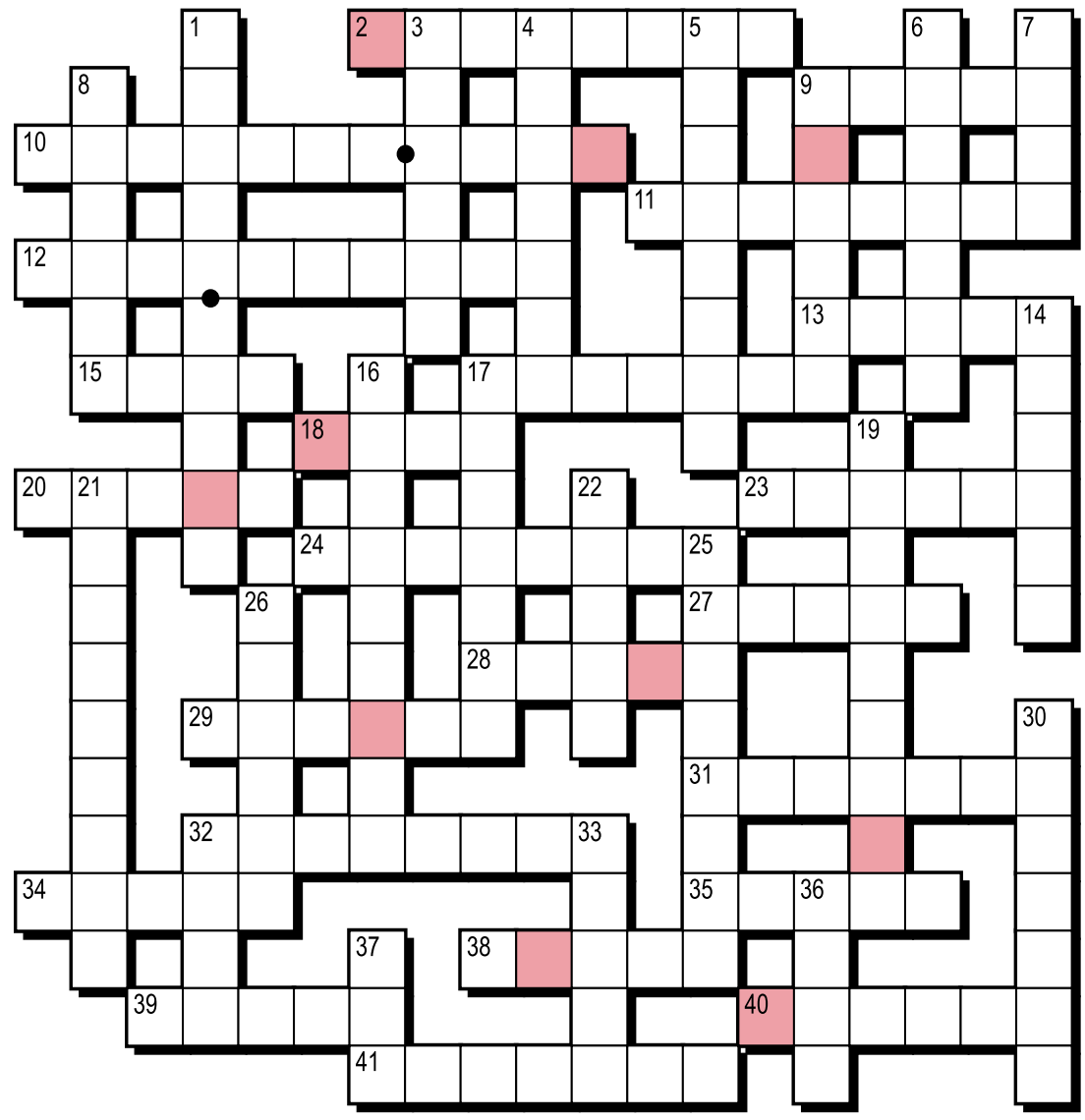

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 65 z 12.08:

Poziomo:
7) praca 8) napastnik 10) Bułgaria 11) kierowca 13) strona 14) tor 16) mańkut 19) anagram 20) wziątki 22) alternatywa 23) półkula 24) Waldek 25) pedał 29) komenda 30) ruch lewostronny 33) akcja 34) Kayah 35) statek

Pionowo:
1) program 2) Kazik 3) Daniel Day-Lewis 4) zakręt 5) nica 6) Robert Lewandowski 9) towar 12) bitki 15) Olga Rudnicka 17) anioł 18) zagadka 21) Kult 23) piłkarze 25) prawica 26) omen 27) Anny 28) zarobek 30) ręce 31) lewa 32) noga

HASŁO:
LEWY PROSTY

FOTOGRAFICZNA

Hasła Bartłomieja Ramzy oznaczono inicjałami (BR). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) sprawił, że aparat kompaktowy odszedł do lamusa
9) olśniewająca u Miss Foto
10) brytyjski zespół, nagrał piosenki „Photographic", „A Photograph of You"
11) dziennikarz przygotowujący fotorelację z wydarzenia
12) aparaty fotograficzne z matówką
13) potocznie o fotokopiarkach
15) obiektyw zmiennoogniskowy
17) przetwornik światłoczuły w aparacie cyfrowym
18) japońska marka sprzętu i osprzętu fotograficznego
20) ... Springer, reportażysta, fotograf
23) Leica albo Pentax
24) aparat z możliwością natychmiastowego wywołania zdjęcia (BR)
27) widoczny na wyświetlaczu
28) amerykańska marka sprzętu i osprzętu fotograficznego (założyciel: George Eastman)
29) ... Lumière, pionierzy kinematografii, twórcy wielu wynalazków z dziedziny techniki fotograficznej (BR)
31) do wywoływania zdjęć, dostępna w punkcie usługowym (fotokiosk)
32) „Ostatnie wspólne zdjęcie" Tomka Makowieckiego lub „Picture of You" grupy The Cure
34) japońska marka sprzętu i osprzętu fotograficznego
35) japońska marka sprzętu i osprzętu fotograficznego
38) rosyjska marka aparatów fotograficznych
39) błyskowa, czyli flesz (BR)
40) przyciąga kota do ciemni
41) James Clerk, szkocki fizyk i matematyk, któremu udało się uzyskać pierwszą trwałą fotografię barwną

Pionowo:
1) żartobliwie o selfie, na którym mamy milusi wyraz twarzy
3) uchwycić ten jeden jedyny – marzenie niejednego fotoreportera
4) najlepiej wychodzi się z nią na zdjęciu
5) zespół soczewek aparatu (może być szerokokątny)
6) ślubny – zamawiany u fotografa
7) obraz zarejestrowany na klatce taśmy, kliszy
8) zmieni fotkę w pięknotkę
9) „Łapię chwile ulotne jak ..., ulotne chwile łapię jak fotka" (Paktofonika)
14) miłośnik, pasjonat, np. fotografii
16) urządzenie do automatycznego nastawiania ostrości w aparacie, kamerze
17) do regulowania czasu naświetlania filmu
19) fotoreporter – łowca sensacji
21) zdjęciowy serwis społecznościowy
22) ... kosmiczna, robi zdjęcia gwiazd, planet, galaktyk
25) np. dowód tożsamości (ze zdjęciem)
26) imię Tyszki, fotografa mody
30) zdjęcie grupy osób składające się z wielu mniejszych fotek
32) przybrana przez fotomodelkę
33) ... Leibovitz, Amerykanka, mistrzyni fotografii portretowej
36) zrzeszenie miłośników fotografiki, szarad, filatelistyki
37) w gazecie wypełniony tekstem, zdjęciami

Leszek Rydz

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE 34225722

1 RP

eprasa.pl 8aafe869ec